Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 48 (1392) ROK XXVII 1 GRUDNIA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Tropami przeszłości
- Buddyzm Zen
- Victoria de Los Angeles
- Ian Anderson: Od rocka do łososia
- Wyspa marzeń

Wiatr

Relacja Dariusza Dorożyńskiego z wypadku na budowie elektrowni w Bełchatowie

STRONA 6–7

Foto: Konrad Turowski

EDWARD BRYL

Ciąg dalszy „Skandalu w Leśmierzu" – dr Jerzy Krawczyk uniewinniony

Na rozprawie 14 listopada br. Wiesława W. była ostatnim świadkiem oskarżenia. Koronnym? Dlaczego? Zarzucano jej, ale nawet nie starano się udowodnić, iż namawiała innych do fałszywych zeznań przeciwko dr Jerzemu Krawczykowi. Przybyła do sądu z trzymiesięczną córeczką. Bez jakiegokolwiek wnikania w szczegóły uznano to za demonstrację. A przecież ludziom układa się bardzo różnie, najczęściej nie tak jak by chcieli, jak tego wymaga potrzeba chwili... Dzieciak faktycznie przeszkadzał — zmoczył się, płakał, trzeba było robić przerwę na karmienie. Młoda matka dwoiła się i troiła, aby przetrzymać te trudne chwile. Posłuszna kategorycznemu wezwaniu Sądu cały czas stała przekładając dziecko z ręki do ręki. Ciekawe, czy trzęsąca się staruszka, o lasce, też musiałaby w podobnych okolicznościach stać, a inwalida w wózku? Zaznaczam, iż nie znam się na procedurze sądowej, ale życie stwarza sytuacje wyjątkowe. I chyba właśnie w trosce o dobro sprawy należałoby czasem życzliwiej, po ludzku spojrzeć na bliźnich z tamtej strony barierki, pominąć jakiś zwyczajowy kanon. I być może świadek Wiesława W. nie tak mocno zdenerwowana, utrudzona i spocona, bardziej wyczerpująco zeznawałaby siedząc?

— *W Ośrodku Zdrowia w Leśmierzu pracowałam od 21 września 1982 roku. Prowadziłam laboratorium analiz lekarskich. Na początku układało się raczej dobrze i z kierownikiem dr Krawczykiem i z pielęgniarkami. Jak tylko podjęłam obowiązki, szef pouczył mnie, że wizyty domowe są płatne. Oznaczało to, że jak idę pobrać krew od pacjenta, mam także pobierać pieniążki... Pan doktor mówił, że on bierze 500 złotych, a ja mam żądać 200-300, nie mogę przecież cenić się wyżej od niego. Bywały momenty, że mnie również próbowano włożyć w kieszeń sto złotych. Zdarzył się także przypadek, iż pacjent tłumaczył mi się — więcej nie mam, bo idę prosto z gabinetu doktora Krawczyka.*

W dalszym ciągu świadek zeznaje, że dr Krawczyk nagminnie wystawiał zwolnienia wsteczne, wszyscy mówili, że brał za nie pieniądze. Stwierdziła także, że lekarz podsyłał jej pacjentów nie ze swojego rejonu. Na przykład zgłasza się kobieta mówiąc, że jest prywatnie od dr Krawczyka. Działo się to w godzinach pracy. Szczegółów, dat świadek nie pamięta.

6

Razem? Obok? Osobno?

W każdym przedsiębiorstwie — obok organizacji partyjnej — funkcjonują: samorząd pracowniczy, związki zawodowe i dyrekcja. Jak przebiega ich praca, jak układa się współpraca, wzajemne zależności? Czy nie rodzą się konflikty? Szukając odpowiedzi na te pytania zaprosiliśmy do dyskusji przedstawicieli samorządu pracowniczego, związków zawodowych oraz dyrekcji z różnych przedsiębiorstw łódzkiego województwa miejskiego. Przedstawiciele związków zawodowych — mimo początkowo wyrażonej zgody — udziału w dyskusji nie wzięli.

W dyskusji uczestniczyli:

— **ANDRZEJ BŁOCH** — dyrektor Łódzkich Zakładów Przemysłu Gumowego „Stomil",

— **MAREK DALKOWSKI** — przewodniczący Rady Pracowniczej w Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 roku — „Pamotex",

— **JERZY TRZECIAK** — przewodniczący Rady Pracowniczej w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej.

Dyskusję przygotował i prowadził doc. dr hab. **ALFRED LUTRZYKOWSKI.**

Z CZEGO SKŁADA SIĘ MECHANIZM?

A. LUTRZYKOWSKI: — Utarł się taki zwyczaj, że w prasie, radio czy telewizji pokazuje się osobno dyrektora, osobno związki zawodowe, samorząd pracowniczy. A przecież tworzą one zwartą całość, stanowią części składowe mechanizmu, od sprawności funkcjonowania którego zależy powodzenie zarządzania. Żeby zrozumieć, co to znaczy współrządzić, kierować, rządzić, trzeba poznać całość mechanizmu napędzającego ten złożony układ. Przecież fabryką nie kieruje ani sam dyrektor, ani sama rada pracownicza, ani same związki zawodowe. Tę odpowiedzialność ponoszą oni wspólnie. Ale to stwierdzenie nasuwa kilka pytań:

Po pierwsze — co to znaczy, że wymienione części fabrycznej społeczności kierują nie oddzielnie, a razem, wspólnie?

Po drugie — czy tak jest w każdym wypadku? A może powinny one funkcjonować obok siebie?

Po trzecie — jeżeli razem mają spełniać funkcję kierowniczą w przedsiębiorstwie, to jak powinny to robić?

Po czwarte — czy nie jest przypadkiem was za dużo do tego kierowania?

Żałuję, że nie ma wśród nas przedstawicieli związków zawodowych, bo przy ich udziale w dyskusji mielibyśmy pełniejszą odpowiedź na postawione pytanie. Ale sądzę, że możemy tych odpowiedzi poszukać też w takim gronie, w jakim jesteśmy.

A. BŁOCH: — Rzeczywiście, szkoda, że nie ma nikogo ze związków zawodowych, bo związki zawodowe nie są organem przedsiębiorstwa i mogłyby do naszej dyskusji wnieść inne spojrzenie. Dyrektor i samorząd często występują wspólnie, na przykład przy podpisywaniu umowy o systemie płac, a więc i ich punkt widzenia jest trochę inny. Zresztą nie można dyskutować o sprawach przedsiębiorstwa bez udziału związków zawodowych.

Teraz odpowiedź na pytanie, czy nie jest nas za dużo? Nie, nie jest nas za dużo. Ale rozszerzyłbym to pytanie: do czego nie jest nas za dużo? Przecież na co dzień nie można kierować przedsiębiorstwem poprzez zgromadzenie kilkudziesięciu ludzi. Kierowanie przedsiębiorstwem musi kumulować się w jednym ręku. W ręku dyrektora.

A. LUTRZYKOWSKI: — Ale to nie wyklucza współpracy.

A. BŁOCH: — Przeciwnie, zakłada tę współpracę. Nie może się ona jednak zasadzać na tym, kto jest silniejszy, kto ma większe ambicje bo to nie będzie współpraca. Właściwie rozumiana, partnerska współpraca jest warunkiem funkcjonowania i rozwoju fabryki.

A. LUTRZYKOWSKI: — Czy na zasadzie „kochajmy się"?

A. BŁOCH: — Ani na zasadzie „kochajmy się", ani na zasadzie głaskania się po głowach, ani też na zasadzie założonej z góry nieufności czy złośliwości, bo to doprowadzi nieuchronnie do konfliktów. Zresztą w ustawach o przedsiębiorstwie, samorządzie i związkach zawodowych jest sporo niejasności, które też mogą być przyczyną konfliktów.

A. LUTRZYKOWSKI: — O co, konkretnie chodzi?

A. BŁOCH: — Na przykład dotyczy to związków zawodowych. Nie chciałbym o tym mówić pod nieobecność ich przedstawicieli, ale nie mam innego wyjścia. Z ustawy wynika, że rada pracownicza może podjąć decyzję wbrew związkom zawodowym. Jest ona zobowiązana do zasięgnięcia ich opinii, ale to wcale nie znaczy, że tę opinię musi wziąć pod uwagę, że się musi do niej zastosować. Niech w związkach zawodowych znajdą się „ambitni" i konflikt gotowy.

Ale i między radą pracowniczą i dyrekcją może dojść do konfliktu. Rada pracownicza zaskarża decyzję dyrekcji. Komisja pojednawcza sporu nie rozstrzyga. Sprawa trafia do sądu. I powstaje absurdalna sytuacja, że sąd decyduje o sprawach przedsiębiorstwa. Wszystko się jednak dzieje zgodnie z prawem.

M. DALKOWSKI: — Tam, gdzie wszystko układa się dobrze, tam zapis taki czy inny nie odgrywa większej roli. Ale tam, gdzie pomieszały się kompetencje, gdzie dochodzi do konfliktów, tam ujawniają się najostrzej i najgroźniej niedoskonałości ustaw.

J. TRZECIAK: — Na początku szło rzeczywiście chropowato. Były tendencje — szczególnie u młodych — wychwytywania ze statutu kompetencji, przywilejów i uprawnień, a niedostrzegania obowiązków i odpowiedzialności. Zresztą związki zawodowe też od tego zaczynały.

M. DALKOWSKI: — Na początku

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3427. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

Cieszę się, gdy ludzie, obdarzeni przez vox populi rangą autorytetów, co pewien czas są uprzejmi ogłosić jakieś nowe poglądy i opinie. Nie należę bowiem do grona tych przeżuwaczy cudzych myśli, którzy są zawsze gotowi paść na twarze przed raz już wykreowanymi autorytetami (zwłaszcza „moralnymi"...). Lubię natomiast we wszystko wątpić i weryfikować, chociaż wcale nie przepadam za sytuacjami, w których okazuje się, że autorytety mówią głupstwa. Prawdę mówiąc, wolę sytuacje, w których luminarze intelektualni potwierdzają swoje pozycje. Tyle że ostatnio zdarza się to jakby rzadziej...

Sądziłem, iż profesor Janusz Reykowski, udzielając wywiadu „Kontrastom" (nr 11/84 — „Od bezpiecznej beznadziejności do ryzykownej nadziei"), obroni swe niezachwiane pozycje w mej (i ogólnej także) klasyfikacji, ale udało mu się to tylko częściowo. O ile bowiem należy zgodzić się z opinią, że

POLAK — WIECZNY FRUSTRATA

nie jest niczym szczególnym wśród innych, równie sfrustrowanych nacji tego cywilizowanego świata, o ile nie ulega wątpliwości, że trafna jest inna teza profesora, o mechanizmach antyfrustracyjnych, którą za chwilę przytoczę, o ile nie przeczę, że słuszna jest jego obserwacja na temat psychologicznych aspektów działania struktur władzy — o tyle trudno zgodzić się z proponowanymi przez profesora (zresztą wespół z „wywiadowcą" Januszem Stankiewiczem) diagnozami i prognozami politycznymi, dotyczącymi procesu budowania porozumienia narodowego.

Co nas broni przed destrukcją całego systemu społecznego, skoro tak gnębią nas rozmaite frustracje i kryzysy, rodzące te frustracje? Profesor Reykowski powiada tak:

„(...) występuje wśród licznych grup społecznych w naszym kraju specyficzny mechanizm adaptacyjny do doświadczeń frustrujących. Chodzi tu mianowicie o naszą polską

SKŁONNOŚĆ DO GLORYFIKACJI KLĘSK

i niepowodzeń, do nadawania im moralnych znaczeń, w rezultacie czego klęska czy niepowodzenie przeradza się w moralny lub psychologiczny sukces. Wówczas przegrana jest dowodem i miarą własnej siły duchowej".

Profesor jest zdania że to specyficzna forma samoobrony przed załamaniem się, ale jednocześnie uniemożliwiająca trzeźwy osąd rzeczywistości oraz wyciągnięcie trafnych i twórczych wniosków na przyszłość. Nie sposób się z tą surową oceną nie zgodzić, jak również z innymi równie doniosłymi konstatacjami — na przykład taką: *„Jestem przekonany, że jeśli polityka, którą się uprawia napotyka na niechęć i sprzeciw dość licznych i ważnych grup społecznych, to ma to istotny wpływ na rządzących".*

Jakiż to wpływ? Umacnia się poczucie zagrożenia rozbudowuje kontrolę, selekcję ludzi do aparatu władzy przeprowadza się wedle kryterium lojalności. Z drugiej zaś strony takie działania władzy zwiększają opór społeczny, rodzący się z przekonania, iż to z samej swej natury władza jest represyjna i nieufna. Konflikt społeczny może przejść w stan chroniczny...

Co profesor proponuje? Dwa lata temu, w swej książce „Logika walki" postulował stworzenie „trzeciej strony" z ludzi pochodzących z obu przeciwstawnych sobie grup obdarzonych autorytetem,

O CZYSTYCH POLITYCZNIE INTENCJACH

Dziś oznaczałoby to sui generis koalicję ze zdeterminowaną opozycją, nadto skompromitowaną swymi niewątpliwymi i udowodnionymi (także finansowymi) związkami z naszym wrogiem zewnętrznym. Dlatego prof. Reykowski modyfikuje swą propozycję:

„Przyjmując, że nadal istnieje niemała grupa ludzi, którzy nie są wrodzy wobec podstaw systemu politycznego i którzy zachowują respekt dla racji stanu państwa, a jednocześnie uważają, że istniejące instytucje nie stwarzają im możliwości uczestnictwa w życiu politycznym, uważam, że konieczne jest poszukanie nowych form uczestnictwa tych grup w życiu politycznym. (...)

Uważam, że nie został jeszcze nawiązany dialog z dość licznymi grupami młodej inteligencji, ze znacznym odsetkiem intelektualistów i twórców, z dużymi grupami robotników, lepiej wykształconych, pracujących w dużych ośrodkach przemysłowych. W tych grupach możemy zaobserwować postawy nieufności i nastroje niezadowolenia. Te postawy i nastroje blokują aktywną partycypację. (...)

Grupy te są nosicielami postępu. Ich alienacja zmniejsza nasze szanse rozwojowe"

Nie jest to takie pewne — czy należy stwarzać ciągle nowe formy uczestnictwa w życiu politycznym dla rozmaitych grup społecznych, grymaszących i targujących się z władzą, czy może lepiej przekonać te grupy, że na gruncie Konstytucji i istniejącego porządku prawnego wszystko, co nie jest przeciw pryncypiom systemu socjalistycznego i racji stanu, jest możliwe. Skłaniałbym się raczej ku temu drugiemu rozwiązaniu, jako że jestem przeciwnikiem mnożenia bytów ponad potrzebę, o czym wielokrotnie wspominam.

Po wtóre zaś — uważam że

NAWIĄZYWANIE DIALOGU NIE JEST UDZIELANIEM KONCESJI

ani wyprzedażą interesów klasowych ze względów taktycznych. Tymczasem wezwania do tzw. pluralizmu dziś akurat nie są niczym innym, jak tylko zachętą do systemowych ułatwień dla opozycji. Na marginesie godzi się zauważyć, że ostrożność w kwestii dialogu potrzebna jest w dwójnasób, a najskuteczniej chyba powinny przemawiać fakty, wywołane działaniami struktur władzy. Warto bowiem pamiętać, że w przyciąganiu różnych grup do dialogu władza ma konkurenta, który wprawdzie niewiele może oferować w życiu doczesnym, rozporządza za to iluzją wiecznego zbawienia...

Czegokolwiek by jednak nie rzec o niezbędności i implikacjach dialogu, samo popędzanie tzw. władzy do tworzenia warunków porozumienia, bo niezdecydowani, nieufni i różni inni peryferiaci z własnego wyboru niecierpliwią się, jest chwytem co nieco świętoszkowatym. Czas chyba wybić sobie z głów, że rachunek ryzyka w tej grze politycznej da się długo opierać na sentymentalizmie, tkliwości i opiekuństwie władzy. Idzie zła pogoda dla naiwnych emocji.

Nieco inaczej rozumuje profesor Mikołaj Kozakiewicz w artykule „Intelektualiści wobec kryzysu" („Przegląd Tygodniowy" nr 48 — 25.11.84.). Jego zdaniem, intelektualiści winni, z racji swych powinności i samozaakceptowanej roli depozytariuszy wartości narodowych i ogólnoludzkich, stanąć na czele walki z kryzysem, okazując to, co prof. Kotarbiński nazywał „walecznością intelektualną" — czyli zdolność do krytyki bezkompromisowej.

„Owa waleczność intelektualna — pisze prof. Kozakiewicz — *żąda od intelektualisty głośnego mówienia władzy o tym, że gdzieś narusza ona owe wartości* (narodowe lub ogólnoludzkie — przyp. TS) *lub zagraża im. Ale waleczność intelektualna żąda od intelektualisty mówienia gorzkiej prawdy także społeczeństwu, ilekroć to ono narusza i depce wartości, za którymi rzekomo obstaje.(...)*

Żeby jednak

BYĆ SUMIENIEM NARODU

trzeba najpierw samemu mieć wrażliwe sumienie. Żeby być depozytariuszem wartości, trzeba samemu wierzyć w wartości i dokumentować własnym życiem i pracą, stosunkiem do innych ludzi — obecność tych wartości w działalności własnej".

Dopiero potem można — i należy — porozmawiać z władzą o kondycjach społecznego dialogu i porozumienia.

Dość jednak o sprawach pryncypialnych. Nasza prasa tygodniowa zawiera też wcale niezłą porcję sensacji, a już kryminalnych szczególnie. Coraz mniej jednak jest w nich owej reporterskiej dokładności i bezwzględnej dominacji faktów nad innymi racjami — coraz częściej pod podpisami autorów pojawiają się zastrzeżenia, że imiona i nazwiska bohaterów zmieniono, że niektóre fakty przejaskrawiono, by utrudnić identyfikację z rzeczywistymi wydarzeniami lub wręcz, że wszelkie podobieństwo opisywanych zdarzeń do rzeczywistych jest — jeżeli nie przypadkowe, to wręcz wyimaginowane. Tak podobno pod wpływem niektórych przepisów prawa prasowego, rzetelny reportaż zamienia się w fikcję, w literaturę...

Jednym z nielicznych chwalebnych wyjątków jest cykl relacji szczecińskiego tygodnika „Morze i Ziemia" z niezwykle bulwersującej sprawy zamordowania I oficera na statku m/s „Łódź". Pisaliśmy o tej sprawie przed rokiem, ze względu właśnie na nazwę statku (nb. już sprzedanego za granicę), korzystając z uprzejmości szczecińskich kolegów. Dziś, uzyskawszy nowe materiały, tygodnik „Morze i Ziemia" (nr 46 i 47) publikuje

„ŚMIERĆ W DEPESZACH"

— kilkuodcinkową i jeszcze nie zakończoną opowieść o niesamowitej śmierci i jeszcze dziwniejszym śledztwie. Zachęcam tymczasem do lektury „Morza i Ziemi" — niewykluczone, że uda nam się bliżej przedstawić relację szczecińskiego dziennikarza Andrzeja Supronowicza.

Teraz, po sensacjach kryminalnych, będzie o rzeczach zabawnych...

Otóż przede wszystkim chcę najuroczyściej odwołać wszystko to

CO ZŁEGO O JERZYM PUTRAMENCIE

zdarzyło mi się napisać, powiedzieć publicznie i prywatnie, a nawet pomyśleć — a było tego wcale niemało. Powodem jest jego krótki tekst, ogłoszony w październikowym numerze „Literatury" pt. „Klucz do wariatów".

Są to wyznania udręczonego redaktora pisma nawiedzanego przez rzesze różnorakich i przedziwnych gości, zabierających czas swymi niezwykłymi problemami, osobowością albo twórczością. Jest to też swego rodzaju podręcznik klasyfikacyjny, pomyślany jako krótkie kompendium wiedzy o diagnozowaniu kategorii wariatów i sposobach postępowania z nimi. Oto próbka:

„Oczywiście lwia część wariatów w redakcjach to po prostu grafomani. Kategoria ta z grubsza jest nieszkodliwa, w miarę zabawna, najgorsze co sprawia, to strata czasu. Zasada więc naczelna jest prosta: błyskawicznie ocenić gościa i natychmiast spławić go do wyspecjalizowanego pracownika redakcji. Musi on mieć na tyle nosa literackiego, co pewien zasób cierpliwości. (Od siebie dodam, że jeżeli taki już jest, to wart jest dla redakcji każdych pieniędzy oraz szacunku i zaufania bez granic — przyp. TS).

Trudno ukryć, że młodzi jeszcze kwitnący grafomani stykają się z pewną dozą uprzedzenia pozytywnego. Jeżeli jednak przychodzi buchalter z Łodzi, koło siedemdziesiątki i jeszcze palnie, że to jest jego pierwsza wizyta w redakcji, główna troska sprowadza się do ułatwienia jego odejścia".

Podzielam cierpienia, pasję i cyniczną bezwzględność Putramenta — powód? Ten sam... Moja kolekcja niezwykłych „wariatów" nie jest może tak wielka jak putramentowa, ale nie mam złudzeń, że w miarę upływu czasu urośnie. Oto uboczne i całkiem niechciane skutki likwidacji analfabetyzmu i w ogóle rewolucji oświatowej. Zgroza!

TOMASZ SAS

Minął tydzień

OGÓLNOPOLSKIE POROZUMIENIE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

jako wspólną organizację blisko pięciomilionowej rzeszy związkowców skupionych w organizacjach zakładowych i ponad stu federacjach — powołano podczas ogólnopolskiego zgromadzenia przedstawicieli związkowych w hali sportowej kopalni „Szombierki" w Bytomiu. Wybrano Radę i przewodniczącego OPZZ — został nim przewodniczący federacji hutników Alfred Miodowicz.

Powołanie OPZZ jest końcowym efektem szybko następującej integracji ruchu zawodowego. Integracji spowodowanej rosnącym poczuciem wspólnoty interesów związkowców i koniecznością skutecznej obrony tychże interesów. OPZZ — jak wszyscy twierdzą, także przedstawiciele władz państwowych — stanie się silnym, wymagającym i nawet kłopotliwym partnerem dla rządu, domagającym się konsultacji i uwzględniania swego stanowiska. Jest to niewątpliwie realna siła, z której opiniami trzeba będzie się liczyć, co nie oznacza konfliktu, jeżeli związkowcy organizując swe siły i tworząc program uwzględnią nie tylko swe własne aspiracje, ale i realia ekonomiczno-społeczne.

NIEZWYKLE SILNE WICHURY

przeszły nad całą Europą. W Polsce zanotowano setki uszkodzeń linii energetycznych i telekomunikacyjnych, w wielu miejscowościach wiatr zerwał dachy z domów mieszkalnych, sporo jest połamanych drzew i uszkodzonych samochodów. Najpoważniejszy wypadek zdarzył się na budowie elektrowni w Bełchatowie, gdzie zginęło trzech ludzi — pisze o tym nasz wysłannik na miejsce tragedii.

W Łodzi nie zanotowano poważniejszych strat, chociaż liczne są przypadki zerwania napowietrznych przewodów różnego rodzaju, połamania drzew i uszkodzeń budynków.

STAN KLĘSKI NA RETKINI

obwieściła Danuta Frey w tygodniku „Odrodzenie" (nr 47 — 20.11.84). Tym razem sprawa nie dotyczy wybuchów gazu i ich konsekwencji w postaci przewlekającej się ponad wszelką miarę rekonstrukcji sieci. Chodzi o grzejniki panelowe — od 1979 roku pękło ich tu ponad 65 tysięcy! Tej zimy, jeżeli będzie ostra, może „pójść" dalszych 30 tysięcy.

Przyczyny to niechlujstwo wykonania samych grzejników jak i wady sieci oraz błędy w projektowaniu osiedla. Co da się zrobić? Po prostu kaloryfery trzeba wymienić — najlepiej na tradycyjne żeliwne — tylko że ich nie ma; tegoroczne dostawy zaspokoiły mniej niż 8 proc. potrzeb. Zima może być tragiczna dla Retkini — przypuszcza Danuta Frey. Trudno się z nią nie zgodzić.

„PONAL" BĘDZIE ZLIKWIDOWANY

— stwierdził rzecznik prasowy rządu na ubiegłotygodniowej konferencji prasowej dla dziennikarzy krajowych. Dokonana przez Sejm nowelizacja ustawy stworzyła taką możliwość, z której postanowiła skorzystać pani minister Handlu Wewnętrznego i Usług. Projekt odpowiedniego zarządzenia już jest konsultowany w sejmie. Prawdopodobnie „Ponal" włączony zostanie w struktury Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego.

NIESAMOWITA AFERA TAKSÓWKARSKA

„wysypała się" w Warszawie. Gang miejscowych mistrzów kierownicy i taksometru rabował swych pasażerów — i to w wyrafinowany sposób: ofiary bito, zabierano im klucze i dokumenty (nie licząc tych paru drobiazgów z kieszeni i torebek), a zanim doszły do przytomności — obrabowywano im mieszkania. Od tej chwili już nic nas nie zdziwi...

PERTURBACJE Z PIOTRKOWSKĄ

dramatycznie opisuje łódzki agent „Kuriera Polskiego" —(kate). Zgadzamy się z jego poglądem, że urzędnicze pomysłodawstwo wobec tej sympatycznej ulicy przekracza bariery zdrowego rozsądku. Choć niezmotoryzowani, przychylamy się do opinii, że zakaz parkowania po obu stronach jezdni — prawie niemożliwy do konsekwentnego wyegzekwowania — jest co najmniej nieuzasadniony.

Czas chyba najwyższy zdecydować się ostatecznie, co z Piotrkowską robimy — ale bez tak ulubionych w naszym mieście półśrodków...

VICESEKATOR

DEKADA KSIĄŻKI POLITYCZNEJ

Jak co roku od 20 do 30 listopada jest obchodzona w kraju jedna z ważnych dekad kulturalnych. Mówię o „XVIII Dekadzie Dni Książki Społeczno-Politycznej" noszącej w podtytule uzupełnienie „Człowiek — Świat — Polityka", co oddaje zamysł i treść całego przedsięwzięcia. Jeszcze nie tak dawno istniały nawet kluby noszące nazwę omawianej dekady, ale w sytuacji kiedy książka stała się artykułem deficytowym, kluby dość szybko przestały funkcjonować. A więc pozostają nam imprezy nawiązujące do programu samej Dekady oraz biblioteki, w których będzie można wypożyczyć poszukiwane i atrakcyjne książki dotyczące zagadnień określonych w podtytule całej imprezy.

W Łodzi przebieg Dekady zapowiada się interesująco: wiodącymi imprezami będzie zarówno wystawa w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego pt. „Literatura radziecka w „Książce i Wiedzy" jak i sesja literacka zorganizowana przez MBP im. L. Waryńskiego i Związek Literatów Polskich Oddział w Łodzi na temat „Literatura polska w latach 1944—1984". Ciekawie zapowiada się wystąpienie dr Tadeusza Błażejewskiego, który będzie mówić o młodej prozie i Krzysztofa Gąsiorowskiego z referatem poświęconym przemianom postaw poetyckich w minionym 40-leciu.

Sporo będzie prelekcji, odczytów i spotkań w bibliotekach, domach kultury i klubach książki i prasy. Zaproszono do udziału w nich literatów, naukowców, dziennikarzy i wydawców. Jednocześnie są zorganizowane zajęcia tematyczne „Człowiek — Świat — Polityka" w studiach oświatowych, uniwersytetach powszechnych oraz klubach.

W całej Łodzi zorganizowano ponad 100 wystaw poświęconych omawianej Dekadzie i 40-leciu PRL, a w niektórych bibliotekach odbywają się dyskusje nad wybranymi książkami lub filmami. Ponadto są organizowane konkursy tematyczne i kiermasze książek w największych łódzkich zakładach pracy. (el)

Razem? Obok? Osobno?

Marek Dalkowski

Alfred Lutrzykowski

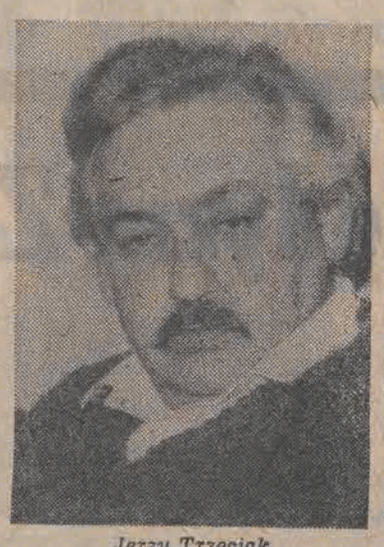

Jerzy Trzeciak

Andrzej Błoch
Foto: Grzegorz Gałasiński

Dokończenie ze strony 1

było wiele emocji. U nas niemal najważniejsza sprawa było to, kto będzie zdejmował dyrektora, kto go mianował. Dziś już nikt się tym nie zajmuje.

J. TRZECIAK: — Na początku współpracy z radą pracowniczą dyrektor powinien ją trochę pokokietować.

A. BŁOCH: — Na pewno zrobi błąd, jeśli ją sobie zrazi.

J. TRZECIAK — To jest potrzebne tylko na początku, starcie, nim się wszystko rozkręci i ułoży. Znam takiego dyrektora, który tego nie zrobił i ma kłopoty z samorządem. Nie może właściwie podjąć żadnej decyzji.

A. BŁOCH: — Przyznacie mi chyba rację, że mając w ręku ustawę o samorządzie można załatwić wiele, czasami wrednych rzeczy.

CZŁOWIEK MINISTRA CZY ZAŁOGI?

A. LUTRZYKOWSKI: — Kim pan właściwie jest, panie dyrektorze? Kogo pan reprezentuje?

A. BŁOCH: — Kieruję fabryką, w której dyrektora zatwierdza organ założycielski, a więc minister. Są przedsiębiorstwa, w których dyrektora zatwierdza rada pracownicza i to jest zupełnie inna sprawa. W swojej działalności kierowniczej muszę stale mieć na uwadze założenia Centralnego Planu Rocznego, planu perspektywicznego uchwalonego przez Sejm PRL i umieć sprzęgać je z interesami i potrzebami fabryki. Takie zasady obowiązują w naszej fabryce. I w spełnianiu tej roli pomaga mi rada pracownicza i związki zawodowe.

A. LUTRZYKOWSKI. — Jest pan zatem człowiekiem ministra, bo on pana powołuje. Wobec tego jest naturalna rzeczą, że chce pan być dobrym pracownikiem ministra.

A. BŁOCH: — Czy to dobrze, czy źle, że jestem człowiekiem ministra? Musielibyśmy jednak założyć, że minister chce źle dla fabryki i ja mu w tym pomagam. A jak minister nie chce źle dla fabryki, to co wtedy?

A. LUTRZYKOWSKI: — Ustawa o związkach zawodowych mówi, że bronią one pracowników wobec kierownictwa, bronią ich praw. Podobne sformułowania można znaleźć w ustawie o samorządzie. Kto broni pana praw? Jaki jest status dyrektora?

A. BŁOCH: — Nie ma nic takiego.

A. LUTRZYKOWSKI: — No, to po co panu, jako dyrektorowi, rada pracownicza, po co związki zawodowe?

SPOSÓB NA PODZIAŁ „MY" — „ONI"

A. BŁOCH: — W dalszym ciągu funkcjonuje podział na „my" i „oni". „Oni" — to może być kierownik wydziału dyrekcja, a wreszcie rząd. Zresztą ustawa o przedsiębiorstwie jednoznacznie ustawia dyrektora. Reprezentuje on przedsiębiorstwo na zewnątrz i nie jest pozbawiony jednoosobowej odpowiedzialności za nie. W niektórych przypadkach, a tak jest w moim — jak to pan powiedział — jestem człowiekiem ministra. Jestem więc niejako automatycznie postawiony po stronie „oni". Mnie ten podział denerwuje i przeszkadza. Taki podział wyklucza bowiem jakiekolwiek angażowanie się tych, którzy uważają się za „my" w to, co robią „oni".

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że słuszna jest teza, iż ludzie efektywniej, lepiej i mądrzej pracują, gdy czują się podmiotem. I aby tak było niezbędny jest samorząd i niezbędne są związki zawodowe. Ludzie muszą bowiem czuć, że ich zdanie poważnie się traktuje, że mają poważny wpływ na żywotne dla fabryki decyzje. Jeśli takie przekonanie będzie pełne, to wtedy można powiedzieć, że samorząd odgrywa istotną rolę w życiu fabryki.

W naszej fabryce wszystkie istotne decyzje są konsultowane w sposób autentyczny z załogą. Ważniejsze sprawy są omawiane w możliwie szerokich zespołach. Administracja składa okresowe sprawozdania ze swej działalności oraz przedstawia informacje o zamierzeniach. Komu? Radzie pracowniczej, związkom zawodowym, egzekutywie KZ PZPR. A poprzez nich dociera to do załogi. Tworzy się system wzajemnych powiązań, z jednej strony płynie do ludzi informacja, z drugiej płyną uwagi, postulaty, zastrzeżenia. Powoli — przynajmniej w skali fabryki — zaciera się podział na „my" i „oni". Wymaga to czasu, cierpliwości i różnorodnego działania.

A. LUTRZYKOWSKI. — Czy to znaczy, że dyrektorowi jest łatwiej żyć i pracować, bo wszystko uzgodnił?

A. BŁOCH: — Niewątpliwie. Ale nie o to przecież chodzi. Dyrektorowi jest łatwiej decydować bo dociera do niego różnorodność punktów widzenia i ocen. Te punkty widzenia i oceny nie muszą się wcale pokrywać z dyrektorskimi. Dzięki temu, że tak nie jest, dyrektor ma możliwość przedyskutowania wielu spraw z ludźmi, którzy widzą szerzej, myślą inaczej, a przez to zmniejsza się niebezpieczeństwo popełnienia elementarnych często błędów.

Był taki moment, że musieliśmy podjąć trudną dla fabryki decyzję. Poprosiliśmy do dyskusji nie tylko przedstawicieli różnych organizacji, ale wielu cieszących się zaufaniem i autorytetem robotników. Wysłuchali, wypytali, wypowiedzieli się i powstała taka sytuacja, kiedy zanikł podział na „my" i „oni". Mieliśmy wszyscy jedno zmartwienie. Kiedy później rozmawiałem z robotnikami, to już nie byłem tym, który chce coś narzucić, ale tym, który ich się radzi.

A. LUTRZYKOWSKI: — Ale czy tak jest wszędzie?

J. TRZECIAK: — Pewnie, że nie. Tylko ludzie przywykli do tego, że wszędzie musi być źle, że się muszą kłócić, za łby wodzić, w to jakoś łatwiej uwierzyć. A jak się mówi, że współpraca się układa, to powątpiewają. Mój zakład ma w branży najwyższe średnie zarobki i to już od 8 miesięcy, nie żadne tam zresztą „kominy". I to jest niewątpliwy rezultat naszej działalności. I wcale nie przyszło nam to łatwo.

A. BŁOCH: — Skala współpracy na ogół wtedy się ujawnia, gdy w fabryce dochodzi do trudnej sytuacji. Wtedy sprawdza się stopień współpracy. Wtedy dokładnie widać, o co komu chodzi.

PARTNERZY

J. TRZECIAK: — Dyrektor ma pięciu zastępców. Może się ich poradzić. Ale oni reprezentują punkt widzenia administracji.

M. DALKOWSKI: — Bo dla nich mimo wszystko naczelny dyrektor to szef. A szefowi jakoś nie wszystko wypada powiedzieć. Co innego rada pracownicza. Jeśli ją się traktuje jak partnera, to można się wiele dowiedzieć.

J. TRZECIAK: — Dyrektor otrzymuje od rady świeży materiał, świeże spojrzenie. Gdy nasz dyrektor prezentuje radzie jakiś problem i potem dziękuje za pomoc w jego rozwiązaniu to można byłoby powiedzieć że to grzeczny człowiek. Ale, gdy mówi, że mu to ulżyło, że jeden kłopot mniej, to wiem, że robi to szczerze, z wewnętrznej potrzeby. I wtedy wiemy, że jesteśmy mu potrzebni, że razem myślimy o naszej fabryce.

M. DALKOWSKI: — Wiele zależy od składu rady. Ja reprezentuję taką, w której jest wielu ludzi z wyższym i średnim wykształceniem. I to waży na naszej działalności.

A. LUTRZYKOWSKI: — Czy to znaczy, że pracownik bez średniego wykształcenia nie może już uczestniczyć w zarządzaniu?

M. DALKOWSKI: — Może. Wszyscy są potrzebni. Każdy problem z życia fabryki inaczej wygląda na poszczególnych szczeblach zakładowej organizacji. Inaczej przy maszynie, inaczej na średnim szczeblu kierowania, inaczej na szczeblu dyrekcji. Dopiero suma tych punktów widzenia może się złożyć na całość i przynieść propozycje właściwego rozwiązania. Trzeba rozważać wszystkie koncepcje, ale tak postępować, aby nikogo nie skrzywdzić.

A. BŁOCH: — Przy czym ta przyjęta koncepcja nie musi być z natury swojej zbieżna z interesem robotnika.

A. LUTRZYKOWSKI: — Poszczególnego robotnika czy całej załogi?

J. TRZECIAK. — W przypadku poszczególnego robotnika może być rozbieżna.

A. BŁOCH: — Jeśli ten robotnik na swoją fabrykę patrzy tylko przez pryzmat paska z wypłatą. Ale nie wszyscy są tacy. Wśród załogi są również ludzie — i wcale nie jest ich mało — którzy interes fabryki widzą w konkretny i bardzo szeroki sposób. Ludzie nie chcą być przedmiotem. I to jest naturalne. Chcą współdecydować. I samorząd daje im taką możliwość. Tylko ludzi trzeba do tego przekonać, że to nie slogany, a realna praktyka. Uznam za swój wielki sukces, jeśli uda mi się sporą część załogi przekonać, że tak jest naprawdę. Ale tego nie można zrobić słowami. To musi potwierdzać też działalność i administracji, i samorządu.

M. DALKOWSKI: — To jest trudna sprawa. Na to trzeba czasu. Przecież samorząd działa dopiero od dwóch lat. Ludzie do pewnych decyzji muszą się przygotować, nauczyć się ich podejmowania, poznać mechanizmy, jakie funkcjonują w fabryce.

J. TRZECIAK: — Taki przykład. Jakże często mówiło się u nas: — a to cholery, nawet z taką prostą sprawą nie potrafią sobie poradzić! To, oczywiście, o administracji. Teraz, kiedy poznali mechanizm decydowania, to już tak nie mówią. Jeszcze nie wszyscy, ale już jakaś część. Można więc powiedzieć, że samorząd stał się przedszkolem ekonomicznej edukacji. A chciałoby się, aby był już szkołą, aby ta ekonomiczna edukacja dotarła między maszyny.

NIESPOKOJNE SUMIENIE

A. LUTRZYKOWSKI: — Pytałem dyrektora: kogo pan reprezentuje? Teraz powtórzę to pytanie pod adresem panów przewodniczących: kogo wy reprezentujecie?

J. TRZECIAK: — Formalnie swoich wyborców. Ale jestem przekonany, że przez swoją słuszną działalność cała załogę i jej interesy.

M. DALKOWSKI: — Ja myślę, że i pracodawcę, tylko może w innym znaczeniu. Poniważ cała załoga jest współwłaścicielem przedsiębiorstwa.

A. BŁOCH: — A czy dyrektor może działać wbrew interesom załogi?

M. DALKOWSKI: — Może.

A. BŁOCH: — Tylko prędko przestanie być dyrektorem.

M. DALKOWSKI: — Zgoda, bo wbrew załodze nie można na dłuższą metę kierować fabryką.

J. TRZECIAK: — Jest w naszej działalności pewna sprzeczność. Powiedziałem, że reprezentuję swoich wyborców. To prawda. Kiedy jednak wysuwam jakąś koncepcję czy podnoszę rękę głosując za jakąś sprawą, to tak naprawdę, w tym momencie, reprezentuję tylko siebie. I mam niespokojne sumienie, bo nie mam żadnych technicznych możliwości skonsultowania tego, co robię z moimi wyborcami. I uspokajam swoje sumienie tym, że oni ocenią moją pracę, gdy ponownie stanę do wyborów. Jeśli się potknąłem, to mnie po prostu nie wybiorą.

Mimo wszystko, czuję się osamotniony. Bo chciałbym, aby naszej działalności rady towarzyszyła większa grupa ludzi, żeby myślała razem z nami, żeby tak myślała i przadka, i tkaczka, żeby to było nie 16 proc. załogi, ale 60.

M. DALKOWSKI: — Na początku ludzie myśleli, że działacze samorządowi będą mieli przywileje, etaty. A tu nic. Ciężka praca społeczna, bez żadnych przywilejów i korzyści.

A. LUTRZYKOWSKI: — Czy nie bierze się to stąd, że ludzie nie wszystko rozumieją, że wiele spraw fabryki rozważa się ciągle jeszcze w gronie fachowców, stosując specyficzny kod językowy?

J. TRZECIAK: — To prawda. Staram się, aby przedstawiony radzie materiał był zrozumiały dla wszystkich. Żeby każdy podnosząc rękę wiedział, dlaczego to czyni, a nie podnosił jej tylko dlatego, że tak robi sąsiad za stołem. Ale z fachowcami sprawa nie jest łatwa. Ciągle wpadają w swój fachowy żargon i przestają być zrozumiali dla innych.

M. DALKOWSKI: — Robotnik uczestniczący w takich rozważaniach poznaje też mechanizm powstawania decyzji, poznaje kłopoty, z jakimi borykają się ludzie kierujący fabryką. To też jest ważne.

A. BŁOCH: — I musi się z tą decyzją utożsamić, bo on ją podejmował, a dyrektor ją tylko realizuje.

M. DALKOWSKI: — To nie takie proste. On wracając do kolegów czuje się odpowiedzialny, ale też i musi ich do tej decyzji umieć przekonać.

A. BŁOCH: — Ale wtedy przestaje tylko żądać. W rozmowach z kolegami musi też czasem brać pod uwagę argumenty dyrekcji i umieć się nimi posłużyć.

J. TRZECIAK: — Rzecz nie tylko w argumentach, ale i w kontakcie z wyborcami. Nasz zakład ma 8 wydziałów. Są one rozproszone. Jak taki kontakt utrzymać? A przecież dawałby on inne samopoczucie członkowi rady. Nie czułby się on tak osamotniony pod brzemieniem decyzji, którą podjął, a którą musi teraz uzasadniać.

M. DALKOWSKI: — Są przecież kontakty pośrednie. Robimy rozszerzone posiedzenia, zapraszamy członków rad wydziałowych. Obligujemy do informowania innych. Wysłuchujemy uwag i postulatów. Ludzie zgłaszają się ze swoimi spostrzeżeniami. Czasem są nieśmiali, nie mają pewności, czy mają rację. Proszą, aby ich uwagi spożytkować, ale anonimowo. I tak robimy.

TRZY „S" — LIMIT CZY NAPĘD?

A. LUTRZYKOWSKI: — Rozwój samorządności robotniczej — jak wynika z tego, co tu zostało powiedziane — rozumiem jako proces demokratyzacji. Postępujący powoli i nie bez różnych oporów i załamowań. Jak mają się do tego trzy „S"? Czy stanowią one dla tego procesu limit?

J. TRZECIAK: — Limit? Miał to być przecież napęd!

A. LUTRZYKOWSKI: — No, właśnie: limit czy napęd?

J. TRZECIAK: — Napęd który powoli staje się limitem. Życie, niezależnie od intencji autorów ustaw, wprowadza różne korekty: i dla działalności samorządu, przedsiębiorstwa i związków zawodowych. Rysują się już takie tendencje. Niepokoją mnie różne skłócone wewnętrznie przedsiębiorstwa. Oby ich było jak najmniej, bo te konflikty między dyrekcjami i samorządami spowodują takie korekty w ustawach, że zanim dobrze wystartujemy do samorządności, to już z nią skończymy.

M. DALKOWSKI: — Jeśli idzie o samodzielność przedsiębiorstw, to centrum może tylko stwarzać dla niej warunki ogólne, nie jest przecież w stanie decydować o wszystkim. Wiele spraw musi się rozstrzygać w fabryce. Inaczej tego nie widzę.

J. TRZECIAK: — Wiele zależy od specyfiki przedsiębiorstwa, nie trzeba więc zaraz uogólniać. Ale mimo to, widzę negatywne tendencje. Niektóre przedsiębiorstwa wyciągają już rękę po państwowe wsparcie. Nie ma jeszcze umiejętności godzenia interesu ogólnego z zakładowym. Niektórzy gotowi są podnosić ceny jak i kiedy się tylko da.

A. BŁOCH: — Byłoby cudownie, gdyby taka umiejętność godzenia interesu ogólnego z własnym była powszechna, bo to jest ważny element kultury współżycia. I tu jest duża rola samorządu. Sądzę, że gdyby nie było samorządu i związków zawodowych, to byłoby z tym jeszcze gorzej.

J. TRZECIAK: — Mówiłem już o potrzebie edukacji ekonomicznej całej załogi. Nie chce się więc powtarzać. Ale przecież ludzie czasem muszą zrozumieć, że docelowo zmierzamy do tego, aby więcej płacić za dobrą pracę. Żeby taki cel osiągnąć, trzeba czasem to i owo oddać, stracić. Takie są koszty własne niektórych działań.

M. DALKOWSKI: — Najpierw musi być wytworzony gotowy produkt, później można dzielić zysk. Więc rada pracownicza szuka rezerw, stara się intensyfikować produkcję. A związki zawodowe tylko głaszczą robotnika po głowie. Zresztą ich rola jest trochę inna.

J. TRZECIAK: — Zabiegają o względy załogi. Żeby powiększyć swoje stany członkowskie często angażują się w fabrykach w problemy popularne, ale nonsensowne ekonomicznie, które dla nas, członków samorządu są oczywiste. Ale to się musi dotrzeć.

DLACZEGO „PAN SAMORZĄD" I „TOWARZYSZ ZWIĄZEK"?

A. LUTRZYKOWSKI: — Panowie! O nieobecnych nie mówmy źle. Nie mogą się przecież bronić przed zarzutami. Ale powiedzcie mi, czy słyszeliście powiedzenie: „Pan Samorząd i Towarzysz Związek"? Skąd to się bierze?

J. TRZECIAK: — No, bo niby rada to ściska sobie ręce z dyrekcją, a partia popiera związki zawodowe, troszczy się o rozwój ich szeregów. Tak to rozumiem.

M. DALKOWSKI: — Sądzę, że my się plasujemy gdzieś pośrodku. Spełniamy rolę amortyzatora. Widać ludzie plasują nas bliżej dyrekcji.

A. LUTRZYKOWSKI: — Na kogo zatem możecie liczyć?

A. BŁOCH. — Jest takie powiedzenie: — „dobrze pan liczysz, to licz pan na siebie i to nie zawsze".

A. LUTRZYKOWSKI: — To dyrektor, a samorząd?

M. DALKOWSKI: — Na załogę możemy liczyć. Załoga nas wybrała i na nią liczymy.

J. TRZECIAK: — Tak długo możemy liczyć na załogę, jak długo wskaźniki ekonomiczne będą dobre.

M. DALKOWSKI: — Czasem odnoszę takie wrażenie, że nawet gdyby nie było ustawy, to część dyrektorów nie chciałaby zrezygnować z samorządu. Bo przecież i dla dyrekcji z istnienia samorządu płyną jakieś korzyści.

A. BŁOCH: — Mówiłem już, że dyrektorowi postępująca demokratyzacja życia w fabryce wcale nie ułatwia działania. Ale ja na przykład widzę w istnieniu i działaniu samorządu szansę na przełamanie absurdalnego podziału na „my" i „oni".

A. LUTRZYKOWSKI: — Gdy tak analizuje się sposób odbierania przez ludzi działania samorządu, związków zawodowych, dyrekcji, to nasuwa się wniosek, że odbiór ten jest uwarunkowany poziomem kultury politycznej społeczeństwa. Ukształtowały się — z grubsza rzecz biorąc — dwa modele pojmowania demokracji i można to odnieść również do spraw fabryki.

Pierwszy — i ze wszech miar pożądany — to uznanie demokracji za wartość i świadomość potrzeby uczestniczenia w społecznym działaniu. A więc nie tylko wybieranie, ale współdziałanie, poparcie dla takich czy innych działań, rozliczanie, ocena.

Drugi — który można nazwać demokracją komfortu, polegający na tym, że wybiera się ludzi i niech się oni później martwią, niech pracują, a w odpowiednim momencie ich się rozliczy i znów albo się wybierze, albo nie.

J. TRZECIAK: — Ta druga postawa jest niestety bardziej powszechna. Ale to też zależy od różnych uwarunkowań. Na przykład inaczej jest to u nas, gdzie się 30 proc. załogi dowozi, a inaczej to będzie wyglądało u „Strzelczyka", gdzie prawie co drugi ma ukończone technikum lub szkołę zasadniczą. Bo postawa zależy od stopnia świadomości społecznej.

A. BŁOCH: — W ostatnim czasie i tak dokonały się poważne zmiany w świadomości społecznej. I one się nadal dokonują. Z dnia na dzień nie uzyskamy pełnego zrozumienia. Te zmiany kiedyś zaprocentują. Na to potrzeba czasu.

M. DALKOWSKI: — Może jestem zbyt niecierpliwy, ale chciałoby się, żeby coraz więcej ludzi interesowało się tym co robimy i jak robimy.

A. LUTRZYKOWSKI: — Czy nie macie satysfakcji z tego, co robicie?

M. DALKOWSKI: — Gdybym nie miał, to bym nie robił. Jeśli załoga obdarzyła ludzi zaufaniem, jeśli wybrała ich, to widać dostrzegła w nich jakieś wartości.

J. TRZECIAK. — Teraz mam satysfakcję, ale jak będzie dalej?

A. BŁOCH: — Czy mam satysfakcję? Gdybym nie miał odrobiny satysfakcji, rzuciłbym to wszystko w diabły.

A teraz poważnie. Moim zdaniem ten proces demokratyzacji, który dokonuje się w fabryce trzeba nieustannie śledzić aby nie zmarnować szansy, aby samorząd, związki zawodowe, a i dyrekcja nie odrywały się od ludzi, od załogi. Bo to by było najgorsze, co może się zdarzyć.

Dyskusję opracowała:
BOGDA MADEJ

EDMUND LEWANDOWSKI

Buddyzm Zen

Nie wiem, czy ktoś wychowany w kulturze Zachodu potrafi właściwie zrozumieć i prawidłowo wytłumaczyć sens buddyzmu Zen. Nam zresztą trudno jest pojąć w ogóle myśl Wschodu. Albowiem od czasów greckich przywykliśmy myśleć w sposób logiczno-analityczny, natomiast w tamtych społeczeństwach od starożytności panuje myślenie o charakterze mistyczno-syntetycznym. My rozkładamy świat na czynniki pierwsze, które skrupulatnie badamy i następnie ustalamy ich wzajemne związki logiczne, oni zaś starają się intuicyjnie poznać od razu całość świata. Nieco podobny do wschodniego mistycyzm odnajdujemy w chrześcijaństwie prawosławnym i w kulturze rosyjskiej. W powieści Fiodora Dostojewskiego „Bracia Karamazow" ojciec Paisij mówi do Aloszy: „Pamiętaj, młodzieńcze nieustannie, że świecka nauka, urósłszy w wielką potęgę, przewertowała, zwłaszcza w ostatnim stuleciu, wszystko, co przekazały nam księgi święte, i po okrutnej analizie nie zostawiła nic zgoła z całej dotychczasowej ich świętości. Ale rozkładając na cząstki, prześlepiła całość; zaiste podziwu godna jest ich ślepota".

Nasz zwyczaj rozdrabniania świata pogłębia się ostatnio wskutek specjalizacji nauki. Różni wąscy specjaliści coraz więcej wiedzą o coraz mniejszych przedmiotach. George Bernard Shaw żartował w związku z tym, że kiedyś ludzie ci będą już wiedzieć wszystko, lecz o niczym..., aż do absurdu wzrośnie ich wiedza, a zmaleje przedmiot badań.

Trzeba przyznać, że logika, analiza i specjalizacja osiągnęły na Zachodzie tak duży rozwój, że powoduje to pewną dehumanizację i zagubienie sensu życia. Ale na Wschodzie z kolei za daleko doszedł irracjonalny mistycyzm. Toteż dla dobra ludzkości warto chyba wypracować jakiś sensowny kompromis kulturowy, do którego już naturalnie prowadzą procesy konwergencji i dyfuzji. Póki co jednak — mamy dwa odrębne światy: racjonalistyczny Zachód i mistyczny Wschód.

W myśleniu wschodnim — pisze Daisetz Teitaro Suzuki (1870-1966) — „jest jakiś spokój, wyciszenie, milczenie, coś niewzruszonego, coś jak gdyby nieustannie wpatrzonego w wieczność". Ale istnieją dwie odmiany tego mistycyzmu: hinduski oraz dalekowschodni (Chiny, Japonia). Pierwszy jest indywidualistyczno-kontemplacyjny, a drugi społeczno-praktyczny. Już Hegel zauważył, że „Indie to królestwo wyobraźni i uczucia", kraj „błędnego niepohamowanego niepokoju", natomiast Chiny są „ociężałe" i „jednolite" oraz przeniknięte „najbardziej prozaicznym rozsądkiem". W Chinach zawsze wysoko ceniono pracę, życie społeczne, obowiązki wobec rodziny i państwa; koncentrowano się na sprawach laicko-doczesnych, unikając spekulacji eschatologicznych. Nie wytworzył się tu nawet stan kapłański.

Nic więc dziwnego, że Chińczycy mieli początkowo kłopoty ze zrozumieniem buddyzmu. Religia ta musiała poważnie przeobrazić się i dostosować do miejscowej świadomości społecznej. Lecz w zmienionej postaci podbiła cały kraj. Jeszcze w drugim wieku n.e. rozpowszechniała się powoli, w trzecim już gwałtownie, a na początku piątego obejmowała około 90 proc. ludności. Panowanie jej załamało się dopiero w IX stuleciu, kiedy w walce o narodowy charakter kultury zaczęto prześladować cudzoziemców i obce ideologie. Zniszczono wówczas ponad 40 tysięcy świątyń buddyjskich, zlikwidowano setki klasztorów i nakazano mnichom założenie rodzin.

Jednym z rezultatów adaptacji buddyzmu do warunków chińskich był Zen. Stworzył go na południu Chin, przybyły ok. 520 roku z Indii, Bodhidharma, nazywany Pierwszym Patriarchą Zenu. Bardzo duży wpływ na rozwój nowej sekty miał również Szósty Patriarcha, Hui-neng (638-713). Obecnie ortodoksyjny buddyzm Zen występuje w zasadzie tylko w Japonii, gdzie został założony w końcu XII wieku przez mnicha imieniem Eisai (1141-1215), a następnie rozszerzony przez jego ucznia Dogena (1200-1253).

Nazwa japońska „Zen" pochodzi od chińskiego „Ch'an" (czyt. Czhan), które stanowiło skrót słowa „Ch'an-na". Tak Chińczycy wymawiali sanskrycki (staroindyjski) wyraz „dhjana", oznaczający medytację. Tradycyjnie więc Ch'an, a potem Zen (czyt. Dzen) znaczyło tyle, co szkoła medytacji. Była to sekta buddyzmu północnego, czyli mahajany — wielkiego wozu, szerokiej drogi zbawienia.

Bodhidharma uświadomił sobie, że praktycznie nastawieni Chińczycy nie będą w stanie przebrnąć przez skomplikowaną naukę Buddy i dlatego wynalazł inny sposób poznania Prawdy. „Moja doktryna — mówił — jest niepowtarzalna, gdyż wskazuje wprost na duszę człowieka i nie krępuje jej żaden kanon nauk; jest ona absolutnym przekazaniem prawdziwego znaku". Chciał przez to powiedzieć, iż Zen nie zawiera nowych dogmatów ani też ścisłych recept na zdobycie Prawdy, lecz wzywa do wolnego i samodzielnego poszukiwania we własnym umyśle. Prawdę każdy nosi w sobie i po swojemu może ją znaleźć. Podstawowe znaczenie ma tu osobiste doświadczenie, osobiste przeżycie duchowe.

Podobnego zdania był już zresztą Budda. Kiedy bramin Kudanta skarżył się, że choć na pamięć zna księgi święte (Wedy), to nie znalazł Prawdy — Budda odpowiedział: „Uczoność jest rzeczą dobrą, ale niewiele może nam w tym pomóc. Prawdziwą mądrość zdobywa się tylko doświadczeniem". W tym duchu mistrzowie Zenu głosili, że wszystkie nauki i abstrakcyjne rozważania są mało warte — jak nie mają też znaczenia zabiegi kultowe — lecz najważniejsza jest pewna dyscyplina duchowa i fizyczna, która sprzyja medytacji i oświeceniu.

Zen nie uznaje żadnego Pisma Świętego i żadnej dogmatyki. Japoński mnich Muso Kokushi mówił: „Przenikliwi mistrzowie sekt Zen nie posiadają stałej doktryny, do której mogliby się odwoływać w każdej okoliczności i w każdej chwili. Mówią to, czego w danym momencie wymaga nauczanie, i przemawiają, jak im duch dyktuje, bez ustalonego wątku, którym by się kierowali. Jeżeli ich spytać, co to jest Zen, mogą odpowiedzieć tekstami z Konfucjusza, Meng-cy, Lao-cy albo Czuang-cy, mówiąc inaczej, tekstami rozmaitych sekt, a także ludowymi przysłowiami. Czasem nawiązują do bezpośredniej sytuacji, w jakiej się pytający znaleźli, albo wymachują prętem, wołając katsu (= ganię, udzielam nagany), czy też w świętym oburzeniu wznoszą ku górze pięści lub palce". Dodajmy tu, że mistrzowie ci, zamiast odpowiedzi na ważne pytanie, potrafią uczniowi wymierzyć policzek, złapać go za nos lub obić kijem. A z reguły odpowiadają pytaniem na pytanie, zmieniają temat, albo wypowiadają coś zupełnie absurdalnego. Można odnieść wrażenie, że są dziwakami, jeśli nie dewiantami psychicznymi czy wariatami. W tych zaś ma być jednak metoda umożliwiająca doznanie oświecenia.

Zen nazywany jest „Doktryną serca Buddy". Adepci jego utrzymują, że przekazują bezpośrednio istotę buddyzmu, bez zbędnych studiów i obrządków religijnych. Szczycą się ponadto, że ich zakon zawiera kwintesencję myśli filozoficzno-religijnej i życia ludzi Wschodu. Ale jednocześnie podkreślają, że Zenu w ogóle nie da się zrozumieć, ponieważ jest wyłącznie domeną przeżycia. Niemniej jednak spróbuję niżej wyjaśnić o co chodzi w tej dziwnej religii.

Celem Zenu jest osiągnięcie stanu „satori", czyli oświecenia albo przebudzenia umysłu. Mamy poznać świat takim, jakim jest naprawdę — bez pośrednictwa zniekształcającego pryzmatu, który tworzą: 1) nasze pragnienia, obawy i zaślepienie, 2) wyuczone zasady języka i logiki, 3) uznane opinie, autorytety i przesądy. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie wymienione elementy tworzą fałszywy obraz świata, dlatego trzeba je odrzucić. Umysł musi być wyzwolony spod tyranii namiętności i wszelkich konwencji!

Zen jest przeciwieństwem logiki formalnej i myślenia dualistycznego — unika alternatywnych podziałów na: tak lub nie, dobro lub zło, duch lub materia. Wyznawcy Zenu uważają, że rozum nie może w tego rodzaju kategoriach logicznych zadowalająco wyjaśnić sensu życia, gdyż naszym życiem nie rządzą prawa logiki, lecz prawa biologiczne i psychologiczne. W celu adekwatnego wyrażenia Prawdy trzeba łączyć twierdzenie i przeczenie w jakiejś wyższej formie wypowiedzi. Szósty Patriarcha, Hui-neng, uczył: „Nie myśl o dobru, nie myśl o złu, lecz bacz w tej chwili na własne pierwotne cechy, które miał, zanim rozpocząłeś żywot". To znaczy, że należy pozbyć się całej wiedzy pojęciowej, wszystkiego, czego nas nauczono i chłonąć świat nieskażonym umysłem.

Buddyzm Zen proponuje oryginalną koncepcję poznania, przypominającą trochę fenomenologię Husserla. Polega ona na tym, żeby bezpośrednio i absolutnie uchwycić istotę świata, poznać go jako całość oraz pojąć od wewnątrz poprzez wkraczanie w naturę własnego umysłu. W piśmie chińskim wyraz „satori" (wu) jest połączeniem dwóch znaków: pierwszy oznacza „umysł", a drugi „ja". Satori — pisze Suzuki — „jest czymś w rodzaju wewnętrznego postrzegania i to prawdę mówiąc, nie postrzegania pojedyńczego, odrębnego przedmiotu, ale samej Rzeczywistości, jeśli można się tak wyrazić. Satori dąży do powrotu człowieka do samego siebie, dąży ku wnętrzu jaźni, która jest jego ostatecznym przeznaczeniem".

Według Zenu świat można zrozumieć tylko intuicyjnie. Ale koniecznym warunkiem powodzenia jest czysty umysł, wolny od jakichkolwiek ograniczeń, który — jak lustro bez skazy — wiernie odzwierciedli rzeczywistość. Trzeba pokonać własne „Ja", oderwać się od niego i utracić je. „Pewnego dnia — pisze współczesny mistrz — pozbyłem się wszystkich myśli. Zaniechałem wszystkich pragnień. Zapomniałem wszystkich słów, którymi myślałem i trwałem — uspokojony. (...) Zatraciłem granice ciała. Miałem oczywiście skórę, ale czułem, że jestem w samym środku kosmosu. Mówiłem coś, ale nic to nie znaczyło. Widziałem, jak podchodzą do mnie jacyś ludzie, ale wszyscy byli tym samym człowiekiem. Wszyscy byli mną! Nigdy przedtem nie znałem tego świata. Wierzyłem dotychczas, że mnie stworzono, ale teraz muszę zmienić zdanie: nikt mnie nie stworzył. Byłem Kosmosem".

W stanie satori umysł wyzwala się ze złudzeń wobec samego siebie; zdobywamy nowy punkt widzenia na świat i siebie samych. Nagle uświadamiamy sobie, że prawdziwy sens życia polega zupełnie na czymś innym, niż dotąd nam się wydawało. Przestaje nas dręczyć problem śmierci, cieszymy się z życia, jakie jest, osiągamy spokój i szczęście. Stan taki najłatwiej jest zdobyć w klasztorze.

Mnisi przebywający w Domu Medytacji (zendo) mają przede wszystkim prowadzić proste życie, ograniczać swoje pragnienia, być wciąż czymś zajęci, polegać na sobie samych i realizować tzw. „tajemną cnotę". Jak wszyscy buddyści — praktykujący Zen wybierają pośrednią drogę życiową: unikają skrajnych reakcji, odrzucają zarówno hedonizm jak ascetyzm, preferują zasadę złotego środka. Tak samo też starają się ukrócić własne żądze i zmniejszyć swą zależność od innych ludzi. Specyfiką Zenu jest natomiast potępienie bezczynności i pochwała pracy. Twórca instytucji „zendo", Paj-czang (720-814), przestrzegał następującej maksymy: „Dzień bez pracy, dniem bez jadła". Kiedy był już starym człowiekiem i jego uczniowie nie pozwalali mu pracować, to nie chciał przyjmować posiłków. Postawa ta przypomina nam słynny fragment drugiego listu św. Pawła do Tesaloniczan: „Kto nie chce pracować, niech też nie je". W klasztorach Zenu praca stanowi konieczny element życia codziennego. Mnisi imają się różnych, nawet ciężkich i niewdzięcznych zajęć fizycznych. Każda praca, która nie wymaga zabijania i krzywdzenia, jest świętością.

Bardzo ciekawą cechą etyki Zenu jest wspomniana wyżej „tajemna cnota". Polega ona głównie na absolutnie bezwarunkowym czynieniu dobra. Za dobre uczynki nie należy oczekiwać żadnej zapłaty ani wyrazów wdzięczności. Jeśli robimy coś dla nagrody lub pochwały, to takie czyny mają pozostawiać „ślady" i „cienie". Trzeba więc traktować dobro jako wartość samą w sobie (autoteliczną) i świadczyć tylko tzw. „uczynki bez zasługi". Poza tym nie wolno w naszym życiu marnować żadnych dóbr materialnych i duchowych, lecz wszystko powinno się maksymalnie wykorzystać i oszczędzać.

Zen przestrzega przed rozpraszaniem się i czynieniem kilku rzeczy naraz. Należy koncentrować się na danym działaniu oraz wystrzegać pośpiechu i myślenia o czymś innym. Wszystko musi być zrobione starannie i dokładnie. Nawet jedzenie i spanie powinno odbywać się zgodnie z regułami higieny fizycznej i psychicznej — bez jakiejkolwiek przesady.

W kształceniu mnichów szczególny nacisk kładzie się na medytację (zazen) oraz zgłębianie sensu różnych zagadkowych opowieści, dialogów, pytań i gestów (koan). Obie formy zachowań mają ułatwić osiągnięcie satori. W przypadku Zenu medytacja nie jest zwykłym skupieniem myśli na jakiejś idei (przemijania lub pustki), gdyż wtedy pojawia się pewne filozofowanie, czego właśnie należy się wyzbyć. Medytacja jest tu specyficznym odczuwaniem i postrzeganiem świata, braniem rzeczy takimi, jakimi w istocie są. „Nad czym — pyta Suzuki — medytują ptaki w locie? Nad czym medytują ryby w wodzie? Jedne latają, drugie pływają. Czy to nie wystarcza? Któżby chciał skupiać myśli na jedności Boga i człowieka lub na nicości ziemskiego żywota?" Zazen to wyzwolenie od wszelkich form myślowych.

Medytacja ma pomóc w rozwiązaniu „koanu", czyli w uświadomieniu sobie, co chciał wyrazić ten lub inny mistrz poprzez absurdalne zachowanie czy pytanie. Wszystkich koanów ma być aż 1700, ale najbardziej popularnych jest kilka. Przykładem koanu jest pytanie: jaki był twój pierwotny wygląd, zanim narodzili się twoi rodzice? Albo taka zagadka: jaki dźwięk powstaje przy klaskaniu jedną ręką? Nowicjuszom w klasztorach daje się do zgłębienia jako koan dziwną odpowiedź jednego z mistrzów spytanego o znaczenie odkrycia Bodhidharmy. Powiedział on „Cyprys na dziedzińcu". I te same słowa powtórzył indagowany dalej o podstawową zasadę buddyzmu. Tego rodzaju paradoksy mają na celu ćwiczenie umysłu w zdobywaniu wiedzy pozarozumowej. Nie chodzi o intelektualne, logiczne rozwiązanie problemu, lecz o wzbudzenie wątpliwości i odkrycie nowego sposobu poznania świata. W świadomości zenistycznej znikają dualizmy typu: podmiot — przedmiot, duch — ciało, tak — nie, dobro — zło. Nasuwa się czasami porównanie z dialektyką; Marks np. pisał: „Prawda naukowa jest zawsze paradoksalna, jeśli sądzimy ją wedle codziennego doświadczenia". Ale znawcy Zenu stanowczo zaprzeczają temu, że uprawiają logikę paradoksalną, czyli dialektykę, w znaczeniu zachodnim, chociaż tak samo krytycznie osądzają poznanie zdroworozsądkowe. Podkreślają oni, że Zen ma charakter praktyczny i obce są mu subtelności myślenia abstrakcyjno-dialektycznego, nawet tego, które spotykamy u Buddy. Na Dalekim Wschodzie — pisze Suzuki — „Duch buddyzmu opuścił swoją wysoce mistyczną siedzibę po to, aby stać się praktyczną dziedziną życia. W ten oto sposób powstał Zen".

Medytacja i koany mają otworzyć umysł na Prawdę, a przez to przynieść człowiekowi pełne zadowolenie z życia. Praktykujący Zen muszą jednak spełnić trzy warunki — potrzebują wielkiej głębokiej wiary, wielkiego wątpienia oraz wielkiej determinacji. Bezgranicznie wierzyć należy w życie wewnętrzne i w ukryty sens koanów. Wątpienie ma przejawiać się w intensywnym badaniu, dlaczego trapią nas troski i cierpienia, skoro wiara mówi, że można się od nich wyzwolić. Determinacja zaś winna wyrażać się w konsekwentnym dążeniu do rozwiązania wątpliwości i osiągnięcia satori.

Jednym z zasadniczych elementów praktyki Zenu jest więc wiara: dlatego zaliczany jest do religii. Ale niezwykle osobliwa to religia, ponieważ nie czci żadnego Boga, nie uznaje istnienia duszy i życia pozagrobowego, nie zawiera żadnych obrządków. Na tak doniosłe przecież pytanie — czy Bóg istnieje? — nie znajdziemy w niej potwierdzenia ani zaprzeczenia. Zen nie jest też, jak można by przypuszczać, światopoglądem panteistycznym. Słynne twierdzenie Spinozy — „Deus sive natura" (Bóg, czyli przyroda) — nie znalazłoby tutaj aprobaty.

Pierwszy Patriarcha Zenu, Bodhidharma, następująco wyjaśnił najwyższą zasadę buddyzmu: „Ogromna pustka, a w niej nic świętego". Ostateczny sekret świata sprowadza się więc do nicości — jak w dramacie Augusta Strindberga „Gra snów". W tej mało chyba znanej sztuce, inspirowanej przez myśl hinduską są tajemnicze drzwi za którym znajduje się rozwiązanie zagadki świata. Kiedy w końcu zostają otwarte, okazuje się, że nie ma tam nic.

Koncepcja zakładająca u podstaw świata pustkę i nicość powinna implikować skrajny nihilizm. A jednak Zen nie tylko nie jest nihilistyczny, lecz przeciwnie, ma ogromne zasługi w rozwoju kultury (zob. J. W. Hall, Japonia od czasów najdawniejszych do dzisiaj, Warszawa 1979, s. 89) i stanowi najbardziej efektywną moralnie religię. Mimo że nie straszy wiecznym piekłem i nie zachęca niebem jego wyznawcy są wzorowym przykładem uczciwości, świadomej dyscypliny i mądrej pokory. Na tej podstawie myślący obserwator może łatwo dojść do wniosku, że coś w tym jest...

Joachim Lelewel

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Tropami przeszłości

(W rocznicę powstania listopadowego)

Tradycję powstania listopadowego przede wszystkim starali się rokrocznie przypominać wychodźcy, którzy opuścili kraj odrzucając warunki Mikołaja I — kapitulację i amnestię.

Już w listopadzie 1832 r. stowarzyszenia wychodźstwa polskiego zorganizowały głównie na terenie Francji uroczyste obchody przy udziale przyjaciół Polski i Polaków oraz delegacji organizacji mających zasięg międzynarodowy (np. Karbonariusze).

Emigracja polistopadowa podzieliła się zasadniczo (nie licząc drobnych grup, grupek i komitetów) na dwa odłamy. Obóz skupiony wokół księcia Adama Czartoryskiego zjednoczył elementy konserwatywne, zabiegające o przychylność rządów i liczące na akcję dyplomatyczną. Drugi to szeroko pojęty obóz demokratyczny, który uznawał jako swego przywódcę historyka o międzynarodowej sławie, członka powstańczego Rządu Narodowego i prezesa radykalnego Towarzystwa Patriotycznego — Joachima Lelewela. Obóz ten w międzynarodowej jedności ludów, w oparciu o konspirację rewolucyjną widział możliwość wznowienia walki narodowowyzwoleńczej w kraju, połączonej z reformami społecznymi, przede wszystkim ze zniesieniem pańszczyzny.

W myśl programu Komitet Lelewelowski zredagował i opublikował jesienią 1832 r., jeszcze przed zapowiedzianymi obchodami listopadowymi, szereg odezw do ludów. Zwłaszcza duży rezonans międzynarodowy wywołała odezwa do narodu rosyjskiego.

Odezwa powoływała się na braterstwo wszystkich Słowian i przypominała tradycję rewolucyjnego przymierza zawartego przez dekabrystów i członków Towarzystwa Patriotycznego. Przypominała nazwiska straconych przez cara przywódców powstania grudniowego w Petersburgu (1825) — Pestela, Murawiewa, Bestużewa, Rylejewa.

Końcową część odezwy stanowiło wezwanie do obalenia carskiego samodzierżawia i przypomnienie, że oba narody czeka wspólna walka w myśl hasła powstańczego „za wolność naszą i waszą".

Odezwa kolportowana wśród kół liberalno-opozycyjnych we Francji wywołała silny rezonans. Ambasador carski w Paryżu Pozzo di Borgo złożył protest i zażądał wysiedlenia inicjatorów odezwy.

Władze francuskie chciały pozbyć się „polskich czerwieńców". Wysiedlono więc z Paryża Lelewela, Tadeusza Krępowieckiego, Gabriela Worcella i innych.

Lelewel otrzymał w lipcu 1833 r. polecenie opuszczenia Francji. Z tłumoczkiem w ręku, w bluzie robotniczej powędrował do Belgii, która była **krajem, gdzie skupiała się ówczesna** emigracja demokratyczno-węglarska z całej Europy.

W Belgii Lelewel wraz ze swymi zwolennikami wprowadził zwyczaj organizowania obchodów rocznicy listopadowej.

Corocznie od 1833 r. w dzień nocy listopadowej odbywały się w Brukseli przeważnie dwa zebrania. Rano miał miejsce obchód w gronie Polaków, a przemówienia dotyczyły głównie aktualnej sytuacji wśród emigrantów oraz w kraju.

Wieczorem zebranie miało charakter otwarty. Licznie stawiali się nań demokraci belgijscy i uchodźcy z różnych krajów. Obrady prowadzono po francusku i były one manifestacją propolskich sympatii i antycarskich nastrojów gości cudzoziemców.

Właśnie w czasie wieczornych obchodów, w wielonarodowościowym gronie Lelewel z roku na rok przypominał sojusz dekabrystów z członkami Towarzystwa Patriotycznego, składał hołd bohaterom Grochowa, Igań i obrony Warszawy, a także wyjaśniał cudzoziemcom założenia programowe zawarte w haśle „za wolność naszą i waszą".

Należy podkreślić, że prasa belgijska, a także demokratyczna prasa francuska, zwłaszcza prasa prowincjonalna zamieszczała większe i mniejsze wzmianki o obchodach listopadowych i przypominała fakty z 1830 i 1831 roku w Polsce.

Pomimo narastania lat obchody listopadowe nie traciły na aktualności. Przypominały zryw polski, a równocześnie nawiązywały do aktualnych wydarzeń rewolucyjnych w Europie.

Po nieudanym powstaniu krakowskim w 1846 roku, w jego rocznicę u progu Wiosny Ludów zorganizowano w lutym 1848 roku w Brukseli obchody otwarte ku czci zarówno wydarzeń w Królestwie w latach 1830-1831 jak i rewolucji krakowskiej i jej przywódcy Edwarda Dembowskiego.

Na uroczystość przybyli Karol Marks i Fryderyk Engels, członkowie Międzynarodowego Stowarzyszenia Demokratycznego, mającego swą siedzibę w Brukseli. Obaj przywódcy wygłosili obszerne przemówienia poświęcone międzynarodowemu znaczeniu obu powstań — listopadowego i krakowskiego.

Engels podkreślił, że „powstanie 1830 roku nie było ani rewolucją narodową (nie objęło 3/4 terytorium Polski), ani też rewolucją polityczną czy socjalną. Nie przyniosło ono żadnych zmian w wewnętrznej sytuacji ludu; była to rewolucja konserwatywna".

Tym niemniej podkreślił on rewolucyjny charakter wydarzeń w Polsce, stanowiących zaczyn przeobrażeń demokratycznych, przede wszystkim dzięki wyodrębnieniu się ruchu lewicowego.

Wskazując na Lelewela, reprezentującego w brukselskim gronie demokrację polską, Engels podkreślił, że jest on człowiekiem, który głosił konieczność rewolucji agrarnej i chciał przekształcić „walkę narodową w walkę o wolność, chciał utożsamienia interesów wszystkich narodów z celami narodu polskiego...".

Mowa Lelewela — weterana demokracji polskiej — zabrzmiała na tym wiecu razem ze słowami Marksa i Engelsa. Wyraził on przekonanie, że „odtąd żadne powstanie polskie nie odbędzie się bez ludu, a najlepszym będzie to, które lud rozpocznie, któremu nada rozmach i kierunek".

Po Wiośnie Ludów ciężar obchodów listopadowych przesunął się do kraju. W konstytucyjnej Austrii a później Austro-Węgrzech powstały warunki do organizowania obchodów listopadowych, ukaże się tam także bogata literatura o powstaniu. Również i w zaborze pruskim oficyny drukarskie opuści szereg wspomnień i opracowań.

W Królestwie pamięć o nocy listopadowej odnotowywano na zebraniach prywatnych, a później w lokalach wszelkiego rodzaju organizacji o charakterze filantropijno-społecznym.

Artykuły o powstaniu przemycały pisma tygodniowe i niektóre gazety; ukazały się także pamiętniki uczestników. Przetłumaczono z rosyjskiego dzieło pułkownika A. Puzyrewskiego „Wojna polsko-rosyjska 1831 roku" napisane spokojnie i rzeczowo, z szacunkiem dla bohaterskiego przeciwnika.

Motywy powstania listopadowego znalazły w Królestwie szerokie odzwierciedlenie w rewolucyjnych latach 1905-1907. Organizowano odczyty i zamknięte obchody, ukazywały się artykuły w czasopismach i prasie, eksponowano tematykę walki narodowowyzwoleńczej w szkołach prywatnych.

Tradycje listopadowego zrywu znalazły odzwierciedlenie w okresie I wojny światowej na obszarze trójzaborów, kiedy to wszystkie partie i organizacje nie wyłączając środowiska robotniczego prowadziły szerokie rozpropagowywanie naszych zrywów niepodległościowych.

Po odzyskaniu niepodległości rocznica powstania listopadowego urosła do rangi niemal święta narodowego, zwłaszcza gdy dzień 29 listopada został ogłoszony Świętem Podchorążego. Ten dzień obchodziły uroczyście nie tylko zawodowe szkoły podchorążych, ale i dywizyjne kursy podchorążych rezerwy. Urządzano zwykle capstrzyk, przemarsz podchorążych ulicami miasta, akademię w szkołach z udziałem podchorążych. Duże zasługi w kultywowaniu tradycji listopadowych ma Polskie Towarzystwo Historyczne, które corocznie w listopadzie urządzało odczyty publiczne o tematyce powstańczej.

Po wojnie rocznica listopadowa była skrupulatnie odnotowywana przez środki masowego przekazu i towarzystwa naukowo-oświatowe. Ogólnopolski charakter miały obchody 150 rocznicy powstania (1980). Wówczas odbyło się szereg sesji naukowych i popularnonaukowych, poświęcono wiele miejsca wydarzeniom 1830-1831 w prasie i czasopismach. Natomiast publikacje przygotowywane na rocznicę ukazały się z większym lub mniejszym opóźnieniem. Poligrafia nasza nie uznaje bowiem rocznicowego charakteru druków.

Pomimo oddalania się w czasie, powstanie listopadowe rozbudza niesłabnące zainteresowanie wśród młodzieży. Dowodem jest zaciekawienie uczniów tą tematyką w szkole, wciąż niezaspokojony popyt na opracowania i pamiętniki. Nie należy się temu dziwić, gdyż powstanie listopadowe zajmuje poczesne miejsce w genealogii dnia dzisiejszego.

* * *

Tradycje powstania listopadowego najszerzej utrwala książka. I właśnie w opracowywaniu tego odcinka naszych dziejów w okresie powojennym dużą rolę odegrał łódzki ośrodek naukowy.

Profesor dr Józef Dutkiewicz związał swoje losy życiowe z Uniwersytetem Łódzkim. Jeszcze przed 1939 r. był już znanym badaczem powstania listopadowego. Oprócz artykułów i polemik opublikował monografię „Austria wobec powstania listopadowego".

Z inicjatywy profesora Dutkiewicza powstał przy Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk zespół badawczy, zajmujący się problematyka powstania listopadowego, który skupił historyków z różnych ośrodków (Warszawa, Łódź, Lublin, Kraków).

Ponieważ przed wojną badania nad powstaniem listopadowym koncentrowały się głównie na tematyce wojskowej, Dutkiewicz rozwinął z historykami z innych ośrodków oraz zespołem swoich uczniów badania dziejów wewnętrznych oraz szerokich studiów prasoznawczych.

Prof. Dutkiewicz był promotorem 4 prac doktorskich o tematyce powstańczej (wszystkie wydane drukiem) oraz inspiratorem 4 prac habilitacyjnych, ocenionych bardzo wysoko przez specjalistów. Nie można więc dziwić się, że ośrodek warszawski z przekąsem mówił o „łódzkiej szkole listopadowców", ale musiał bardzo często powoływać się na ich prace i przyjmować ich korektury wprowadzane do dotychczasowych poglądów.

Do ważniejszych prac prof. Dutkiewicza należą monografie poświęcone dziejom stosunków międzynarodowych w okresie powstania, a więc obok wydanej w 1939 roku książki „Austria wobec powstania listopadowego", wydane już po wojnie: „Polska a Francja w 1931 roku" oraz „Anglia a sprawa polska w latach 1830-1831".

Wiele nowego do poglądów na powstanie wniosły monografie Dutkiewicza „Wewnętrzne dzieje powstania listopadowego" oraz „Ewolucja lewicy w powstaniu listopadowym", jak również liczne studia i szkice.

Bogatą twórczość nad tematyką powstańczą zamknął senior polskich „listopadowców" wydaniem pamiętników Leona Drewnickiego i Natalii Kickiej.

Odejście na emeryturę prof. Dutkiewicza zamknęło etap owocnej w prace drukowane działalności „szkoły łódzkiej". Dawni uczniowie, jako docenci i profesorowie objęli katedry poza Łodzią bądź tak, jak niżej podpisany, zmienili problematykę badawczą. Ale dzisiaj coraz większą rolę w życiu naukowym zaczyna odgrywać drugie pokolenie „łódzkich listopadowców", któremu przewodzi prof. dr hab. Alina Barszczewska, autorka monografii o przebiegu powstania listopadowego w regionie łódzkim.

A więc nić tradycji wije się nadal. Z rąk prof. Dutkiewicza przeszła do rąk prof. Barszczewskiej. Ważne, że łódzki ośrodek „listopadowców" nadal istnieje i tworzy, lecz na oceny tych wysiłków trzeba jeszcze poczekać kilka lat, aż nazbiera się więcej prac drukowanych i większy będzie rezonans stwierdzeń naukowych postawionych już przez drugie pokolenie uczniów profesora Dutkiewicza.

Jan Skrzynecki, Andrzej Towiański i Adam Mickiewicz

Jan Zygmunt Skrzynecki (1787—1860) był jednym z naczelnych wodzów powstania listopadowego (od 26 lutego do 11 sierpnia 1831 r.).

I jako patriota, i jako dowódca nie cieszył się zbyt pochlebną opinią. Wymawiano mu niegodne miana Polaka służalstwo wobec w. ks. Konstantego w czasie służby w wojsku Królestwa Kongresowego. Za jawną zdradę poczytywano mu opowiedzenie się — mimo uprzedniego sprzeciwu — za wydanym w 1824 r. przez sąd wojskowy wyrokiem, skazującym Waleriana Łukasińskiego i jego towarzyszy na wieloletnie więzienie.

Po upadku powstania gen. Skrzynecki został internowany w Linzu przez władze austriackie. Później za zezwoleniem Austriaków spędził letnie miesiące 1832 r. w uzdrowiskach w Karlovych Varach i Teplicach. We wrześniu tegoż roku wyjechał do Pragi, gdzie przebywał pod ścisłym nadzorem władz zaborczych do 13 stycznia 1839 r.

W tym czasie zanosiło się na wojnę Belgii z Holandią o Luksemburg. W związku z tym król belgijski Leopold I poszukiwał uzdolnionego generała dla przeprowadzenia gruntownej reorganizacji armii belgijskiej i przygotowania jej do przyszłej wojny z Holandią. Ks. Czartoryski polecił Leopoldowi I gen. J. Skrzyneckiego. Gdy propozycja ta została zaakceptowana zarówno przez króla, jak i rząd belgijski, A. Czartoryski wysłał do Pragi swego agenta Bystrzonowskiego z poleceniem umożliwienia generałowi ucieczki i przywiezienia go do rezydencji królewskiej w Brukseli. Sprytnemu agentowi udało się dotrzeć do miejsca odosobnienia generała, wręczyć mu jako obywatelowi belgijskiemu odpowiedni paszport i wyprowadzić go poza obręb Pragi. Wkrótce Skrzynecki stawił się na audiencji przed obliczem króla. Do wojny z Holandią jednak nie doszło.

24 grudnia 1840 r. Andrzej Towiański — twórca sekty „Sprawa Boża" — wraz z żoną i synem złożył niespodziewanie wizytę w Brukseli gen. J. Skrzyneckiemu. A. Towiański dla „pojętnego ucznia" — jak nazywał generała — zorganizował „na polach bliskiego Waterloo rodzaj rekolekcji 17-dniowych".

— A więc jesteś, mistrzu, jakby nowym wysłannikiem bożym po Chrystusie i Napoleonie? — pytał Jan Skrzynecki „mistrza".

— Tak, bracie Janie! Z woli Najwyższego mam pełnić to posłannictwo. Ale czy podołam temu wielkiemu zadaniu, przerastającemu moje siły? Jestem tylko, jak ty i wielu innych, człowiekiem z jego wadami i przywarami.

— Powiedz mi, mistrzu, czy jesteś wcieleniem nowego Chrystusa?

— Jestem z woli Boga kontynuatorem jego zbawczej nauki.

— A więc jesteś jego następcą na ziemi! O Boże! — zawołał Skrzynecki w najwyższym uniesieniu. — Jakie to szczęście spotkać na drodze swego życia człowieka, którego Bóg wybrał z wielu milionów istnień ludzkich na przewodnika ludzkości, najświętszej spośród wszystkich — „Sprawy Bożej". Pozwól, mistrzu, że ci złożę najgłębszy, na jaki tylko zdobyć się może człowiek, hołd i cześć!

I stała się rzecz niepojęta, zaskakująca nawet Andrzeja Towiańskiego. Jan Skrzynecki, stary wiarus, zdobywający szlify oficerskie w kampaniach napoleońskich, naczelny wódz powstania listopadowego, w największym uniesieniu padł na kolana przed prorokiem i z najgłębszą czcią całował jego stopy.

Po pewnym jednak czasie, głównie pod wpływem rezolutnej i trzeźwo myślącej małżonki Amelii, J. Skrzynecki doszedł do przekonania, iż rzekomy wysłannik boży nie zasługuje na zaufanie i wiarę, przede wszystkim dlatego, iż nie uznaje bóstwa Chrystusowego, a tym samym nie jest wyznawcą Kościoła katolickiego.

Zaniepokoił go również fakt wyznawania przez Andrzeja Towiańskiego przeciwnej religii katolickiej metempsychozy. Uważając go za mimowolnego heretyka, zaczął mu doradzać — a było to przy powtórnych odwiedzinach w 1842 r. — by odbył spowiedź i oddał „Sprawę Bożą" pod ocenę Kościoła. Towiański speszony niespodziewaną reakcją generała, opuścił mieszkanie Skrzyneckiego nie żegnając się. Po pewnym czasie złożył po raz trzeci wizytę generałowi i próbował jeszcze raz nawrócić go „z błędnej drogi". Energiczna małżonka generała tym razem nie wpuściła Towiańskiego do mieszkania.

W kilka miesięcy później — 10 czerwca ks. Zmartwychwstaniec Aleksander Jełowicki skłonił gen. Jana Skrzyneckiego do przekazania mu „Biesiady" Andrzeja Towiańskiego. Po pewnym czasie generał dowiedział się, iż utwór Towiańskiego został wydany i rozesłany jako pismo heretyckie do różnych osób. Zaniepokoił się tym faktem i wysłał list z pretensjami do księży Zmartwychwstańców. Wydaniem „Biesiady" zaniepokoił się również Adam Mickiewicz. W liście do generała Skrzyneckiego prosił o przesłanie autentyku pisma Towiańskiego, „bo wróg nasz używa go za akt oskarżenia przeciwko nam".

Od tego czasu stosunki A. Mickiewicza z J. Skrzyneckim coraz bardziej się oziębiały. Poeta czuł żal do generała i robił mu wyrzuty za nieprzemyślany krok, jakim było odstąpienie „Biesiady" księżom Zmartwychwstańcom.

Do powtórnego spięcia między Skrzyneckim a Mickiewiczem doszło w 1848 r., kiedy to w przewidywaniu wojny włosko-austriackiej, generałowie J. Skrzynecki i J. Bem oddali się do dyspozycji wojsk papieskich. Propozycję tę ks. Jełowicki przedstawił za pośrednictwem kardynała Ferrettiego papieżowi, Piusowi IX. Nie znalazła ona jednak uznania u ojca świętego. Została odrzucona pod pretekstem zachowania — jak dotychczas — stałej neutralności stolicy apostolskiej w konfliktach zbrojnych.

Do zatargu doszło również w jakiś czas później, gdy Mickiewicz sprzeciwił się w sposób stanowczy wyborowi wysuniętego przez księży Zmartwychwstańców gen. Jana Skrzyneckiego na naczelnego dowódcę legionu polskiego.

Ostatnie lata gen. Skrzynecki spędził w Krakowie.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Sztych nieznanego autora Jan Skrzynecki

Dokończenie ze strony 1

Prokurator: — *Czy pani coś mówi nazwisko Urszuli K.?*

Świadek: — *Tak, ta pacjentka przychodziła i rozgoryczona opowiadała, że płaciła po 250 złotych za dzień zwolnienia. Zwierzyła mi się także inna kobieta, która twierdziła, że zapłaciła doktorowi Krawczykowi 1000 złotych za wydanie zaświadczenia o zdolności do pracy.*

Wiesława W. jest wyraźnie zmęczona, zdenerwowana, spięta, dziecko krzyczy. Obrońca L. Mazur atakuje.

— *Jakie są przyczyny pani niepamięci?*

— *Mówię to, co naprawdę pamiętam, po wielomiesięcznej przerwie trudno znać najdrobniejsze szczegóły, zresztą wiele już powiedziałam podczas poprzednich przesłuchań. Nie przygotowywałam się przecież do sprawy. Poza tym mam dość własnych problemów.*

zbyt często „zapominał" o wielu sprawach. Wydawanie aktów zgonów należało przecież do jego obowiązków, także osobiste oględziny zwłok. Sprawę tę mocno Prokurator zaznaczyła. Mieszkanie służbowe w terenie wiejskim ma służyć nie tylko wygodzie lekarza, ale także pacjentów. Na wsi przecież nie ma dyżurujących przychodni, spółdzielni, bywa że z wezwaniem pogotowia są trudności. Zatem ktoś musi czuwać na miejscu. O tym wszystkim doktor Krawczyk nie chciał pamiętać. Pacjenci jego rejonu byli całkowicie od niego zależni. Wykorzystywał to. Tylko w jednym przypadku pacjent płacił samorzutnie z własnej woli. W pozostałych lekarz wręcz żądał pieniędzy, które absolutnie mu się nie należały. Pan doktor też zbyt często „przeoczał" inne drobiazgi, jak wydawanie zwolnień lekarskich znacznie przekraczających długością jego uprawnienia. W toku śledztwa potwierdziły się wszystkie zarzuty. Natomiast dr Krawczyk twierdzi, że jest to generalna zmowa przeciw niemu. Starzy

temu mecenas swobodnie stwierdził, że przed i roztoczył daleko idącą wizję rzekomej inspiracji. Jak trafiłem na temat „skandalu", wyjaśniłem obszernie w poprzednich artykułach.

Czy jakakolwiek prawda liczyła się w tym procesie obok interesu oskarżonego, skąd przeszła na niego aureola nietykalności, wyniesienia ponad własne konkretne czyny? Według S. Majsterka w rachubę wchodzi tylko sprawa finansowa, podatkowa, a nie karna... Ci, co płacili, byli prywatnie, niech więc weźmie się za to Urząd Skarbowy. Dowody były preparowane — stwierdził adwokat. Zaiste, spisek zatoczył szerokie kręgi. Włączyła się do niego Komisja Kontroli Zawodowej, Rzecznik Dobra Służby Zdrowia — coś tam udowodniono. Doktor otrzymał zakaz zajmowania kierowniczych stanowisk na okres trzech lat, musiał zmienić miejsce zatrudnienia. Później do spisku przystąpiła Milicja, Prokuratura wreszcie Sąd Rejonowy w Zgierzu który z uwagi na ciężki, społecz-

Prokurator zapowiedziała wniesienie rewizji do Sądu Najwyższego.

Póki co chciałbym zwrócić jeszcze uwagę opinii publicznej na kilka faktów, które zostały zupełnie pominięte, innych nie wyjaśniono do końca.

W Dzienniku Ustaw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nr 39 z 19 sierpnia 1961 r. jest rozporządzenie ministra zdrowia i opieki społecznej w sprawie stwierdzania zgonu i jego przyczyny. Owo rozporządzenie dokładnie reguluje te sprawy. Przewidziano w nim wszystkie możliwe sytuacje, także te w terenie wiejskim, w niedzielę i od święta. Pismo jest zbyt obszerne by je zacytować w całości. A za wystawianie świadectw zgonu lekarz otrzymuje ustawowe wynagrodzenie wliczane do stałej jego pensji, dodatków etc.

A oto co mówi na ten temat dyrektor naczelny Szpitala klinicznego nr 1 AM w Łodzi, dr nauk medycznych, Andrzej Waniek:

— *Zgonu nigdy, w żadnej sy-*

Ciąg dalszy „Skandalu w Leśmierzu" —dr Jerzy Krawczyk uniewinniony

Prokurator: — *Czy pani rozmawiała z Urszulą K. na temat sprawy, zeznań?*

Świadek: — *Nie, nie rozmawiałam.*

Obrońca S. Majsterek: — *Jak często korzystała pani ze zwolnień lekarskich?*

Świadek: — *Dokładnie nie potrafię powiedzieć. Gdy byłam w ciąży, prawie cały czas, ponieważ ciąża nie przebiegała bez zakłóceń.*

Wobec wielu niedomówień sąd odczytuje zeznania. Świadek potwierdza w całości.

Przez cały czas przesłuchania Wiesławy W. — opowiadał mi później przygodny widz, którego ciekawość niniejszego procesu przygnała aż na salę sądową, niestety spóźnił się i pierwszą część ostatniej rozprawy przesiedział pod drzwiami, nieustannie okupowanymi przez energiczną panią — przykładała ona ucho wszędzie, wysoko, nisko, spoglądała przez dziurkę. Jakież było jego zdumienie, gdy po przerwie w następnym świadku poznał ową dziarską podglądaczkę. Świadek obrony, technik analityk, mówi szybko, dokładnie, z pewnością siebie jakiej do tej pory nie okazał nikt z przesłuchiwanych.

— *W Ośrodku w Leśmierzu pracowałam od 1976 roku do listopada 1982 roku w charakterze laboranta medycznego. Przez kilka dni pracowałam z panią Wiesławą W. Odeszłam stąd tylko dlatego, że dostałam mieszkanie w Kutnie. Jestem urodzona w Leśmierzu. Dobrze znam panią Henrykę M. Jak tylko sięgnę pamięcią były skłócone ze sobą. Nie chcę robić krzywdy pani M., ale ona nie mogłaby żyć, gdyby nie posiadała niepokoju. Także pani Z. nie lubiła pracy ani pacjentów. Przez cały czas była przyjaciółką poprzedniego kierownika ośrodka, gdy przyszedł doktor Krawczyk dobre czasy się ucięły. Pani Wiesława W. pierwszego dnia stwierdziła, że długo tu miejsca nie zagrzeje. Będzie na zwolnieniach. Tylko doktor Krawczyk przybył tu jak ojciec, dobry ojciec. Chciał wprowadzić porządek, dyscyplinę, nie spoufalał się z personelem. To cała afera, to spisek uknuty przez pielęgniarki leniwe i złe.*

Laurką skończona. To był świadek ostatni. Przewodnicząca zamknęła przewód sądowy i udzieliła głosu pani Prokurator Jadwidze Pławik, która mówiła rzeczowo, opierając się na konkretnych zeznaniach świadków, analizowała ich wypowiedzi i akcentowała nawet sprawy korzystne dla oskarżonego. Stwierdziła, iż cała historia jest bulwersująca. Oskarżony to przecież lekarz, od którego społeczeństwo ma prawo żądać przestrzegania etyki zawodowej. A ostatnio łapówkarstwo szerzy się w tym środowisku zaskakująco. Zdrowie przelicza się na pieniążki, to przetarg zupełnie nie licujący z założeniami ustroju. Doktorowi Krawczykowi udowodniono przyjęcie korzyści materialnych za zwolnienia lekarskie, za wystawianie aktów zgonów bez oględzin zwłok, za prowadzenie prywatnej praktyki bez zezwolenia i to w godzinach pracy ośrodka. Doktor

ludzie, emeryci, rzekomo płacili jemu chcąc się rozliczyć przed rodziną, a faktycznie pieniążki wydawali na różne szaleństwa. Prokurator stwierdziła, że oskarżony ma udowodnione 12 tysięcy złotych. Suma niewielka! Ale najistotniejsze jest to, kto brał i od kogo. Lekarz, człowiek światły, od starych i ubogich potrzebujących pomocy. Oskarżony swoim działaniem rzucił cień na całą masę uczciwych ludzi tego zawodu, którzy nie skalali się nigdy. Prokurator wniósł o wymierzenie kary 3 lat pozbawienia wolności, pozbawienie praw na okres 3 lat i osiemdziesiąt tysięcy zł grzywny.

Obrońcy zabierali głos kolejno i z wielką swadą przekonując, iż cała ta sprawa jest totalnym nieporozumieniem, a oskarżony czysty jak kryształ.

— *Po raz pierwszy w swej 30-letniej praktyce spotykam się ze sprawą o 12 tysięcy złotych w Sądzie Wojewódzkim* — mówi mecenas S. Majsterek. — *Niecodzienność jej polega także na tym, że oskarżenia nie wnosił żaden urząd, tylko prasa rozpętała kampanię. Złą atmosferę od początku wytworzyły „Odgłosy". Na szczęście sądy w PRL nie ferują wyroków w oparciu o artykuły prasowe, lecz o konkretne dowody.* (Tu adwokat, gwoli ścisłości, dużo miejsca i czasu poświęcił redakcji i mojej skromnej osobie). *Redaktor Bryl o jednym zapomniał, nie napisał, że za dwanaście tysięcy doktor Krawczyk kupił dwa samochody, wybudował efektowny segment, luksusowo wyposażył aż trzy mieszkania.*

Otóż nie, nie zapomniałem, tylko jestem głęboko przekonany, że na to wszystko sobie zapracował odkładając latami z niewielkiej pensji wiejskiego lekarza, dopiero od niedawna wynoszącej osiemnaście tysięcy złotych miesięcznie z wszelkimi dodatkami. Obrona twierdzi, że tylko redakcja „Odgłosów" zorganizowała ten pożal się Boże „Skandal w Leśmierzu" Góra urodziła mysz — skonkludował mecenas S. Majsterek. Ponadto uznał wszystkie zeznania świadków za bezwartościowe, budzące poważne wątpliwości. Żadne dowody przeciwko doktorowi Krawczykowi nie zasługują na wiarę. Wszyscy świadkowie byli namówieni! Jest pewne, że była to zmowa pielęgniarek, które po kolei wykańczały lekarzy, nie pasował im ten porządny, rygorystyczny lekarz, nie „swój chłop".

Oczywiście, co znaczy zdanie ludzi małych, prostych, jakichś pracowników PGR pachnących sianem, mlekiem, potem, może czasem jeszcze czymś znacznie brzydszym. Furda! Interes klienta tylko się liczy, żadna tam prawda. Pan mecenas również nie zauważył, że i ja mówiłem i pisałem co innego. Choćby w sprawie listów, które otrzymałem od świadka Wiesławy W. Na pytanie sądu — kiedy je otrzymałem — odpowiedziałem, że po pierwszym artykule, na przełomie listopada i grudnia 1983 roku. Wbrew

nie szkodliwy aspekt sprawy zmienił kwalifikację czynu... Fatalnie, tylu poważnych ludzi obrzuciło błotem czystą jak łza personę...

Mecenas wniósł o uniewinnienie!

Drugi obrońca, mecenas L. Mazur, kwestionuje w ogóle zasadność oskarżenia, domaga się zmiany kwalifikacji prawnej. Dwanaście tysięcy to suma niewielka, ale sprawa bolesna dla doktora Krawczyka, bo jak oto wygląda. Ośrodek w rozsypce — przychodzi uzdrowiciel i jest rygorystyczny... Nie byłoby sprawy, gdyby nowy przełożony nie wymagał, przymykał oczy na nieetyczne postępowanie podwładnych. Mecenas L. Mazur kwestionuje też stawki, jakie rzekomo płacili pacjenci. Uzupełnia swojego kolegę i zmierza do jednego — obalić wszystko, co jest niekorzystne dla klienta. Jest rzutkim mówcą, dużej klasy erudyta, wtrąca całe zwroty francuskie, cytuje różne medyczne sławy. Obydwaj panowie bez ogródek rozmydlają sprawę. O wydawaniu aktów zgonów bez oględzin zwłok milczą, jak również o braniu pieniędzy za sam fakt wystawiania. Mecenas powołuje się na profesora Bogusza z AM, który mówi, iż nie widzi nic złego w przyjmowaniu dowodów wdzięczności po pomyślnym zakończeniu leczenia.

Oczywiście, jeśli w przypadku doktora Jerzego Krawczyka wydanie aktu zgonu można by uznać za owe *„pomyślne zakończenie leczenia"*.

A tak na serio, to zupełnie inna sprawa. W takich momentach ludzie z wdzięczności są gotowi ofiarować wiele. I wcale im się nie dziwię. Nikomu nic do tego, czy będzie to trunek czy koperta z pieniędzmi — nieważne ile i jakimi, czy może nawet luksusowy samochód. Te gesty wdzięczności absolutnie nie mają nic wspólnego z wymuszaniem, uzależnianiem leczenia od korzyści materialnych.

Oskarżony w ostatnim słowie żali się.

— *Stała mi się wielka, niepowetowana krzywda. Padłem ofiarą spisku.*

Wyrokiem w Imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sąd uniewinnia oskarżonego od zarzucanego mu czynu. Kosztami postępowania sądowego obciąża skarb państwa. W ustnym uzasadnieniu wyroku pani Przewodniczącą stwierdziła co następuje:

— *Wydawanie aktów zgonów bez oględzin zwłok mieści się w kategoriach moralnych lekarza, nie prawnych! Karna odpowiedzialność doktora Krawczyka sprowadzała się do przyjmowania łapówek, a to się nie potwierdziło. Jeżeli chodzi o wizyty domowe, to też żadnej jasności nie ma. Sprawa Urszuli K. jest zupełnie zagmatwana. Jej zarobki wynoszą cztery tysiące złotych miesięcznie, więc 150 złotych dniówka. Jakże więc mogła płacić 250 złotych za dzień zwolnienia, przecież to się jej zupełnie nie opłacało — ciągnęła swój wywód pani sędzina...*

Wyrok nie jest prawomocny.

tuacji nie wolno stwierdzić zaocznie, jedynie na podstawie objawów śmierci. Absolutnie nie ma znaczenia czy się denata znało, leczyło, widziało dzień, godzinę wcześniej. Może to zrobić tylko fachowy pracownik służby zdrowia.

Dlaczego dla ustalenia prawidłowości postępowania dr Krawczyka nie zrobiono tego, co czyni się zwykle — nie powołano biegłego specjalisty?

Sąd także nie zgodził się na filmowanie procesu przez telewizję. Dlaczego? Ludzie z Leśmierza nie chcą ponownie stawać przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi, opowiadają sobie, że na świadków się krzyczy, straszy aresztem itp. Prawda, sam słyszałem.

Wyrok uniewinniający był szokiem, spowodował mnóstwo telefonów do redakcji. Ja również telefonowałem. A oto treść rozmowy z Józefem Banasiakiem, dyrektorem PGR — Pliszcz k/Głubczyc w woj. opolskim. Właśnie z tych terenów cztery lata temu przybył do Leśmierza dr Jerzy Krawczyk.

— *Pracował tutaj dziesięć lat, niestety o dziesięć lat za dużo. Był to okres konfliktów, ustawicznej szarpaniny. Praca nie szła, ludzie na okrągło korzystali ze zwolnień. Płacili za nie. Doktor dorobił się, zresztą nie tylko na nich i wyjechał. Musiał? Jeżeli dobrze mi wiadomo „zwalniał się na własną prośbę". Grunt mu się palił pod nogami. Po jego odejściu pracuje się normalnie. Bumelanctwo skończyło się jak nożem uciął.*

Jakoś „zapomniano" zasięgnąć opinii o oskarżonym w dawnym miejscu pracy, od pacjentów, przełożonych, instytucji... Nie pofatygowano się też sprawdzić innych faktów np. dotyczących świadka Urszuli K. Wystarczyło zażądać zaświadczenia o zarobkach — nikt zatrudniony w produkcji rolnej nie zarabia 4 tys. złotych miesięcznie, śmiesznie niskiej sumy, ani nie zarabiał jej rok temu. Takie płace od dawna nie istnieją. Dopowiadam więc to, czego nie wyjaśnił sąd.

Rozmawiałem z Urszulą K. długo w jej własnym mieszkaniu, spokojnie, bez straszenia, bez krzyków. Powiedziała mi, że w te dni dałaby każdą sumę za zwolnienie. Była autentycznie chora. Do Ozorkowa jechać nie miała siły, co zresztą powiedziałaby tamtejszemu lekarzowi, przecież swój rejon ma tu, w Leśmierzu. A w ogóle nie jest najmocniejszego zdrowia. Zaistniała też sytuacja, że dr Krawczyk nie chciał jej dać zwolnienia, bo nie miała pieniędzy. Pracować nie była w stanie, leciała z nóg. Nie miała też urlopu w zapasie, aby wziąć wolne dni, ale miał mąż więc wziął kilka dni i pracował za nią, a ona leżała chora...

EDWARD BRYL

Wiatr

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

— Ten dźwig przewracał się niewiarygodnie powoli, jakoś majestatycznie, we wszechobecnym wyciu wichury było wręcz nierealnie cicho — zmęczone, zapadnięte oczy, ręka trze czoło na wspomnienie tych ułamków sekund.

— Szedłem od „siódemki", z przeciwnej strony, dęło strasznie, już od wielu godzin. Odruchowo patrzyłem do góry, bo huraganowe podmuchy zrzucały co pewien czas z montowanych konstrukcji resztki blach, deski. Minąłem zablokowany na szynach BK-1000 i przerażenie zaparło mi dech w piersiach: posadowiony na budowanej „szóstce", na wysokości 75 metrów żuraw „Potain" zachwiał się i runął skosem w kierunku mostu węglowego i komina miażdżąc wszystko po drodze...

Inżynier Leszek Małek, zastępca dyrektora z Kombinatu Budowy Elektrowni jak zahipnotyzowany wpatruje się w gigantyczne kłębowisko stalowych konstrukcji, pogiętych, poskręcanych niby w paroksyzmie bólu.

— Nie ma pan lęku wysokości? — po zmęczonej twarzy przemyka cień uśmiechu. — To zapraszam na wycieczkę...

Prowadzi pewnie przez halę, jedną, drugą, obok hałasujących młynów węglowych, zna tu każde drzwi, każdy skrót — jest u siebie. Winda. Wciska 20 piętro. Znów plątanina rur, jedne schody, drugie. Jakoś niezbyt pewnie podążam za nim przez kolejną halę, której podłoga zmontowana z ażurowych, niczym plaster miodu, płyt pozwala dojrzeć w dole miniaturowe sylwetki ludzi w kaskach ochronnych. — Uwaga! Teraz ostrożnie... — rzuca do tyłu, gdy przez wąski otwór w stalowej ścianie wychodzimy na zewnątrz szóstego bloku. Tu już nie ma żartów. Kratownica potężnych, stalowych belek, mokrych od deszczu dźwigarów, czasem pomocna poręcz. W dół lepiej nie patrzeć... W huraganowym wietrze, który szalał tu kilkanaście godzin wcześniej chyba bym się nie odważył na tę eskapadę. Staram się iść krok w krok za mym przewodnikiem, po śladach, by przypadkiem nie stąpnąć na którąś z luźnych blach. Jeszcze sus nad przepaścią rozpadliną i jesteśmy na małej platformie.

— Proszę, niech pan zerknie, tyle zostało z „Potaina" — Małek wskazuje na cztery gigantyczne łapy, zakotwiczone w stalowej konstrukcji. — Mniej więcej 100 milimetrów średnicy „nogi", pękały jak zapałki, każda niemal u podstawy, a on położył się w tamtą stronę — palec wskazuje srebrnoszarą hałdę w dole. Wychylam się ostrożnie pod wątłą balustradą i widzę jak doszło do tragedii.

— Maszt zwalił się najpierw na konstrukcję suwnicy bramowej, wyłamał belkę i runął na stojącego w dole „Painera". Sciął żurawia niemal przy podstawie i ta plątanina masztów, wysięgników werżnęła się w ostatni, najwyższy segment mostu węglowego. Całe przęsło zostało wyrwane i setki ton stali obsunęły się na dach elektrofiltra „piątki", tej, która miała ruszyć w grudniu. Zmiażdżyły instalacje po drodze, kanały spalin, wyrwały fragmenty ściany szóstego bloku, przygniotły pracującego parę godzin wcześniej „Grove-800", też znakomity, samojezdny dźwig...

— Tam byli ludzie... — szepczę przerażony realistycznym opisem.

— Tak, byli... — Małek milknie, wpatrując się w maleńkie z tej wysokości sylwetki, uwijające się przy srebrnej od poskręcanych blach śmiercionośnej hałdzie.

— Brnąłem przez błoto, nie przebrzmiał jeszcze huk pękających konstrukcji, dopiero wstawał grzyb węglowego pyłu nad rumowiskiem, a mnie myśl jak błyskawica: oni pracowali w ostatnim segmencie mostu!! Nie wiedziałem jeszcze ilu, wiedziałem tylko, że trwał tam montaż instalacji elektrycznych, uszczelniano okna, zdawałem sobie sprawę, że w rejonie zagrożenia znajdować się mogło kilkudziesięciu ludzi. Ilu zdołało uciec? Może zdążyli przeskoczyć do sąsiedniego przęsła węglowego mostu? Ilu?!

— Kierował pan akcją ratunkową — spytałem choć już wiedziałem, że tak.

— Instynktownie, wie pan, nie było czasu na zastanawianie się, trzeba było działać. Kilku rannych chłopaków wyciągnęliśmy bardzo szybko, poza jednym nie mieli poważniejszych obrażeń; potłuczenia, złamana ręka, noga. Były już pierwsze karetki, zabrały między innymi ciężko rannego człowieka z „Elektrobudowy". Znacznie później dowiedzieliśmy się, że lekarzom nie udało się go uratować, zmarł w szpitalu. Tu wciąż weryfikowaliśmy listy, musieliśmy jednoznacznie ustalić, ilu jeszcze mogło znaleźć się w bezpośrednim sąsiedztwie katastrofy. Ogrodziliśmy najbliższy teren, wyrzucając poza liny tych, którym się udało, a którzy teraz, w roli obserwatorów, tylko mogli nam przeszkadzać.

— Z największym uznaniem wyrażają się wszyscy o pracy „Energomontażu"...

— Bo też zasłużyli na nie. Brygada Andrzeja Mikuckiego dosłownie szalała, znakomici ludzie, odważni do granic brawury. Wielotonowa plątanina strzępów mostu, dźwigowych kratownic blach zawisła kilka metrów nad ziemią, między podporami mostu a elektrofiltrem. Huragan wciąż szalał, przez wycie wiatru przedzierał się co parę minut łoskot pękających rur, dartych blach, łomotał zerwany taśmociąg. W tej makabrycznej scenerii wiszące nad głowami ratowników kłębowisko w każdej chwili mogło runąć w dół, przygwoździć ich. Zdawali sobie z tego sprawę, ale tam, nad ich głowami był człowiek, widzieli go, jasną, kędzierzawą czuprynę. Nie dawał znaku życia, ale może tylko stracił przytomność...

— Nie mogłem nawet prosić, nie miałem takiego moralnego prawa, by któryś z chłopców Mikuckiego spróbował dotrzeć do rannego. Wśród chrzęszczących wokół blach Grzegorz Szczęsny wydostał się na elektrofiltr i z niego zjechał jak akrobata po linie w kłąb pogiętych blach, który uwięził człowieka. Niestety, on już nie żył. Dopiero dziś nad ranem, około drugiej wydostaliśmy ciało. Przy pomocy specjalnie zmontowanych na miejscu lekkich bosaków rozebraliśmy na tyle stalową trumnę, że mogliśmy wyciągnąć biedaka. Wcześniej, w sobotę, około godziny 16 dotarliśmy pod stertą zmiażdżonych konstrukcji mostu i dźwigow do innego pracownika „Elektrobudowy". Był martwy...

Schodzimy kilka kondygnacji niżej i znów wydostajemy się na zewnętrzną galeryjkę. Małek pracowicie objaśnia mi działanie elektrofiltra, tłumaczy dlaczego prawdopodobnie trzeba będzie rozebrać ten, na który spadły tony stali, choć pozornie nie wygląda na mocno uszkodzony. Ja zaś myślami cofam się dwie godziny wstecz, gdy wraz z Konradem Turowskim z „Kuriera Polskiego" znaleźliśmy się w sekretariacie dyrektora naczelnego bełchatowskiej elektrowni i zaczęły się tradycyjne przekomarzania z dziennikarzami, pod hasłem kto i co może nam powiedzieć w sprawie wypadku. Pani Liwia i pani Kasia herbatą nas poczęstowały, ale poza tym pracowicie uprzedzały każdego, kto tylko pojawił się w drzwiach, by uważał na słowa, nie dał się wciągnąć w rozmowę, bo „potem trzeba będzie się tłumaczyć". Urocze dziewczyny, tylko widocznie jakieś niesympatyczne doświadczenia z innymi żurnalistami mieć musiały. Wiadomo było, że dyrektor naczelny elektrowni — Tadeusz Kołcz czasu mieć

dla nas nie będzie; na miejscu wypadku przebywał od godziny szef resortu górnictwa i energetyki — generał dywizji Czesław Piotrowski, obecni byli dyrektorzy z Zakładów Energetycznych Okręgu Centralnego, władze województwa. Tym niemniej zdziwiła nas nieco wstępna oferta dyrektora technicznego elektrowni — Jana Tokarza, by niezbędnych informacji zasięgnąć u... redaktora Paulina Płomińskiego z telewizji. Prawo prasowe chyba nie przewidziało takiej formy zbierania dziennikarskich materiałów, a poza tym cóż to za reporter, który opiera się w swej relacji wyłącznie na opowieściach z drugiej ręki. Ja musiałem tam wejść, dotrzeć na ową hałdę...

Niewiele jednak szczegółów dotyczących wypadku i akcji ratunkowej dowiadujemy się z krótkiej rozmowy (a jednak!) z dyrektorem Tokarzem. Zdarzenie miało miejsce na terenie Kombinatu Budowy Elektrowni, oni kierowali akcją, oni powinni udzielać informacji. Cztery bloki elektrowni pracują normalnie, plan roczny wykonały 21 listopada, a do końca roku dodatkowo dadzą do sieci miliard kilowatogodzin. Zdaniem dyrektora Tokarza skutki wypadku powinny zostać usunięte w miesiąc, z wliczeniem „piątki" nie powinny wiązać się zatem jakieś większe opóźnienia, „szóstka" przejdzie próby wodne w grudniu, w połowie przyszłego roku powinna wejść do eksploatacji, a siódmy blok, zgodnie z planem — pod koniec 1985 roku. Ostatni z dwunastu identycznych, 360-megawatowych bloków — w 1988 roku. Sam wypadek? Bliższe szczegóły? To już pracownicy Kombinatu, dyrektor Kopczyński i jego ludzie...

No i mamy szczęście: zjawia się szef Kombinatu — Tadeusz Kopczyński. Zmęczona wydarzeniami minionych godzin twarz, robocza kurtka, buciska w błocie. Chyba nie wraca ze swego gabinetu. I od razu proponuje rzeczowo: — Panowie, idziemy na miejsce, tam najlepiej zrozumiecie grozę sobotniego popołudnia, wielogodzinną walkę o ludzkie życie. — Jasne, zawodowiec... — mruczy pod nosem zadowolony reporter „Kuriera Polskiego", mozoląc się z paskiem ochronnego hełmu.

Gdy brniemy w kierunku ogromnej sterty złomu, kolebiących się wciąż w podmuchach mikrego wiatru stalowych okruchów, pytam o operatorów dźwigów, wszystkich żurawi, których maszty widoczne są właściwie z każdej strony.

— Operatorów wycofaliśmy wiele godzin przed katastrofą — objaśnia cierpliwie Kopczyński. — Dźwig może pracować, gdy prędkość wiatru nie przekracza 15 metrów na sekundę, to jest górna granica. Tymczasem w sobotę, zamontowane na nich wiatromierze wskazywały minimum 35 metrów na sekundę. Pewnie i więcej jeszcze, ale urządzenia tylko do tej wysokości mają skalę, wskazówki wychylone były wciąż do oporu...

— Ostrożnie, co się pan tak zamyślił... — łapie mnie za rękę Leszek Małek, gdy przytłoczony widokiem skręconego niczym zepsuta, dziecięca zabawka dźwigu wyjść chciałem na zewnętrzną galeryjkę, której — nie było. Został tylko pierwszy, wiszący w powietrzu stopień i ślady rozdzieranych blach na ścianie.

— Niesamowite, wciąż nie mogę tego zrozumieć — widzę, że mój przewodnik na równi ze mną przerażony jest ogromem zniszczeń. — Dlaczego on się przewrócił? Nie był najwyższy, niedaleko, w budowanej chłodni stał przecież identyczny, ale wysoki na ponad 140 metrów, ten nieszczęsny miał może z 50 metrów wysokości. O, niech pan zerknie na prawo, tam za budowaną „szóstką" i „siódemką" widać kolejne dwa żurawie, wolno stojące, bez żadnych dodatkowych zabezpieczeń przed tą wichurą. Żaden nawet się nie pochylił czy przesunął. A ten runął jak nożem ścięty!

Małek wciąż prowadzi mnie swoimi ścieżkami, skaczemy po belkach, rusztowaniach, przedzieramy się przez specjalnie chyba na czas akcji ratunkowej wycięte otwory w ścianie budynku.

— Pracowaliśmy w sobotę w krańcowo ciężkich warunkach — opowiada — ludzie byli zupełnie zdezorientowani tym niesamowitym wypadkiem. Trudno mówić o psychozie strachu, ale naprawdę nie byliśmy już pewni, czy któryś z okolicznych masztów również nie poleci. W tej nawałnicy gdzieś z góry leciały blachy, fragmenty oszalowań, a ludzie krzyczeli, by uciekać, bo kładzie się następny. To dziś trudno sobie uzmysłowić, ale ciężkie deski fruwały niczym ptaki...

— Szkoda, że nie mogę porozmawiać z Mikuckim i jego ludźmi — myśl o ratownikach wpełzających pod tony stali wciąż nie dawała mi spokoju.

— Dlaczego nie? Oni są tam jeszcze na dole — Małek znów rusza w labirynt korytarzy — niesamowici ludzie, tak twardych naprawdę jeszcze nie spotkałem. Po wielogodzinnej akcji, w trakcie której w każdej chwili ryzykowali własne życie, gdy dotarli do nieżyjącego już kolegi i wydobyli ciało — dosłownie walili się z nóg. Ale tylko pozornie: nie dali się zluzować, przespali gdzieś na zapleczu 2—3 godziny i wrócili na plac. Przecież te skręcone, zgniecione konstrukcje wciąż mogą runąć. Oni o tym wiedzą.

Przemykamy wąską galeryjką obok kanciastych, obłożonych srebrną blachą kanałów dolotowych do elektrofiltra. Dwa kanały zerwane, zmiażdżone, trzeci, oderwany od potężnego kołnierza, oparty jedną krawędzią o zniszczony most węglowy łagodnie kołysze się w słabych podmuchach wiatru. Może odpaść w każdej chwili. Na pozostałościach identycznej, metalowej galerii po przeciwnej stronie grupa ludzi w hełmach mocuje się z jakąś belką.

— Jest! Mikucki... — Małek wskazuje szczupłego mężczyznę w białym kasku. Przyśpieszam kroku, ostrożnie, bo właśnie skończyła się poręcz.

— Gdzie idziesz!! Człowieku!!! — Mikucki gwałtownie gestykuluje, krzyczy by nie podchodzić. — Panie dyrektorze! — to do Małka za moimi plecami — Wszystko siada, lepiej nie zbliżajcie się... Teraz dopiero czuję, że blaszana podłoga pod nogami lekko pulsuje, pływa. Mocniej zachybotał srebrny kanał dolotowy nad naszymi głowami; wycofujemy się. Nie będzie rozmowy — Mikucki łapiąc równowagę na śliskich blachach niczym tancerz na linie wraca do swoich, do roboty...

Wracamy. Jeden korytarz, drugi, teraz oglądamy pobojowisko od strony V-500, czyli zbiornika wody zdemineralizowanej. W odległości paru metrów kołysze się werżnięty w przenośniki węglowe fragment konstrukcji żurawia. Na połamanym, skręconym potwornią siłą wysięgniku dźwigu z trudem odczytuję nazwę „Potain". Nieco dalej zakleszczony w złomach blach i rusztowań żółty „Grove-800". On tego dnia montował kolejne kanały dolotowe. Teraz pogięty, ze zdemolowaną kabiną, jak odrzucona w kąt przez dziecko olbrzyma niepotrzebna zabawka.

— Cholera, ludzie zginęli i tyle ciężkiej roboty poszło na marne — Małek jakby wciąż nie wierzył w ogrom nieszczęść. — Jeszcze wiele dni upłynie zanim będziemy mogli ocenić wszystkie szkody. Ale według mojego rozeznania same dźwigi warte są około pół miliarda złotych.

Żegnamy się. Dyrektor Małek wyprowadza mnie sobie tylko znanymi skrótami. Pokazuje jeszcze przekop kanalizacji przemysłowej, w którym cudem uratowało się czterech ludzi. W momencie uderzenia byli akurat po przeciwnej stronie, tuż pod mostem, który runął zgnieciony przez padające dźwigi wprost — wydawałoby się — na nich. Jeden z pracowników doznał lekkich obrażeń, ale udało im się wycofać, podziemnym kanałem, ponad 25 metrów długim...

Mocny uścisk ręki. I zaproszenie na budowę w spokojniejszych okolicznościach. Dalej brnę już sam. Przeskakuję przez stertę szyn i potykam się o coś w rozmokłej ziemi. Pęknięty, ochronny hełm...

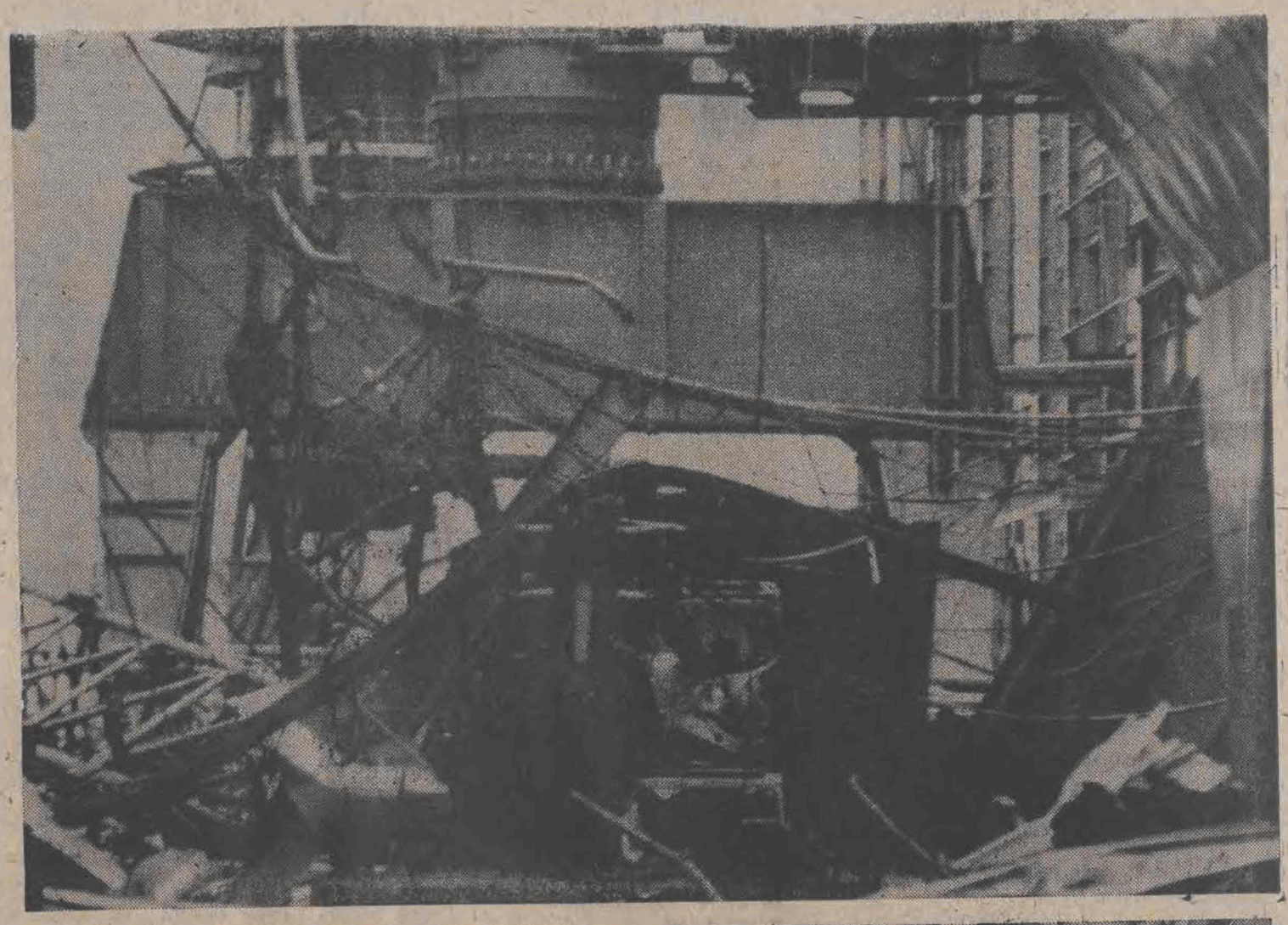

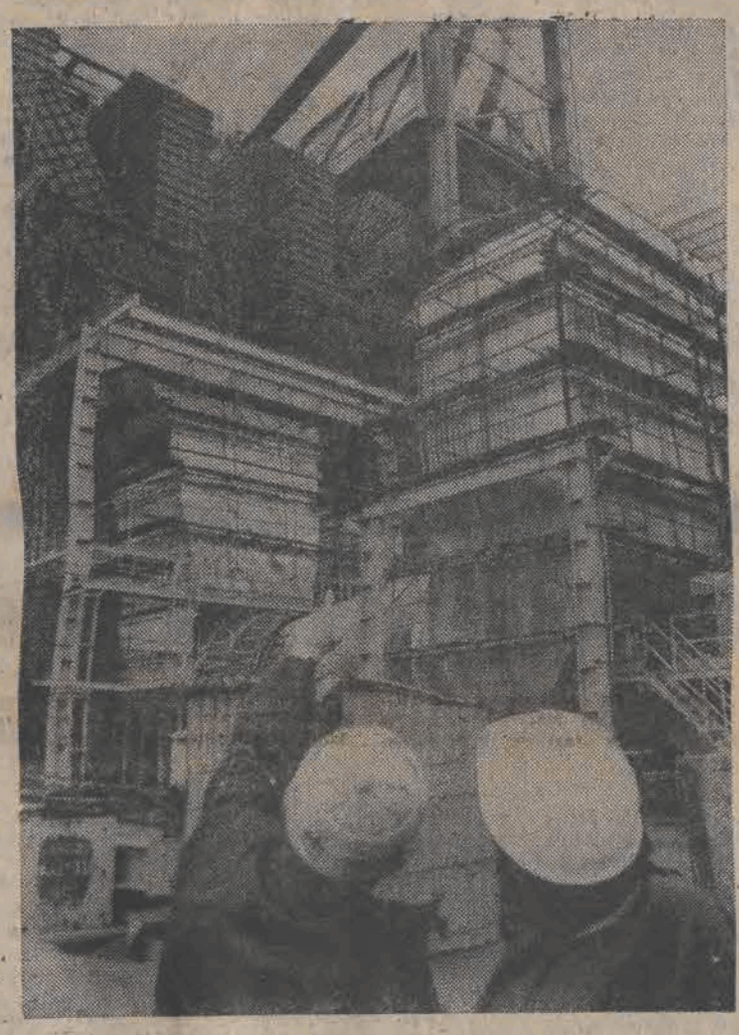

Foto: Konrad Turowski

Wirydarz poetycki

Leszek Czachorowski

★ ☆ ★

Wierszokleci zbierają się w kuchni
przy szklankach parującego światła.
Ciągle dziecinni
czekają na zmianę pieluch —
wówczas powracają do wygasłych ognisk
a pajączki ich słów
rozłażą się po kątach.

Teraz opowiem ci wiersz
jak czerstwy kawałek chleba.
Wiedz że przechodzę
przez czarną wodę snu
obok znajomych zwierząt.
Ich rogi podpierają
mój ostatni współczujący księżyc.

Jeszcze nie poznałem
pasterzy słów
chociaż czuję uzdę niepokoju.
Ale nie myśl
że potrzebuję kogokolwiek.
do chłodnego żłobu.
Nie.
To sen mnie zmusza
czyni duszącą się rybą
wypchanym ptakiem wyobraźni
lub bezdeszczową chmurą
i często zbieram czas
który przesypał się we mnie.
Bez zdziwienia widzę —
nie słuchasz
jakbyś spotkał siebie
poza rogatkami wiersza.

Skończyła się herbata.
Znowu ktoś zapukał obok.
Zostały płatki słów
i swąd spalonej sierści.
Czujesz
a jednak po co te —
po co — pytasz.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

★ ☆ ★

to jest miejsce
gdzie na lisim futrze snu
rozkładam wycinki gazet
pozłacane obrączki
i kilka swoich twarzy

to jest miejsce
w którym rozliczam się
z koła ratunkowego
z cienia pod ścianami
i z okna samouwielbienia

to jest miejsce
kupionych odpustów
i recept na pokutę
— tutaj zasypiam spokojnie

★ ☆ ★

moi synowie
mierzą upływ czasu
wyrastaniem z kolejnych par spodni
szukają wąsów pod nosem
oczyma łowią
smukłe ryby doznań w przestrzeni wyobraźni
pełnymi garściami
zrywają owoce dobra i zła
otwarci wychodzą naprzeciw

LIST Z WYBRZEŻA

Moniuszko i Maria Fołtyn

W 1948 roku w Operze Leśnej w Sopocie debiutowała młoda i nieznana śpiewaczka. Nazywała się Maria Fołtyn. Miała szczęście, gdyż pierwszą jej rolą była Halka w operze Moniuszki. Początkująca artystka nie zmarnowała tej szansy — pokazała duże możliwości wokalne i jednocześnie ujawniła znaczny talent aktorski. Nic dziwnego, że wkrótce potem Fołtyn została „porwana" do Warszawy.

Tam właśnie rozpoczęła się właściwa jej kariera wokalna. Zdobywała stopniowo pozycję w stołecznej operze, stając się nawet nieoficjalną primadonną Teatru Wielkiego. Aż do roku 1962 Maria Fołtyn odnosiła sukcesy na warszawskiej scenie. Nie tylko tam zresztą — zapraszano ją do czołowych teatrów operowych Europy. Już wtedy Maria Fołtyn mogła być uważana za ambasadora kultury polskiej.

Nadszedł jednakże ów rok 1962. W Teatrze Wielkim w Warszawie nastąpiła zmiana dyrekcji. Nowe kierownictwo, a zatem i nowe porządki. Koniec z primadonnami. Maria Fołtyn została zwolniona z teatru w którym odniosła tyle znaczących sukcesów. Opuściła więc, bardzo rozgoryczona, scenę warszawską. Wydawało się, że jej kariera artystyczna zbliża się do końca. Tak pewnie myśleli wówczas jej przeciwnicy. Nie docenili siły charakteru pani Marii, zlekceważyli jej talent...

Fołtyn śpiewała później w operze w Lipsku, następnie pojechała do Lubeki. Nie musiała się martwić o pracę — wiele teatrów operowych chętnie by ją u siebie widziało.

Fołtyn miała jednakże inne plany — wówczas dojrzewała w niej myśl, by zająć się reżyserią operową. Długo nie mogła zdecydować się na ten krok. Obserwowała pracę innych reżyserów (a stykała się ze znakomitościami europejskiej opery) i... nadal śpiewała.

Wreszcie w roku 1967 wróciła do kraju, prawie zdecydowana na podjęcie studiów reżyserskich. Jeszcze przez dwa sezony (lata 1967—69) śpiewała w Teatrze Wielkim w Łodzi, by rozpocząć wreszcie studia w PWST w Warszawie. Ledwo udała się na ulicę Miodową, a już otrzymała propozycję, by zaśpiewać partię Toski na Kubie. Pojechała więc do Hawany (za zgodą swojej uczelni). Tosca okazała się sukcesem śpiewaczki. Jednakże kierownictwo Teatro Garcia Lorca w Hawanie dowiedziało się, że Fołtyn studiuje reżyserię. Efekt był taki, że Maria Fołtyn dostała szansę debiutu reżyserskiego na Kubie. Artystka powiedziała, że zgoda, pod warunkiem, że będzie mogła wystawić polską operę narodową. Kubańczycy na to przystali. Wybór padł na „Halkę" Stanisława Moniuszki.

W ten sposób 16 października 1971 roku rozpoczęła się kariera reżyserska Marii Fołtyn i jednocześnie opery Stanisława Moniuszki rozpoczęły wędrówkę po światowych scenach operowych. Przez trzynaście lat Fołtyn zrealizowała cztery przedstawienia „Halki" i trzy — „Strasznego dworu". Muzyka Moniuszki trafiła do Meksyku, Turcji, Rumunii... Ostatnio „Halka" w reżyserii Fołtyn została zrealizowana w operze w Nowosybirsku. Nie sądzę, by był to kres ambicji Marii Fołtyn.

Jej marzeniem jest, by opery Stanisława Moniuszki trafiły do ojczyzny bel canta — do Włoch. Poczyniła już pewne kroki w tym kierunku. I być może w przyszłości „Halka" czy „Straszny Dwór" zostaną zrealizowane w Rzymie lub Mediolanie. Miałoby to kolosalne znaczenie dla dalszej recepcji muzyki Moniuszki w świecie — jego opery stałyby się wtedy tzw. pozycjami repertuarowymi. Wreszcie Stanisław Moniuszko jako kompozytor zyskałby należną mu rangę...

Maria Fołtyn wytrwale propaguje jego muzykę nie tylko poza granicami Polski, ale także w kraju. Od siedmiu lat jest kierownikiem artystycznym Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie Zdroju. Jest to ważna impreza muzyczna, dzięki której pieśni Stanisława Moniuszki trafiają do wiejskich domów kultury czy innych małych placówek (Fołtyn uzyskała pomoc redakcji „Gromady" i pismo to wydrukowało dwanaście pieśni Moniuszki).

Obraz działalności reżyserskiej Marii Fołtyn nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli o jej realizacjach oper Stanisława Moniuszki w naszych teatrach. Widzowie warszawscy mogą zobaczyć jej „Parię", a wrocławscy — „Śpiewnik domowy", który z takim sukcesem wystawiła w tamtejszej operze.

Przed Marią Fołtyn nowy sezon działalności artystycznej. Wiadomo, że w Operze Śląskiej w Bytomiu zrealizuje „Toscę", a w Teatrze Wielkim w Warszawie — „Królową Jadwigę" Karola Kurpińskiego. Być może jednak wystawi także jakąś operę Moniuszki...

WIESŁAW NOWICKI

Zrozumieć przed opisaniem —opisywać aż do zrozumienia

Opowiem o plenerach fotograficzno-plastycznych pt. „Opisanie świata". Dane mi było uczestniczyć w nich już po raz drugi. Organizatorem plenerów jest Łódzki Dom Kultury, który raz do roku grupuje gdzieś w jednym miejscu — rozproszonych po łódzkich i ościennych, a podległych mu placówkach kulturalnych — instruktorów, amatorów, animatorów i różnych innych niespokojnych. Dla urozmaicenia, już zwyczajowo, zapraszając jeszcze kilkunastoosobową czesko-niemiecką grupę plastyków i fotografików.

To „opisanie świata" — wymyślił Ryszard Hunger — oficjalnie docent PWSSP, jej prorektor, artysta malarz, a także opiekun eldekowskiego koła malujących amatorów — nieoficjalnie — gitarzysta, piosenkarz i w ogóle: poeta uniwersalny. Być kierownikiem artystycznym tegorocznego pleneru.

W zeszłym roku, podczas pierwszego pleneru, który odbył się w Wielu — dr Grzegorz Sztabiński podbudował grupę teoretycznie cyklem wykładów o rzeczywistości fizycznej i psychicznej naszego świata. A wśród prezentacji autorskich, spotkań wieczornych i nocnych artystów rozprawiań i tego „czegoś" nieuchwytnego, co otaczając czas, miejsce i obecnych — nagle rodzi zdarzenia nieoczekiwane — powstało kilka akcji, których nie sposób będzie tym co je przeżyli zapomnieć.

Po kilku miesiącach plener wydał także owoc — w postaci wystawy, prezentowanej w maju w Galerii Studenckiego Teatru „Pstrąg".

Szefostwo Łódzkiego Domu Kultury postanowiło rzecz kontynuować. W roku 84 na miejsce zgrupowania wybrano wypoczynkową osadę na Ziemi Lubuskiej — Lubniewice.

W tym roku w Lubniewicach uczestniczyło w plenerze około pięćdziesięciu ludzi, wrażliwych na około pięćdziesiąt sposobów.

Odbyły się dwa wieczory autorskie, trzy salony fotograficzne serio i jeden dość nieoczekiwany, kilka spotkań teoretycznych, pokazy diaporamy: jeden zaprezentowany uczestnikom, a drugi już autorstwa samych uczestników i to z udziałem postronnych widzów — wczasowiczów lubniewickiego zamku, który gościnnie użyczył podwoi.

Wiosną przyszłego roku odbędzie się wystawa obrazów, fotogramów z tego wspólnego zaistnienia w ładzie i nieładzie emocji.

TAMARA ROSZAK

Malarze

Diaporama w zamku

Foto: Andrzej Janaszewski i Piotr Tomczyk

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

TRZY ANEGDOTY O CENZURZE

Pisze Józef Dropsy (Z dni Rzeczypospolitej Krakowskiej. „Bibilioteka Warszawska", 1913, t. 4):

Przy końcu Rzeczypospolitej wprowadzoną została cenzura. Cenzorem był Majeranowski, były redaktor „Pszczółki Krakowskiej", która swojego czasu uchodziła za czasopismo barwy liberalnej. Ów liberalny cenzor posuwał aż do śmieszności gorliwość cenzora. W znanej np. piosence w „Krakowiakach i Góralach": „Siedzi w klateczce więziona ptaszyna, że wolną była sobie przypomina" przemienił: „że była wolną" na „że była w lesie" — podobnie jak pewien cenzor kijowski wymazał w książce kucharskiej „na wolnym ogniu", a umieścił: „na słabym ogniu". Przedstawiano w owym czasie na scenie krakowskiej „Chłopa milionowego", w którym jedna z osób nosi nazwisko Lorenz. Gdy właśnie wtedy rezydent austriacki nazywał się Lorenz, Majeranowski dla przypodobania się temuż zmienić kazał w sztuce i afiszach nazwisko Lorenz na Dubois. W czasie przedstawienia aktorowie często się mylili, czy to z nawyknienia, czy też z umysłu, co naturalnie do wysokiego stopnia publiczność, która o tym wiedziała, rozśmieszało. Po skończeniu zaś sztuki, wywoływanie huczne: „Lorenz, Lorenz, Lorenz austriacki!" wykazało całą śmieszność gorliwego cenzora, który bez potrzeby skompromitował osobę, którą chciał ochronić.

I jeszcze dwie anegdoty, z których pierwsza ogłoszona została w tomiku „Milion żartów" (Warszawa 1978), druga zaś w „Kurierze Literacko-Naukowym" (1929, nr 15):

Zakazano w Szwajcarii w jednym czasie dwie książki: jedną pod tytułem „Rozum", a drugą „Dziewica Orleańska" Woltera. Urzędnik w jednym z kantonów po uczynionej rewizji, napisał do senatu w następujący sposób: „Była w naszym kantonie ścisła rewizja, lecz ani Rozumu, ani Dziewicy nie znaleźliśmy".

W jednej z komedyj Castellego miał pewien starszy pan powiedzieć: „Jej pierś biała i pełna". Cenzor wiedeńskiego Burgteatru skreślił te słowa i wstawił zamiast nich następujące: „Ona jest z przodu pięknie zbudowaną".

DRAMAT W RESTAURACJI

Raz w traktierni jak się zdaje,
Jadłem z szynką cznicejaje 1),
Gdy wtem w zębie coś mnie strzyka,
A tu nie mam łaczkiwyka 2),
Więc do panny biegnę w strachu,
A ta: „płać pan naczekrachu" 3)!
Oburzony na te sługi,
Wydobywam larespugi 4),
I strach jakby śnieg mnie topi:
Nie mam ani jansakopi 5)!...
Więc spuściłem nos na kwintę
I... drapnąłem z resuinte... 6)

W tym mrożącym krew dramacie „z wielu zdarzeń prawdziwych", opisanym sugestywnie przez Władysława Buchnera (Ner. Bucha) w „Facecie" — wesołym kalendarzyku na 1893 rok, sporo jest tajemniczych słów, które co rychlej wyjaśniam: 1) jajecznica, 2) wykałaczka, 3) rachuneczek, 4) pugilares, 5) kopijans = kopiejka, 6) interes = traktiernia.

PRZYJDŹ DUCHU ŚWIĘTY!

Proboszcz miał mieć kazanie na zesłanie Ducha Świętego, namawia tedy organistę, żeby złapał gołębia i przywiązał koło sygnaturki, a jak zawoła: „Przyjdź, Duchu Święty!" — żeby go puścił dziurą od sygnaturki do kościoła. Organista zrobił tak, jak mu było nakazano. Proboszcz stanął na ambonie i prawi wstęp do kazania o zesłaniu Ducha Świętego, a tymczasem organista poszedł na strych, żeby gołębia mieć w pogotowiu, którego już nie było. Proboszcz woła: „Przyjdź, Duchu Święty!" — gołębia nie ma. Woła drugi raz: „Przyjdź, Duchu Święty!", a organista odzywa się przez dziurę od sygnaturki: „Nie ma, kot zjadł".

Sadok Barącz: „Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.

RADA DLA MĘŻÓW

Chcesz małżeńskie wertepy
Przebrnąć bez zawieruchy,
Bądź cokolwiek ślepy
I cokolwiek głuchy.

Mikołaj Biernacki (M. Rodoć)

MATEJKO W WARSZAWIE

Pobyt znakomitego człowieka pozostawia po sobie wspomnienia w różnych formach; jedną z nich jest powtarzanie sobie wzajem odezwań i słówek znakomitego gościa. I Matejko już ma w Warszawie swą towarzyską legendę, z której jeden ustęp przytaczamy:

W pewnym towarzystwie był męczony przez pewną damę, chcącą się dowiedzieć, którego też artystę Matejko wyróżnia na wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. Mistrz jak mógł tak się wykręcał — bo i przedmiot był drażliwy i chwila do dysputy artystycznej niewłaściwa. Przyparty jednak niezłomnością damy, która nie przestawała powtarzać:

— Czyje obrazy najwięcej się panu podobały?

— odpowiedział z uśmiechem: — Moje.

„Biesiada Literacka", 1877, nr 94

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Meandry krytyki

1.

Henryka Berezę uważa się powszechnie za akuszera młodej prozy, której coraz bardziej dynamiczny rozwój obserwujemy w latach ostatnich.

Wystąpił on z tezą o rewolucji artystycznej w prozie polskiej, wyrażającej — skrótowo mówiąc — bunt przeciwko martwocie języka pisanego i zwracającej się ku mowie żywej: *„Rewolucja artystyczna w prozie polskiej na tym głównie polega* — pisał w tomie „Bieg rzeczy" (1982) — *że martwe piękno normy zastępuje się w niej żywym pięknem tworzenia w języku"*. W znacznym uproszczeniu podstawowa teza Henryka Berezy mogłaby brzmieć następująco: aby pisarz był sobą, powinien pisać takim językiem, jakim na co dzień myśli i mówi, powinien odejść od skonwencjonalizowanej polszczyzny ku żywiołowi słów.

Utwory generacji powojennej sytuuje Bereza wśród dwóch przeciwstawnych tendencji. Pierwsza wskazuje na eliminację fikcji literackiej w prozie zorganizowanej artystycznie; druga dąży do ufikcyjnienia fikcji, czyli do jej ufantastycznienia. Celem pierwszej jest uściślenie rygorów poznawczych, celem drugiej pobudzenie rozleglejszych ambicji poznawczych. Tych zasię wszystkich, którzy młodą prozę zlekceważą, autor „Biegu rzeczy" przestrzega: *„Trzeba się uczyć czytać nową prozę, wymaga to ogromnego wysiłku duchowego, ale wysiłku tego nie da się uniknąć, jeśli rozminięcie z rzeczywistością literacką nie ma być trwałe..."*

Henryk Bereza daje przykłady własnych odczytań ponad trzydziestu autorów. Jego metoda krytyczna może się podobać lub nie podobać, niemniej jednak docenić należy stanowisko autora „Biegu rzeczy" jako patrona młodej prozy w zakresie odnowy języka literackiego, jako tego krytyka, który nawołuje do zdecydowanego odejścia od konwencjonalnej polszczyzny i twierdzi, że sztuka słowa polega dzisiaj na zaprzeczaniu wszystkim starym regułom po to, aby dać regułę własną. Stanowisko swoje nazywa Henryk Bereza przywracaniem prawa języka do życia, odwróceniem się od cmentarzyska słów, od tyranii i terroru języka pisanego, utrwalonego i spetryfikowanego w literaturze. Bez zmiany stosunku do języka, bez jego wyzwolenia nie będzie rozwoju literatury.

2.

Tropem krytycznej intuicji Henryka Berezy podąża w pewnej mierze Krzysztof Rutkowski w zbiorze szkiców „Ani było, ani jest" (1984). Stosuje on nieco inną optykę: zjawisko, które autor „Biegu rzeczy" określił mianem rewolucji artystycznej Rutkowski uważa jedynie za rodzaj artystycznych sparringów albo przedbiegów. Nowe sposoby mówienia w literaturze w sposób rozmaity *„łączą, zderzają, prześmiewają i demontują różne wizje świata"*. Zmienia się typ relacji człowieka z innym człowiekiem, ponieważ *„iluzja gotowego i ukształtowanego języka literackiego gdzieś się zapodziała"*. Literatura jawi się zatem wyłącznie jako obraz człowieka mówiącego. Dotyczy to zwłaszcza prozy, której bohater okazuje się przede wszystkim nosicielem „obrazu języka".

Krzysztof Rutkowski należy do krytyków chętnie teoretyzujących. Przejawia się to między innymi w propozycji, żeby literaturę myśleć, to znaczy, żeby wychwycić założenia, których literatura wprawdzie nie wypowiada expressis verbis, ale które ją motywują. Inaczej mówiąc chodzi o poszukiwanie, ewentualnie tylko dostosowywanie teorii do zjawisk nowych, o prawo do krytycznego ryzyka, o pozytywne nastawienia wobec literackiej praktyki „różnomówności" czy też „wielojęzyczności"

Dla Rutkowskiego najciekawszym zagadnieniem w zakresie młodej prozy jest sprawa konstrukcji bohatera literackiego. Bohater ów spełnia zazwyczaj rolę swoistego „podglądacza" Okazuje się kimś, kto przypatruje się rzeczywistości przedstawionej jako osoba niezauważalna lub na poły tylko obecna, bo lekceważona. Jako osoba, której *„nie potrzeba się lękać lub wstydzić. Z tej perspektywy widzi się więcej i słyszy lepiej niż z pozycji bardziej eksponowanych. Bohater tego rodzaju wywodzi się z antycznej awanturniczej powieści prób, pojawiał się w rozmaitych wcieleniach w rozwoju całej nowoczesnej prozy powieściowej"*. Tak więc dokonująca się pod młodymi piórami próba przewartościowania sposobów mówienia, odświeżenia środków językowych, posiada dawne tradycje. Bowiem źródła żywego języka zawsze przekraczają literackie bariery i ograniczenia.

3.

Andrzej W. Pawluczuk w książce „Rozbiory" (1983) czyni takie oto spostrzeżenie: *„Żywiołowość poezji zaznacza się zawsze wtenczas, gdy potrzebne są nowe idee. Prawidłowość ta sprawdza się od schyłku Rzeczypospolitej szlacheckiej, poprzez romantyzm, początki międzywojnia, po przełomy pokoleniowe, jakie wystąpiły w literaturze ostatniego czterdziestolecia. W okresach natomiast, kiedy idee i programy przychodzą z zewnątrz, spoza literatury, jak chociażby w pozytywizmie warszawskim, dominującym gatunkiem staje się powieść. Jej powolny i apelujący do chłodnego rozsądku rytm narracji wydaje się bardziej przystawać do epoki, której naczelnym hasłem jest zmaganie z materią"*. W ten sposób wyjaśnia krytyk obfitość prozatorskich debiutów lat ostatnich.

Pawluczuk deklaruje się jako zwolennik pokoleniowego oglądu literatury. Dostrzega on przełom pokoleniowy, jaki — jego zdaniem — nastąpił około roku 1975. Istotną cechą dystynktywną wspomnianego przełomu ma być fakt, iż pokolenie 75 nie traktowało siebie jako pokolenie: *„Nikt nie odczuwał jakiejś bardziej istotnej wspólnoty zapatrywań, żaden debiutujący w tym roku (i w latach następnych) pisarz czy krytyk nie wypowiadał się w imieniu grupy, nikt nie rościł sobie pretensji, że wie, czego potrzebuje społeczeństwo. W ogóle refleksji dotyczącej życia politycznego i problemów społecznych w utworach tej generacji nie było. Pisanie i literatura stały się zagadnieniem wyłącznie artystycznym i jak najbardziej prywatnym"*.

Właśnie owa prywatność czy też prywatyzacja zdaje się — według krytyka — wyróżniać utwory pisarzy debiutujących w latach siedemdziesiątych od książek poprzedników. Świat jest jaki jest, mechanizmy nim rządzące są niezmienne, pomiędzy człowiekiem a pozostałym światem istnieje „szklany mur, przez który można wprawdzie ten świat podglądać, lecz nie można weń ingerować", świat zatem okazuje się nieprzyjazny, człowiek zaś nie jest w stanie wejść z nim w jakiś zasadniczy, pogłębiony kontakt. Bohaterowi młodej prozy pozostaje albo eskapizm, albo reakcja obrażonego dziecka, albo zajęcie się własnymi li tylko sprawami. W ten sposób wyzbywa się on kontekstu społecznego i historycznego, jawi się jako człowiek bez genealogii i bez adresu. Świat mu się wprawdzie nie podoba, lecz nie uważa za stosowne podjąć próbę dokładniejszego jego rozpoznania, ani tym bardziej nie chce mu się działać w kierunku zmiany świata na lepszy Młody człowiek jest zwykle zaskakiwany przez wydarzenia, przyjmuje je jako siły, na które nie posiada najmniejszego nawet wpływu. Trwa w bezradności, godzi się na istnienie takiego świata. Jedyną wartością staje się prywatność, ochrona jaźni przed złowieszczym oddziaływaniem rzeczywistości.

Z grubsza biorąc tak wygląda stereotyp młodej prozy pod piórem Andrzeja W. Pawluczuka. Powtarzając za Stanisławem Brzozowskim, iż literatura ma do spełnienia ważny obowiązek społeczny, polegający na rzetelnym informowaniu o świecie, na uporządkowaniu jego elementów i ustalaniu hierarchii wartości oraz celów, Pawluczuk oczywiście przejaskrawia swoją wizję młodej prozy jako zjawiska intelektualnego oferującego świadomość fałszywą bądź tylko zafałszowaną, jako zjawiska, w którym aż się roi od pustych miejsc i białych plam, stanowiących rezultat nieustannych nacisków sytuacji i cenzury.

Pawluczukowi chodzi o obronę obowiązku pisarza, o odczytywanie sensu czasu i rzeczywistości, uważa bowiem, iż rzeczy nie nazwane, nie opisane nie dotrą do społecznej świadomości. Wydarzenia przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zdają się przeczyć jednak temu poglądowi.

To prawda, że pojmowanie obowiązku pisarskiego wygląda dziś inaczej niż kiedyś, uległo ono wyraźniej redukcji. Ale też stanowisko autora „Rozbiorów" wydaje się maksymalistyczne, idealizujące, czyniące z literatury jakiegoś dromadera, który dźwigać powinien wszystko, co mu tylko zostanie na grzbiet wtłoczone: ponieważ nie mogą rozpoznać rzeczywistości dziennikarze, publicyści, socjologowie, historycy etc. — niechaj więc to czynią z dumnie podniesionym czołem pisarze. Andrzej W. Pawluczuk nie zwraca po prostu uwagi na to, o czym z dużym ubolewaniem mówiono nie tak dawno, iż potężne ongiś królestwo literatury zmniejszyło się do rozmiarów porozbiorowego książtewka. I to nie tylko na gruncie polskim.

4.

Rzecz Jana Góreca-Rosińskiego „Wolność odmówiona?" (1984) stanowi poszerzoną i uaktualnioną wersję zbioru szkiców sprzed lat dziesięciu „Mity i rzeczywistość literacka". Autor jest aktywnym twórcą — poetą, prozaikiem, publicystą — a ponadto wieloletnim redaktorem bydgoskich „Faktów", działaczem Związku Literatów Polskich. Okoliczność ta warta jest odnotowania o tyle, iż wyraznie rzutuje na charakter szkiców. „Wolność odmówiona?" to *summa* poglądów Góreca-Rosińskiego na literaturę i sposób jej funkcjonowania u nas. *summa* wynikła w równej mierze z przemyśleń, lektur i doświadczeń.

Usiłuje ona pogodzić odrębnie na ogół traktowane ujęcia literatury (czy szerzej sztuki). Górec-Rosiński przyznaje wprawdzie, iż literatura jest zjawiskiem autonomicznym, ale pełnej autonomii jej odmawia, ponieważ nie lekceważy wpływu procesów społecznych na twórczość pisarza. Wiadomo, że twórca staje się nosicielem wartości przede wszystkim poprzez swoje dzieło, a nie poprzez działalność społeczną czy przynależność organizacyjną. Mówiąc inaczej wpływa on na świadomość społeczną jako artysta, a nie jako aktywista. W tak delikatnej materii, jaką stanowi twórczość artystyczna liczy się przede wszystkim indywidualność i spontaniczność, autentyczność reakcji, nie zaś taka czy inna dyspozycyjność. — Czy jednak człowiek pióra pozostać może w pełni suwerenny? — oto jedno z zasadniczych pytań tej książki. Wolność artysty, jeśli zechce on respektować społeczną odpowiedzialność swojego zawodu, może być tylko wolnością odmówioną czyli po prostu ograniczoną — stwierdza Górec-Rosiński, rozwijając następnie myśl Ignacego Fika: *„dwie są realności, dla których działa literatura: osobowość człowieka i kształt epoki. Z tych dwu spraw będzie pytany każdy pisarz"*. Rzecz w tym, by dokonać syntezy artystycznej, takiej syntezy, o której Camus powiadał, iż nie jest ani totalną zgodą, ani totalną niezgodą na rzeczywistość, ale obiema jednocześnie — czyli nieustającym poszukiwaniem.

Pisarz odmówić sobie musi reakcji ułatwionej, gry bezpośredniej, a więc tych przywilejów wolności działania, z jakich korzysta na przykład polityk. Jego słowo nie powinno służyć osiąganiu doraźnych korzyści politycznych, powinno być odporne na wszelką manipulację. Tak — w dużym skrócie — rozumie autor „Wolności odmówionej?" powinność pisarza Wie jednak zarazem, że postulaty te, w końcu nienowe, bardziej przypominają marzenie niźli realność, gdyż najrozmaitsze uwarunkowania naszego życia kulturalnego nie obeszły się z nimi najlepiej. Stąd ważna, również dla chwili obecnej, refleksja: *„Pojawia się konieczność rzeczowego zbadania, dlaczego ZLP na ogół formalnie tylko reprezentuje i ochrania interesy twórcze, materialne i moralne pisarzy? Dlaczego nie bierze aktywniejszego udziału w kształtowaniu polityki kulturalnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej? — jak to w statucie zapisano"*. Czy doczekamy się takiego rzetelnego zbadania i czy będzie ono mogło wpłynąć na wielorakie polepszenie sytuacji polskiego pisarza? Przyszłość pokaże.

Najciekawsze są te stronice, w których — w oparciu o własne doświadczenie — zajmuje się Górec-Rosiński sytuacją pisarza zamieszkałego na prowincji. O tym, że prowincjonalne obsesje mszczą się na środowisku literackim wiadmo nie od dziś. Górec-Rosiński dorzuca garść szczegółów, kilka anegdot, przejaskrawia i kpi, zajmuje się regionalizmem i biurokracją, wypowiada pogląd na temat spotkań, sympozjów literackich. Przypomina dowcipne sformułowanie Stanisława Jerzego Leca, który zwykł był mawiać, iż literatura nie żyje sesjami, lecz obsesjami. Tymczasem jednak pisarz na prowincji występuje niezmiennie w podwójnej roli: człowieka pióra i animatora życia kulturalnego. Bo taka ciągle jeszcze jest jego rola, by nie powiedzieć powołanie, w kulturalnej edukacji społeczeństwa.

Słowa Dantego z „Boskiej komedii" mają być hasłem pisarzy: *„Idź swoją drogą, a ludzie niech mówią, co chcą"*. Jaka to ma być wędrówka? Podporządkowana dziełu — bo w istocie rzeczy tylko ono ma znaczenie dla współczesnych i potomnych. Tylko ono się liczy w ostatecznym rozrachunku. Zaś nadzieje i klęski, rozczarowania i sukcesy życiowe autora... któż o nich pamięta poza wąskim gronem badaczy literatury. Samorealizację pisarza mierzy się wyłącznie jego dziełem. Do pielęgnacji dzieł nawołuje więc w końcowym akcie strzelistym autor „Wolności odmówionej?": — *„Śpiesz się... Wiesz już, że na nikogo liczyć nie możesz. Nikt ci w twoim dziele nie pomoże, co najwyżej pogmatwa twój dzień, uczyni ciemniejszymi noce, oddali możliwość porozumienia się z innymi, chociaż — być może — nawet będą i wiwaty (...). Literatura jest tylko małym życiorysem tego nieustającego wulkanu jaki goreje i wybucha samoistnie i samoczynnie: życia. Ale nie masz nad nią sprawiedliwszego świadka i sędziego. Odwagi więc..."* Odwagi!

* * *

Meandry krytyki... Słyszy się bez przerwy o braku krytyki literackiej w Polsce. Prawda — krytyków w wielkim stylu, do czego przyzwyczaili nas dawni koryfeusze, rzeczywiście nie ma. Ale krytyka przecież istnieje. Taka, na jaką po prostu zasługujemy.

Przedstawione powyżej głosy krytyków albo koncentrują się szczegółowo na zjawiskach nowych, albo przypominają o prawach i powinnościach literatury. Towarzyszą twórczości i jej kontekstom. Komentują. Przeczą tezie o „pustej karcie". Karta krytyczna bowiem nie wydaje się pusta. Jest tylko zapisana drobnym, nie zawsze wyraźnym, dostatecznie czytelnym i przekonywającym pismem.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Kronika kulturalna

21 listopada z okazji trwających Dni Książki Człowiek—Świat—Polityka w Klubie Zakładowym „Poltex" otwarto wystawę książek o tej tematyce. W otwarciu wystawy uczestniczyli: sekretarz KŁ PZPR **Andrzej Hampel** i wiceprezydent miasta Łodzi — **Jan Nosko.** Zebrane na wystawie książki ułożone zostały w 6 działach: prawo, filozofia, religia, historia, wojsko i kraje socjalistyczne. Zgromadzono około 300 tytułów. Obok wystawy zorganizowany został kiermasz. Niestety wystawa czynna była tylko 3 dni. Podobna wystawa zorganizowana została również w „Uniontexie"

PTL „Arlekin" wystąpił z premierą adaptacji doskonale wszystkim pokoleniom znanej powieści Alena Aleksandra Milne'a **„Kubuś Puchatek".** Sztukę wyreżyserowała i adaptacji dokonała **Anna Proszkowska,** scenografię przygotował **Marcin Wenzel,** muzykę skomponował **Marek Fredek,** wokalnie zespół przygotował **Marek Fredek** i **Jan Targowski.** Grają: **Joanna Ignaciuk, Małgorzata Jakubowska, Małgorzata Wolańska** i **Stefan Guzik.**

23 listopada otwarta została w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego wystawa pt. **„Literatura radziecka w „Książce i Wiedzy".**

W GALERII Domu Technika — NOT otwarto Konkursową Wystawę Plastyków Amatorów Województwa Miejskiego Łódzkiego, zorganizowaną dla uczczenia 40-lecia PRL. Na wystawie zgromadzono 80 prac. Pierwszą nagrodę zdobył **Kazimierz Adamiec,** dwie drugie nagrody **Bronisław Marszał** i **Marian Matysiak.** Nagrody trzecie: **Stanisław Ostrowski, Tadeusz Rynkiewicz** i **Jan Filipski.** Honorowe wyróżnienie **Tadeusz Bartczak.**

W DNIACH 23—29 listopada trwać będą **w Łodzi Dni Muzyki Georga Friedricha Haendla i Feliksa Mendelssohna.** Muzykę tę prezentować będą wybitni organiści z RFN: Joachim Grubich, Józef Serafin i Michael Helnemann oraz Łódzka Orkiestra Kameralna „Pro Musica" pod dyrekcją Zbigniewa Friemana, Orkiestra Symfoniczna Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie pod dyr. Kazimierza Wilkomirskiego, Zespół Instrumentów Dawnych „Fiori Musicali".

W NIEDZIELĘ 25 listopada staraniem Zarządu KKI odbyła się Międzynarodowa Rewia Iluzji. Wystąpili wybitni artyści z Austrii, Bułgarii, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Węgier.

W MINIONY czwartek w Ośrodku Propagandy Sztuki otwarta została reprezentacyjna wystawa **„Polska grafika współczesna".** Na wystawie zgromadzono 500 prac najwybitniejszych artystów polskich ostatniego dwudziestolecia. Wystawę tę w ramach obchodów 40-lecia PRL zaprezentowano w Bratysławie, Pradze i Berlinie podczas Dni Kultury Polskiej. Wystawa podzielona została na dwie części. Jedna część prezentowana jest w Ośrodku Propagandy Sztuki, a druga w Galerii Sztuki BWA.

ORGANIZATOREM interesującej imprezy, która odbędzie się 3 grudnia jest Stowarzyszenie Twórców Kultury. Odbędzie się mianowicie spotkanie realizatorów spektakli teatralnych „Dziady" A. Mickiewicza w Teatrze im. St. Jaracza oraz „Kordian" J. Słowackiego w Teatrze im. J. Tuwima. Spotkanie zatytułowano Konrad kontra Kordian.

ZAKOŃCZYŁY się XXIII Rzeszowskie Spotkania Teatralne. Łódź na tych Spotkaniach reprezentował Teatr im. St. Jaracza ze spektaklem „Dziady" A. Mickiewicza w inscenizacji i reżyserii **Macieja Prusa.** Miło nam poinformować Czytelników, że w wyniku głosowania spektakl ten otrzymał jednogłośnie nagrodę publiczności jako najlepsze przedstawienie festiwalu.

W ŁODZI na zaproszenie Państwowego Teatru Lalek przebywał Nieinstytucjonalny Teatr Zawodowy „Wierzbak" z Poznania. Teatr ten istnieje od stycznia 1983 roku. Założony został przez trójkę autorów **Grażynę Wydrowską, Artura Szycha i Bogdana Wasiela.** Opiekunem artystycznym „Wierzbaka" jest **Leokadia Serafinowicz.** Zespół ten pokazał dwa spektakle. Dla dzieci młodszym „Baśnie braci Grimm" i dla dzieci starszych „Baśnie Andersena".

Victoria de Los Angeles

oraz import gwiazd „del tempo passato"

Podziwiać najlepszych wykonawców z jakiejkolwiek dziedziny sztuki to prawdziwa rozkosz dla odbiorcy, sięgająca najgłębszych przeżyć estetycznych i duchowych. Ci zaś najlepsi z najlepszych, popularne gwiazdy kina, teatru, opery, sportu, rozrywki, różnią się między innymi tym od wykonawców średniej klasy, że — z racji swojego wyjątkowego talentu i wszechstronnej umiejętności prezentowanej przez siebie sztuki — potrafią podobać się wszystkim; zarówno koneserom, jak i tym, którzy bez większego znawstwa chcą podziwiać ich sztukę. Jako że specjalistów jest, siłą rzeczy, zawsze mniej, przeto ta druga grupa, kino-, melo-, sports-, czy innych „-manów", jest zawsze przeważająco większa, a zatem spełniająca często rolę oceniającą, częściej nawet decydującą o stopniu popularności danego artysty. W wypadku gwiazd o światowej famie, opinia o ich talencie i wykonawstwie jest zazwyczaj zbieżna z oceną fachowców i tej potężnej grupy wspomnianych wyżej „-manów".

Każdy jednak organizm ludzki, bez względu na prezentowane przez niego „gwiazdorstwo" czy też beztalencie, ma niestety to do siebie, że tylko w pewnym okresie swego życia, prezentuje maksymalną formę swoich możliwości, z poprzedzającym okresem wzrostu i następującym okresem wyraźnego zaniżania. Tak też dzieje się z każdym talentem, uzależnionym przede wszystkim od fizycznej sprawności swego prezentera. Z tego prawa natury nie wyłączeni są niestety także i śpiewacy, nawet ci, którzy swoimi szczególnymi umiejętnościami w okresie formy szczytowej potrafili wbić się w niezatartą pamięć swojego szerokiego odbiorcy. Powstaje więc problem: śpiewać dalej i coraz gorzej czy zatrzymać się w apogeum swoich możliwości artystycznych? Jest to rzecz tyle samo indywidualna dla poszczególnych artystów, ile — dla tych samych — bardzo ryzykowna.

To, że rozkwit talentu i szczyt artystycznych możliwości Pani VICTORII DE LOS ANGELES, występującej ostatnio w Polsce z cyklem recitali (Warszawa, Łódź, Poznań, Katowice), przypada na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, jest faktem niezaprzeczalnym. Gdyby zatem Pani de Los Angeles była łaskawa o Polsce pamiętać w tamtych latach (osobiście słyszałem ją w recitalu w Rzymie w r. 1970, z tym samym prawie repertuarem), bylibyśmy jej bardzo wdzięczni. Jej wizyta jednak z tyloletnim opóźnieniem sprawiła, że „kaprys i wdzięczność", równe ongiś stronom: artysta i odbiorca, zamieniły się rolami.

Są wprawdzie jeszcze artyści tej sławy i tego wieku, jak niedawno goszczący u nas w Teatrach Wielkich Warszawy i Łodzi — Nicolai Gedda, który — choć świadomie zrezygnował ze swojego arcytrudnego repertuaru, jak „Hugonoci" czy „Purytanie" — potrafił w zaprezentowanych przez siebie partiach operowych (Lenski i Cavaradossi) zachwycić nas nie tylko swą techniką i interpretacją, ale także w pełni i bez zastrzeżeń głównym swoim atutem — talentem głosowym.

Iluż to najznakomitszych śpiewaków polskich i tych światowej sławy, którzy w odpowiednim czasie wycofali się z czynnego życia artystycznego, mogłoby nam dzisiaj zaimponować swoją wspaniałą techniką i interpretacją, które u każdego z nich narastały w miarę wykonywanego zawodu?! Każdy z nich przyznałby szczerze, że do owego ideału techniki śpiewania doszedł właśnie pod koniec swojej kariery, a i wszelkie pomysły wokalno-interpretacyjne przychodziły latami. Nie da się jednak prezentować w sposób właściwy ani wspaniałej techniki, ani znakomitej interpretacji, gdy z tzw. „końcem kariery" głos odmawia już posłuszeństwa.

Nie ukrywajmy, że na koncerty Victorii de Los Angeles ściągnęło nas nazwisko eks-gwiazdy wielkich scen operowych i chęć ujrzenia jej „na żywo", zamiast z okładek, dziś już przecenianych na Zachodzie, płyt z jej nagraniami. Nie oczekiwaliśmy wprawdzie ani takiego głosu, ani takiego repertuaru, jakie znamy z najlepszych nagrań artystki, to jednak co usłyszeliśmy wprawiło nas w rozczarowanie dość poważne i zdziwienie, zdziwienie z powodu odwagi. To prawda, że jesteśmy gościnni i grzecznie oklaskujemy, nawet zachęcamy do bisów (a może coś tam się znajdzie interesującego), zwłaszcza reagująca młodzież z klas wokalnych akademii muzycznych (było to przecież dla nich spotkanie z żywą encyklopedią), której owacje przypominały mi opłacane klaki w zachodnich teatrach operowych. Cóż, kiedy głos... W całym recitalu kilkunastu pieśni, od Scarlattiego począwszy, poprzez Schuberta i Schumanna, a na kompozytorach hiszpańskich skończywszy, znaleźć można było tylko kilka z nich, do zaakceptowania także wokalnie. A jest to w końcu recital wokalny i nasze wymagania w stosunku do artystki tej klasy są w pełni uzasadnione. Gdy tak porównam ostatni recital w sierpniu br. w Weronie, będącej u szczytu formy i sławy Monserrat Caballè, jest to przysłowiowy „dzień i noc".

Cóż więc robić w podobnych przypadkach? Jak reagować na zdarzające się propozycje tych, wprawdzie kiedyś wielkich, lecz już bardzo „wysłużonych" artystów, których Nowy Jork ani Rzym już nie zapraszają, a którzy dopiero na zakończenie swojej kariery przypomnieli sobie jeszcze o takim gościnnym kraju, jak Polska? Owszem, skorzystać z oferty, zaprosić, lecz nie za każdą cenę. Jeśli honorarium takiego artysty nie przekroczy dziesięciokrotnego wynagrodzenia za występ najlepszego polskiego solisty kategorii „specjalnej" — to zgoda.

Gdyby jednak zakulisowe ploteczki o stokrotnie większych od naszych artystów honorariach miały coś z prawdy — należałoby stanowczo zaprotestować przeciwko tak nieopłacalnym „biznesom" importu „schodzących" gwiazd. Zamiast trzech podobnych recitali wolelibyśmy, płacąc trzykrotnie za bilet, obejrzeć i usłyszeć, będącego u szczytu sławy, Placido Domingo w „Aidzie" czy Ghenę Dimitrową w „Normie". Czas, byśmy przestali dziękować za wszystko, co nam się wciska, bądźmy bardziej wymagający i przestańmy się czuć „kopciuszkami", wszakże i nasi artyści w przeszłości i obecnie śpiewają w La Scali, Metropolitan, Rzymie i Wiedniu, jeśli już nie wspomnę o wspaniałych muzykach, zdobiących największe sale koncertowe świata.

W kulturze, tak jak w gospodarce, należy pamiętać zawsze o tym najlepszym towarze, poza tym kupować jak najtaniej, a sprzedawać jak najdrożej, bo nasz towar często miewa wcale nie gorszą jakość.

WALDEMAR PAWŁOWSKI

Foto: Chwalisław Zieliński

Ian Anderson: Od rocka do łososia

„Szukałem instrumentu, który nie byłby zbyt ciężki, gdyż często podróżowałem, spałem na podłogach i w samochodzie. Podobało mi się brzmienie wiolonczeli, ale nie nadawała się na długie i męczące trasy koncertowe. Pewnego dnia zobaczyłem w sklepie flet..."

Nie sądzę, aby wyłącznie względy praktyczne zadecydowały o wyborze instrumentu przez Iana Andersona. W połowie lat sześćdziesiątych grupa, z którą występował, bezskutecznie próbowała zdobyć popularność. „Graliśmy na początku tak źle, że nasz impresario musiał po każdym koncercie wymyślać dla nas nową nazwę" — powiedział niedawno reporterowi dziennika „International Herald Tribune".

Jako Jethro Tull pojawili się na brytyjskim rynku muzycznym w 1968 roku. Oryginalne brzmienie (nietypowy dla ówczesnego rocka instrument dęty i wysunięta na pierwszy plan gitara akustyczna) zadecydowało w znacznym stopniu o tym, że grupa spodobała się słuchaczom. W rok po oficjalnym debiucie Anderson i jego koledzy zajęli w notowaniu tygodnika „Melody Maker" drugie miejsce za zespołem The Beatles. Jednym z pierwszych przebojów Jethro Tull był utwór Rolanda Kirka „Serenade to a Cuckoo". W późniejszym okresie wykonywali prawie wyłącznie piosenki Andersona, który nie tylko komponował i śpiewał, ale również grał na wielu instrumentach (flet, gitary, klarnet, harmonijka ustna, perkusja).

Bez większej przesady można powiedzieć, że Jethro Tull to właśnie Ian Anderson. Jako autor i główny aranżer ma on największy wpływ na styl twórczości zespołu, który wykonuje specyficzną odmianę rocka z elementami muzyki klasycznej i jazzu. Dominują rozbudowane utwory o zróżnicowanej melodyce. Ważną rolę odgrywa w nich warstwa literacka. Anderson z równą łatwością improwizuje na flecie (podczas koncertów lubi grać stojąc na jednej nodze) i pisze niebanalne, zaskakujące bogactwem pomysłów teksty.

Trudno w tym miejscu omawiać szczegółowo całą twórczość zespołu, na którą składają się liczne nagrania wydane na blisko dwudziestu longplayach. „This Was", „Stand Up", „Benefit" należą do tych, które utorowały grupie drogę do międzynarodowej sławy. Z płyt wydanych na początku lat siedemdziesiątych na szczególną uwagę zasługują „Aqualung" i „Thick as a Brick". Pierwsza zawiera klasyczne już kompozycje, takie jak „Locomotive Breath" czy „Cross-Eyed Mary". Mimo iż składa się z kilku oddzielnych utworów, stanowi pod względem tematycznym zamkniętą całość. Jest kontynuacją stylu, który pojawia się na wcześniejszych płytach, jednocześnie w pełni ujawnia talent poszczególnych muzyków, wśród których wyróżnia się Ian Anderson. Jego ciepły, lekko zachrypnięty głos znakomicie współbrzmi z gitarą akustyczną i innymi instrumentami. Bardzo interesujący jest sposób w jaki autor interpretuje swoje kompozycje. Jakby nie śpiewał, a opowiadał ułożone przez siebie historie.

Album „Thick as a Brick" fascynuje już sama obwoluta. Jest nią bowiem kilkunastostronicowa gazeta normalnego formatu (złożona na krawędziach, aby pokrywała się wielkością z tradycyjną okładką). Jej autorzy zadbali o to, aby niczym nie różniła się od typowego, wydawanego na Zachodzie dziennika. Napisali kilkanaście artykułów i informacji, ułożyli krzyżówkę, zamieścili komiks, zagadki rysunkowe i wiadomości sportowe. Na pierwszej stronie znajdujemy m.in. zdjęcie ucznia szkoły podstawowej, który podobno jest autorem wiersza „Thick as a Brick". Cały tekst (podejrzewam, że naprawdę napisał go sam Anderson) wydrukowano wewnątrz numeru obok recenzji (wbrew pozorom niezbyt przychylnej) i krótkiej notatki o muzykach którzy uczestniczyli w nagraniu albumu. Utwór składa się z dwóch części (każda na innej stronie krążka) i trwa blisko 45 minut. Całość skomponował lider zespołu. Zmiany tonacji, metrum oraz zróżnicowana dynamika powodują, że „Thick as a Brick" nie nuży, a wręcz przeciwnie, każde kolejne przesłuchanie pozwala odkryć nowe wartości tej bardzo udanej płyty.

Inne albumy z połowy lat siedemdziesiątych, takie jak „Passion Play", „War Child", „Minstrel in the Gallery" od strony warsztatowej są bez zarzutu, jednak słuchając niektórych nagrań wyczuwa się, że Andersonowi zaczyna brakować nowych pomysłów. W porównaniu z nimi korzystnie wypadł longplay „Too Old To Rock'n'Roll: Too Young To Die!" z 1976 roku. Przeważają na nim spokojne kompozycje, w których ważną rolę odgrywa tekst. Recenzent tygodnika „Melody Maker" zarzucał liderowi Jethro Tull, iż koncentrując się na warstwie słownej, zapomniał o muzyce, która według niego jest jednostajna i mdła. Nie zgadzam się z taką opinią. Wydaje mi się, że Anderson celowo wyciszył brzmienie instrumentów, aby słuchacze lepiej zrozumieli to, co im chciał powiedzieć, a większość tekstów rzeczywiście zasługuje na uwagę.

Możliwe, że zespół przejął się opinią recenzentów, bo stopniowo zaczął odchodzić od gitarowych ballad w kierunku dynamicznego rocka, czego przykładem są płyty „Songs From The Wood", „Heavy Horses" i „Stormwatch". Twórczość obecnej dekady otwiera album „A", który w październiku 1980 roku dostał się od razu na 26 miejsce listy przebojów „Top 100" renomowanego amerykańskiego pisma „Rolling Stone". Widać z tego, że Jethro Tull nie stracił popularności, chociaż wykonuje nieco inną muzykę od tej, którą zarejestrował na najsłynniejszych albumach z początku lat siedemdziesiątych. W 1982 roku ukazał się ciekawy longplay „Broadsword and the Beast". Nie słyszałem jeszcze najnowszej płyty, która nosi tytuł „Under Wraps", ale po tym co Anderson ostatnio powiedział o muzyce („Zawsze zadziwia kiedy najmniej się tego spodziewamy"), oczekuję dużej niespodzianki.

Muzyka to nie jedyna pasja najpopularniejszego członka grupy Jethro Tull. Pięć lat temu w pobliżu swojej posiadłości w zachodniej Szkocji Anderson założył hodowlę łososia. „W miarę zmniejszania się zasobów dzikich ryb dochodzimy do punktu, w którym zaczyna się opłacać hodowla niektórych gatunków w morskich basenach. Próg opłacalności został już przekroczony w przypadku stosunkowo drogiej ryby, jaka jest łosoś. To czysty przemysł, nie zatruwa naturalnego środowiska. Ma duże znaczenie w rejonach o wysokim wskaźniku bezrobocia, gdzie możliwości znalezienia pracy są znacznie ograniczone". Wypowiedź ta sugeruje, że mamy do czynienia z ekonomistą. Zapewniam, że pochodzi z ust jednego z najwybitniejszych przedstawicieli brytyjskiego rocka.

O zespole Jethro Tull nie mówi się dziś tak dużo, jak w latach siedemdziesiątych. Ma on jednak nadal grono wiernych wielbicieli, którzy nie żałują pieniędzy na bilet, gdy grupa odwiedza ich miasto. Jedynie w roku 1983, gdy Anderson zajęty był pracą nad solowymi nagraniami, muzycy nie koncertowali. Niedawno rozpoczęło się kolejne wielkie tournée Jethro Tull, które potrwa do grudnia i obejmować będzie wiele miast w Europie, Australii oraz USA.

Dla Andersona, który na fermie położonej w okolicy Londynu uprawia też jęczmień i pszenicę, okres występów oznaczać będzie całkowitą zmianę trybu życia. Znów spyta czy na sali są osoby po trzydziestce i, gdy usłyszy chóralne „TAK", zagra pierwsze takty „Thick as a Brick", a publiczność zaśpiewa razem z nim.

A co będzie za kilka lat, gdy na koncert nie przyjdą już ci, którzy pamiętają stare nagrania? Anderson nie myśli na razie o tym. „Obecnie najbardziej interesuje mnie hodowla łososia".

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

KLUB MIŁOŚNIKÓW JULIUSZA VERNE'A

Warto wiedzieć, że w DK „Lutnia" — filii Bałuckiego Domu Kultury, mieszczącej się przy ul. Łanowej 14 powstaje jedyny jak dotąd w Polsce KLUB Miłośników Juliusza Verne'a.

Zwróciliśmy się z kilkoma pytaniami do jego założyciela — pana Winicjusza Łachacińskiego:

Co sprawiło, że zainteresował się Pan tak bardzo postacią Juliusza Verne'a?

Urodziłem się w Amiens, tam gdzie J. Verne spędził swe ostatnie 30 lat życia (zmarł w 1905 roku). Chyba to, że spędziłem w Amiens najpiękniejsze lata zadecydowało o wielkiej pasji mojego życia, zapoczątkowanej już w dzieciństwie. Do Polski powróciłem w wieku lat 16. Władam biegle trzema językami: francuskim, niemieckim i angielskim, jednakże najbardziej ukochałem język francuski – język mojego dzieciństwa. Francję uważam za swoją drugą ojczyznę.

Jak doszło do pomysłu założenia Klubu?

Jestem członkiem Societe Verne, które ma swoich przedstawicieli w 32 krajach świata. W roku 1980 otrzymałem pismo z sekretariatu Societe Verne w Amiens. Chodziło im o dane na temat popularności J. Verne'a w Polsce. Zorientowałem się, że jest w Polsce wiele osób które interesuja się niezwykłą twórczością J. Verne'a. Pragnąłbym nadać tym zainteresowaniom określony kształt – dlatego zakładam Towarzystwo Miłośników J. Verne'a.

Jakie zadania przyjął Pan na siebie w związku z tym?

Główny cel — to zapoznanie młodzieży z twórczością J. Verne'a.

Słyszeliśmy, że klub ma pewne plany związane z zagranicą?

Tak. Nawiązałem kontakt z Muzeum J. Verne'a a w Nantes, które za pośrednictwem ambasady francuskiej prześle dla DK „Lutnia" dużą wystawę poświęconą pisarzowi. Nastąpi to w 1985 roku.

A co z miłośnikami J. Verne'a spoza terenu Łodzi?

Pragnąłbym pokazać tę wystawę nie tylko mieszkańcom Łodzi, chciałbym ją również eksponować w innych miastach Polski (domagają się tego miłośnicy J. Verne'a, od których otrzymuję pan Łachaciński listy). Do wystawy tej dołączone zostaną również filmy przekazane przez Instytut Audiowizualny w Paryżu.

Pozostaje tylko życzyć Klubowi Miłośników J. Verne'a szybkiego rozwoju, w związku z czym zapraszamy wszystkich zainteresowanych do „Lutni" — ul. Łanowa 14, tel. 52-80-41.

MARZENA MRÓZ

„ZA DARMO NIE MA NIC PIĘKNEGO"

Jako pomysłodawca i realizator „I Giełdy imprez dla ośrodków kultury województwa miejskiego łódzkiego" składam Panu serdeczne podziękowania za propagowanie tej formy poprzez zamieszczony w Odgłosach (z dnia 20 października 1984 r.) artykuł pt. „Za darmo nie ma nic pięknego". Szyderczy — jak Pan to określił — ton wymienionego artykułu oraz kilka drobnych (ale istotnych) pomyłek nie wpływa jednak na fakt, iż zgodność naszych ocen w niektórych poruszanych problemach jest zdumiewająca. Mimo to wspomniane wcześniej nieścisłości oraz forma artykułu zmierzająca w kierunku recenzji widowiska nie zaś analizy problemu działalności w środowiskach pozawielkomiejskich zmuszają mnie do zwrócenia uwagi na genezę oraz cele giełdy jak też uzupełnienia lub wyjaśnienia wspomnianych pomyłek rzeczowych. (...)

O całokształcie lub wybranych zagadnieniach działalności tej nietypowej placówki mówi telewizja, radio, a nawet prasa dziecięca (czyli „Świat Młodych"), tylko przedstawiciele regionalnego tygodnika społeczno-kulturalnego tkwią gdzieś w Skiroławkach... A szkoda, tym bardziej, że nie jest to pierwsze zaproszenie do udziału w imprezach Domu Kultury Ludowej za to jedyne nie pozostawione bez odpowiedzi. Jak widać z tego przykładu warto czasami zadąć...

Wróćmy jednak do „giełdy". Pomysł tej formy nie jest nowy, a jeszcze zanim powstał, podejmowane były inne działania zmierzające do zaprezentowania w małych wiejskich placówkach ciekawych imprez kulturalno-rozrywkowych, imprez, które nie wymagałyby wyspecjalizowanych pomieszczeń, specjalistycznego i niedostępnego tym placówkom sprzętu. Powstała wtedy (1981 r.) wg mojego pomysłu i opracowania „Impreza o walizce" organizowana przez Zarząd Łódzki ZSMP przy współpracy z Łódzkim Domem Kultury a dotowana przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi.

(...) Regulamin giełdy określał wyraźnie zadania, jak również nie sugerował (bo nie miał żadnych ku temu podstaw), że będzie to święto ziszczonych nadziei czy festiwal gwiazd, które z poczuciem moralnego obowiązku wkroczą na błotniste drogi wiejskiej kultury. Zaś „loża prasowa" czy miejsca dla władz przeróżnych" miały spełniać określone zadania przewidziane w regulaminie. I nie chodziło tu o pesny na cześć organizatorów, wykonawców czy „kupujących", ale o określoną ciężką robotę, (której sens i znaczenie dostrzegło całe społeczeństwo i której potrzebę określą najwyższe instancje partyjne i państwowe). Wszyscy bowiem zaproszeni goście i obserwatorzy mieli służyć radą, pomocą organizacyjną i finansową, czy nawet bazą lokalową, pozostającą poza wpływami ośrodków. Publikatory zaś (na co organizatorzy bardzo liczyli) miały po zapoznaniu się z problemem podjąć szeroką akcję informacyjną. A że loża i niektóre inne miejsca świeciły pustkami? Cóż, puste miejsca mówią same za siebie. Nie można też osądzać udziału ośrodków kultury po ilości osób na sali. Nie o to tu przecież chodzi. Wystarczy chyba tylko nadmienić, że na 11 działających w tym czasie ośrodków kultury (miejskich i gminnych) nie przybyli przedstawiciele z trzech, zaś wśród tej trójki dwa ośrodki nie były chwilowo obsadzone. Trudno o lepszą frekwencję. Nielicznie natomiast — co trzeba wyraźnie podkreślić — przybyli zaproszeni przedstawiciele instytucji terenowych mający na równi z ośrodkami statutowy obowiązek działalności kw. Cóż, nieobecność świadczy...

Jednym słowem nie w tym problem, by sala była pełna. To nie galowe przedstawienie, ale impreza robocza.

Optymistycznie brzmi w Pańskim artykule wiadomość, że sprzedający imprezy byli w komplecie. Rzeczywiście byli ci, którzy chcą sprzedać, ale czy byli wszyscy, którzy takie imprezy posiadają i sprzedać je powinni? Na 25 rozesłanych propozycji odpowiedzieli poprzez konkretne zgłoszenie udziału tylko nieliczni. Czy rzeczywiście instytucje profesjonalne, jak choćby Estrada Łódzka nie mają wsi i małemu miastu nic do zaoferowania? A może to wpływ regulaminu, który przewidywał pokaz fragmentów imprez nieodpłatnie? Przewidywał on jednak również możliwość jedynie omówienia swoich propozycji. Cóż, brak odpowiedzi to też odpowiedź: tym bardziej, że zaproszenie do udziału było kilkakrotnie ponawiane.

Trudno nie zgodzić się z dokonaną przez Pana oceną imprez tym bardziej, że jest ona zgodna z plebiscytem uczestników (kupujących), podsumowanym na zakończenie giełdy. Trudno również ocenić całkowicie negatywnie dążenie placówek do zarabiania na zawodowym impresariacie, skoro umożliwiają to przepisy. Trudno i to bardzo trudno pogodzić się natomiast z faktem iż amatorska działalność jest opłacana i „opłacalna". Stąd już tylko krok do „amatorszczyzny". Cóż, przepisy temu sprzyjają choć nie zawsze jest to moralnie uzasadnione. Jedno jest pewne. I Giełda imprez poza swądem z uszkodzonego reflektora dała jeszcze coś, a mianowicie umocniła w sposób dobitny, iż oferta dla wiejskiego klubu jest bardzo skromna i nieadekwatna do faktycznych potrzeb, że nie obejmuje wszystkich grup wiekowych. Pozwoliła wykazać, że dobre imprezy są dla części ośrodków niedostępne z uwagi na ceny, że nie ma obecnie imprez autentycznie amatorskich, które mogłyby być prezentowane aktywizując równocześnie środowiska pozawielkomiejskie do działalności ara.

Pozwoliła a — wskazał na to plebiscyt — wyeliminować z „obiegu" po gminach imprezy o niskim poziomie artystycznym, co ma ogromne znaczenie w tym środowisku.

Wykazała (niestety) również brak zainteresowania problemem ze strony terenowych organizacji i instytucji, które zgodnie ze statutami winny działać lub współdziałać w zakresie udostępniania wartościowej kulturalnej rozrywki swojemu środowisku. Wykazała, jak z tego wynika, wiele problemów na drodze upowszechniania kultury, które musimy zacząć eliminować od zaraz.

Nie był to zatem „próbny wystrzał", lecz wystrzał na alarm. I jeżeli wszyscy tak to zrozumiemy i podejmiemy odpowiednie działania, może za jakiś czas spotkamy się na giełdzie będącej festiwalem przebojów amatorskich i profesjonalnych. Zanim to jednak nastąpi, pozostanie w pamięci kwaśny smak bigosu i gorzki smak rozczarowania. Bo gorzki jest smak prawdy o trudnej błotnistej drodze wiejskiej kultury.

Na Giełdę w styczniu na razie nie zapraszam.

To nie złośliwość, a jedynie obawa czy rzeczywiście do tego czasu zbierze się dostateczna ilość ofert jak zwykle przyjętych przez nas bez dokonywania oceny, bo w naszym przypadku „towar" winien bronić się sam (...)

STANISŁAW ANDRZEJ ŚREDZIŃSKI

JEDEN Z WIELU

Mija 45 rocznica powstania konspiracyjnego harcerstwa Ziemi Łódzkiej: „Szarych Szeregów", kryptonim „Kominy". W związku z tą rocznicą pragnąłbym przedstawić postać jednego z tysiąca harcerzy, którzy oddali swe życie za Ojczyznę w okresie II Wojny Światowej.

Dh EDWARD JERZY ŻYŹNIEWSKI urodził się 21.1.1921 r. w Łodzi, w rodzinie zaangażowanej w walce o niepodległość przed i w czasie I wojny światowej, jak również w okresie II wojny. Matka jego Janina z domu Jezierska była znaną w Łodzi działaczką społeczną i niepodległościową. Edek wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego w 1933 r., do 9 ŁDH im. gen. H. Dąbrowskiego, której drużynowym w tym okresie był dh Dominik Pator, późniejszy komendant „Szarnych Szeregów" w Łodzi. Uzyskał stopień harcerza orlego, pełnił rozmaite funkcje w drużynie, uczestniczył w kilku obozach w tym w Zlocie ZHP w Spale w 1935 r. i Jamboree w Holandii w 1937 r.

W czerwcu 1939 r. złożył egzamin dojrzałości i otrzymał maturę w Gimnazjum Miejskim w Łodzi. W lipcu 1939 r. w ramach Junackich Hufców Pracy budował umocnienia na zachodniej granicy państwa polskiego. We wrześniu w jednostce Przysposobienia Wojskowego przygotowywał obronę lotniska na Lublinku, po czym opuścił Łódź i odbył marsz na wschód, uczestnicząc w bojach z oddziałami Wehrmachtu.

W końcu października 1939 r. powrócił do Łodzi i z miejsca rozpoczął działalność konspiracyjną w organizacji wojskowej Służba Zwycięstwu Polski — Związek Walki Zbrojnej. Mieszkanie jego rodziców, w Łodzi przy ul. 11 Listopada 24 (obecnie Obrońców Stalingradu) było ważnym punktem kontaktowym i miejscem pobytu pierwszych dwóch kolejnych komendantów Okręgu ZWZ-AK: ppłk. dypl. Leopolda Okulickiego, ps. „Müllera", „Pan Jan" oraz mjr. Stanisława Juszczakiewicza ps. „Stanisław". W tym lokum odbyło się też pierwsze spotkanie komendanta Okręgu ZWZ z kierownictwem konspiracyjnego harcerstwa dh. Władysławy Keniżanki i dh Mieczysława Łętowskiego.

Edward Żyżniewski ps. „Edek" rozpoczął pracę w Komendzie Okręgu ZWZ: organizował punkty kontaktowe, wynajdywał mieszkania dla żołnierzy Polski Walczącej, zorganizował grupę młodzieży łódzkiej, w tym m. in. wśród mieszkańców „famuł Poznańskiego", stanowiącą jeden z pierwszych plutonów ZWZ w Łodzi.

Od połowy 1940 r. pełnił funkcję „oficera ordynansowego" komendanta okręgu do zleceń specjalnych. Był łącznikiem między nim, szefem sztabu mjr. dypl. Pawłem Zagórowskim — „Maciej" i komenantem miasta kpt. Józefem Grabińskim — „Pomian".

W pierwszych dniach marca 1941 r. został aresztowany przez Gestapo na dworcu kolejowym w Warszawie kurier z Łodzi. W wyniku jego zeznań 7 marca przyjechało do Łodzi warszawskie Gestapo, aresztowało Edwarda Żyżniewskiego, przewiozło do Warszawy na al. Szucha, a następnie na Pawiak. Tam po ciężkim śledztwie i katowaniu, nikogo nie wydając, z wyrokiem kary śmierci, 5 kwietnia wywieziony został do Oświęcimia. Otrzymał numer obozowy 13393 i przydział do bloku 6 a potem 8. Tutaj otoczył go opieką, znający go z pracy konspiracyjnej z Łodzi Henryk Bartoszewicz, który tak podaje w swoich wspomnieniach o śmierci Edka:

„Z momentów, które najbardziej utkwiły mi w pamięci, to śmierć harcerza łódzkiego, 20-letniego Edka Żyźniewskiego, rozstrzelanego na bloku śmierci w lipcu 1941 r. Ze ściśniętym sercem obserwowaliśmy tę scenę na strychu bloku X, po wyjęciu dachówki. Dzielny harcerz w ostatniej chwili zawołał: „Niech żyje Polska"!".

Edward Żyżniewski rozstrzelany został 27 lipca 1941 r. Pośmiertnie odznaczony „Krzyżem Walecznych", zginął za wolną Ojczyznę w wieku 20 lat. Na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej znajduje się jego symboliczny grób, a prochy pozostały w Oświęcimiu obok prochów jego matki, która aresztowana rok później, zginęła tam również, pośmiertnie odznaczona Krzyżem Virtuti Militari V kl.

JERZY JĘDRZEJEWSKI

LOTNICZYCH SPORÓW CIĄG DALSZY

W numerze 44 z 3 listopada 1984 roku ukazało się „niby" sprostowanie Pawła Marciniaka, na temat artykułu Z. J. Chojnackiego o dywizjonie „Obrońców Warszawy". Istnieje taka zasada, że jeżeli pisze się sprostowanie i uwagi, to trzeba mieć podstawową znajomość rzeczy i wydarzeń. Po pierwsze — nie było w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii funkcji oficera łącznikowego przy dywizjonach. Autor pisze, jakoby ppłk pil. Roman Rudkowski był pierwszym polskim pilotem skierowanym do 138 ds RAF, na stałe, jako oficer łącznikowy. Ppłk Roman Rudkowski był tam rzeczywiście, tyle tylko, że „senior officerem", a następnie był oficerem łącznikowym między VI Oddziałem Sztabu Naczelnego Wodza a brytyjskim SOE. „Senior officerem" na jego miejsce został wyznaczony kpt. obs. Antoni Voellnagel.

Pierwsza załoga została skierowana do Newmarket 25.10.1941 roku i była to załoga ppłk pil. Romana Rudkowskiego, z nawigatorem kpt. obs. Stanisławem Królem. Załoga ta wykonała jako pierwsza lot do Polski 7 listopada 1941 roku przewożąc 0,5 tony materiałów i 3 skoczków. Wskutek silnego wiatru czołowego, brakło paliwa i samolot lądował przymusowo w Szwecji a załoga została internowana. Po krótkim pobycie w Szwecji, wszyscy powrócili do Anglii. Następne dwie załogi przybyły do 138 dywizjonu w początkach grudnia 1941 r. i wykonały pierwsze loty do Polski 27 grudnia i 8 stycznia 1942 roku.

Sprawa Halifaxa JD 154, narobiła sporo zamieszania w historii polskich skrzydeł. I słusznie twierdzi Z. J. Chojnacki, że wraz z załogą tego „Halifaxa" zginęło trzech „cichociemnych". Aby już zupełnie rozwiać wątpliwości p. Marciniaka, cytuję tutaj informację otrzymaną z Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie datowaną z dnia. 23.10.1984 roku.

„Kpt. pil. Franciszek Jakusz-Gostomski miał na pokładzie „Halifaxa JD 154" oprócz swojej załogi, trzech skoczków. Byli to:
ppor. łączn. Kazimierz Lewko
ppor. łączn. Władysław Siakiewicz
ppor. łączn. Ryszard Kazimierz Skowroński
Cała załoga i trzej skoczkowie zginęli..."

Powoływanie się na publikacje Władysława Borocha i Jędrzeja Tucholskiego jest chyba nieporozumieniem, ponieważ ci autorzy napisali książeczkę, która nie jest żadnym miarodajnym dowodem ani dokumentem. (...)

Dalej P. Marciniak pisze, jakoby z dniem 1.4.1943 r. na bazie rozwiązanego dzień wcześniej 301 dywizjonu utworzono polską eskadrę „C" w 138 dywizjonie RAF. Skład eskadry polskiej w 138 dywizjonie specjalnym RAF był różny. Załogi pochodziły z 300, 301, 304 i 305 dywizjonów bombowych. Były to załogi, które legitymowały się wykonaniem co najmniej jednej tury lotów bojowych. Część załóg z rozformowanego dywizjonu 301 zasiliła wykrwawione dywizjony 300, 304 i 305 i tylko nieliczni trafili do 138 dywizjonu RAF.

4 listopada 1943 roku, polska eskadra „C" została rzeczywiście wyłączona ze składu 138 dyw. RAF i przeniesiona na lotnisko do Tunisu i otrzymała nazwę 1586 eskadra do zadań specjalnych. Była eskadrą samodzielną na prawach dywizjonu i tylko operacyjnie podlegała dowódcy 334 Skrzydła, działającego w rejonie Morza Śródziemnego. Operacyjnie podlegała dowódcy 334 Skrzydła RAF, personalnie — Inspektoratowi PSP w Londynie, pod względem zaopatrzenia — Ministerstwu Lotnictwa, a pod względem rodzajów operacji — polskiemu VI Oddziałowi Sztabu Naczelnego Wodza i brytyjskiej SOE (Special Operation Executive) i faktem jest, że nigdy w polskiej prasie ani w polskich pismach nie używano oficjalnej nazwy, a jedynie starą nazwę „301 dywizjon bombowy".

Autor sam zaprzecza sobie — bo jak wynika z treści — 14.9. 1944 r. Naczelny Wódz PSZ gen. broni Kazimierz Sosnkowski nadał 1586 eskadrze miano „301 dywizjonu bombowego „Ziemi Pomorskiej — Obrońców Warszawy". A więc jak? Czy była to nazwa eskadry czy dywizjon? Trzeba się jednak na coś zdecydować, tym bardziej, że w dalszej części P. Marciniak stwierdza, że dopiero 7 listopada 1944 r. brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa wyraziło zgodę na nadanie nazwy — 301 dywizjon bombowy. Stąd wniosek, że brytyjskie Air Ministry sobie, a polskie dowództwo sobie. I nie ma w artykule Z. J. Chojnackiego żadnego błędu, jeżeli idzie o tę kwestię. Pisze o tym także ppłk obs. Franciszek Kalinowski w rozdziale pt. „Lotnictwo specjalnego przeznaczenia", na którego powołuje się P. Marciniak. Widocznie nieuważnie przeczytał ten rozdział!

Odsyłacz do książki Morgały „Polskie samoloty wojskowe 1939—1945", też przecież niczego nie wyjaśnia. Na str. 371 p. Morgała pisze, że w nocy z 14 na 15 września 1943 r. „Halifax" pilotowany przez Anglika F/O Milne zderzył się z kominem cegielni i spadł na zabudowania między Szczypiornem a Skalmierzycami. Cała załoga i trzej cichociemni zginęli na miejscu. A zatem i Morgała pisze o trzech skoczkach, którzy zginęli w rejonie Skalmierzyc.

Zarzut postawiony Z. J. Chojnackiemu, jakoby pomylił miejsca lub samoloty — mowa tu o Halifaxie JD 154 — jest trochę na wyrost. Potwierdza to fakt, że komisja ekshumacyjna, która w 1948 roku dokonała ekshumacji poległych lotników z cmentarza w Skalmierzycach i przeniosła prochy na brytyjski cmentarz wojskowy w Poznaniu, dysponowała odpowiednimi dokumentami i wiedziała kogo ekshumuje, czego dowodem są nazwiska „cichociemnych" na cmentarzu w Poznaniu. (...)

I jeszcze jedna uwaga: w lotnictwie polskim w Wielkiej Brytanii, dowódcą załogi był zawsze pierwszy pilot, bez względu na posiadany stopień wojskowy. Jedynie w niektórych wypadkach, bardzo sporadycznie, dowódcą był nawigator. Odnosiło się to w zasadzie do dowódców dywizjonów, którzy posiadając specjalność nawigatora — byli dowódcami załóg. Natomiast w każdym innym przypadku — dowódcą był pierwszy pilot (...)

Co do sugestii P. Marciniaka, jakoby w składzie załogi Halifaxa JD 269 znajdowało się wymienionych trzech cichociemnych, bowiem na cmentarzu w Esbjerg w Danii znajduje się osiem grobów załogi tego samolotu, to z równym powodzeniem można udowodnić w ten sposób karkołomne wprost hipotezy. Skoro załoga Halifaxa liczyła 7 osób plus 3 skoczków, to gdzie się podziały groby 2 lotników? Jaka jest gwarancja, że skład załogi tego Halifaxa był właśnie taki? Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że Anglicy zabierali na tego rodzaju loty tzw. „dispatscherów" czyli — dysponentów zrzutu, to właśnie ósmy grób może być grobem takiego „dispatschera", o którym „zapomniano", albo gwoli sensacji — przemilczano (...)

HUBERT KAZIMIERZ KUJAWA

„RÓBMY TAK DALEJ!"

W związku z notatką prasową pt.: „Róbmy tak dalej!", zamieszczoną w „Odgłosach" z dnia 20.10.1984 r., Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi wyjaśnia następująco:

Informacja dotycząca zmiany numerów telefonów w Olsztynie wpłynęła do Dyrekcji Okręgu Poczty i Telekomunikacji w dniu 28.12.1983 r., a już w dniu 29.12.1983 r. została przekazana do Okręgowego Urzędu Telekomunikacji Międzymiastowej w Łodzi.

Z nadesłanych z Urzędu wyjaśnień wynika, że wspomnianą informację posiada Centrala Międzymiastowa, natomiast w Oddziale Informacji i Zleceń jej brak. Stąd wniosek, że powyższa informacja nie dotarła do Oddziału Informacji i Zleceń z przyczyn obecnie niemożliwych do ustalenia, co nie pozwala również na wskazanie winnych powyższego zaniedbania.

Z uwagi na to, że przypadek zaginięcia pisma na drodze przekazywania między poszczególnymi komórkami w Urzędzie miał miejsce po raz pierwszy, zainteresowanym pracownikom zwrócono uwagę na ścisłe przestrzeganie obowiązku przekazywania i przyjmowania korespondencji. Jednocześnie zmieniono system obiegu informacji i podobne przypadki nie powinny mieć miejsca w przyszłości.

Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi przeprasza Obywatela za wynikłe kłopoty.

zastępca dyrektora
Okręgu Poczty i Telekomunikacji
inż. MAREK GUTOWSKI

Autostopem przez Europę (3)

ANDRZEJ BETULSKI

Do Hamburga i dalej na północ

— *Chcecie się zabrać? Wskakujcie, a pieseli wrzućcie na wywrotkę!*

Ściśnięci, jedziemy niezbyt szybko. Kierowca wesoły, skory do rozmowy. Buduje domki jednorodzinne. Sześć miesięcy i domek stoi gotowy.

— *A wy skąd?*

— Z Polski.

— *Z Polski? „Wot wy mołodcy" — wykrzykuje, a widząc nasze zdumienie wyjaśnia — to wszystko, co pamiętam z rosyjskiego. Jeszcze „spasiba". No, co się dziwicie. Byłem w Związku Radzieckim. Miałem siedemnaście lat, jak zmobilizowali mnie do Werhmachtu. Stacjonowaliśmy pod Dreznem. Nie mogę darować aliantom tego bombardowania. To było piekło* — zamilkł. — *Pod Dreznem dostałem się do radzieckiej niewoli. I wiecie co. Przesiedziałem za Uralem pięć lat. Do 50 roku. Budowałem drogi i mosty, ale na naród rosyjski nie dam nikomu złego słowa powiedzieć. Dzięki Rosjanom żyję. Nie dali mi umrzeć z głodu i zimna. No, chłopaki jesteśmy w Ulm. Powodzenia.*

Ulm jest zaniedbane, przytulne i świecące czystością. Tutaj urodził się Albert Einstein. Tutaj znajduje się najwyższa na świecie wieża kościelna. Na gotyckiej katedrze Ma sto sześćdziesiąt jeden metrów Dojść można do stu czterdziestu paru. Wąskie, kręte schody bez barierek zabezpieczających. Mijamy się ze schodzącymi turystami przylepiając się do zbawczej ściany. Ze szczytu rozciąga się przepiękny widok. Dunaj. Lekką mgiełką spowite okoliczne pagórki. Bez większych przygód dojeżdżamy do Stuttgartu. Położony na wzgórzach przypomina Sopot. Wszędzie schody. Park z wypoczywającymi ludźmi. W nim Planetarium. Trochę tu inaczej niż w innych miastach RFN.

Pod Karlsruhe stoimy na rozjeździe autostrad. Podjeżdża wóz policyjny. Wyskakuje dwóch brzuchatych facetów w mundurach koloru piasku pustyni i z groźnie dyndającymi u boku pistoletami.

— *Nie wiecie, że nie wolno stać na autostradzie? Pewnie jesteście cudzoziemcami. Pokażcie paszporty.*

Młodszy idzie z naszymi dokumentami do samochodu. Rozmawia przez radiotelefon i po pół minucie ma już informację z centralnego komputera. Jesteśmy w RFN legalnie i nie popełniliśmy żadnego przestępstwa.

— *Teraz jesteście już wciągnięci do naszych kartotek i jeżeli jeszcze raz was zatrzymają na autostradzie, to zapłacicie dwadzieścia marek mandatu.*

Do Heidelbergu, najpiękniejszego miasta Bundesrepubliki, przywiózł nas student filozofii miejscowego uniwersytetu.

— *Trudno jest się dostać na studia* — mówi — *liczy się przede wszystkim matura, a to jest ciężki egzamin. Ale jak już się dostaniesz. Nauka jest bezpłatna. Czasami jakieś symboliczne opłaty. Mamy fantastycznie zaopatrzoną bibliotekę. Prywatny księgozbiór oczywiście trochę kosztuje. Za mieszkanie płacą ci, którzy mogą sobie na to pozwolić, reszta dostaje specjalne stypendia.*

— Macie samorząd?

— *Oczywiście. Bardzo prężnie działający.*

— Czym się zajmują?

— *Sprawami bytowymi. Niektóre prowadzą ożywioną działalność polityczną. To zależy jaka partia jest większością w samorządzie. W tej chwili na uniwersytecie rządzą komuniści. Oprócz nich działa partia chrześcijańska i socjaldemokraci, zieloni i...*

— Faszyści?

— *Faszyści? Nie! Partii faszystowskiej w Heidelbergu w ogóle nie ma. Jest lewacka trockistowsko-maoistowska, ale wiesz, im się wszystko pomieszało.*

Wysiadamy w starej części miasta. Od nowych dzielnic oddziela ją malowniczy Neckar. Wspinamy się na stromą skałę, na której wznoszą się ruiny okazałego zamku. Heidelberg był stolicą Palatynatu Reńskiego, jednego z elektorów wybierających Cesarza Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Dwukrotnie spalony przez pożar wywołany uderzeniem pioruna, ostatecznie zamek został zniszczony przez Francuzów w czasie wojny 1689—93. Pozostała gotycka kaplica, w której odbywają się śluby. Dobrze zachowana i częściowo zrekonstruowana jest renesansowa Sala Królewska. Tam odbywają się przedstawienia teatralne i koncerty. Tam też mieści się Muzeum Aptek.

Piwnice wymurowane pod koniec XVI wieku służyły do leżakowania win. Główną atrakcję stanowi Duża Beczka o pojemności 221 726 tysięcy litrów.

— *Proszę zwrócić uwagę na drewnianą figurkę* — mówi przewodnik oprowadzający turystów. — *To postać słynnego karła, błazna na dworze Karola Filipa. Karzeł jest bohaterem wielu studenckich piosenek i anegdot. Na dworze zwano go „Perkeo" Jak wieść głosi, pewnego dnia na dwór Palatyna przybył karzeł z Tyrolu. Karol Filip angażując go miał spytać: „Czy znasz się na winach?" — „Per que no" — odpowiedział po włosku karzeł. — „Od tej pory będziesz się zwał „Perkeo" — stwierdził Karol Filip.*

— A czy rzeczywiście znał się na winach? — pyta skośnooki turysta.

— Znał — odpowiedział przewodnik — *przez całe życie pił tylko wino. Miał 90 lat, gdy zmarł, a pewnie pożyłby dłużej, gdyby nie złośliwi knechci dworscy. W dniu urodzin, zamienili stojący przy łożu Perkeo dzban wina, podstawiając wodę. Organizm karła nie przywykły do wody nie wytrzymał tego i Perkeo zmarł.*

Nie opodal zamku znajduje się dolna stacja kolejki górskiej Można nią wjechać na szczyt Königstuhl, a stamtąd cóż za widok. Heidelberg malowniczo rozparty na obydwóch brzegach Neckaru Rzeka wije się pomiędzy pagórkami obsadzonymi winorośla. W każdym zakolu, gdzie Neckar obwija się wokół wzgórza, stoją gotyckie i renesansowe zameczki. Z jednych pozostały tylko samotne wieże. Inne zachowane są niemal w nienaruszonym stanie.

W rynku dwie słynne studenckie winiarnie. Dobiegają stamtąd chóralne śpiewy i krzyki. To rywalizujące ze sobą „Seppel" (Głupek) i „Zum Roten Ochsen" (Pod Czerwonym Bykiem). Miejsce na długimi stołami z nie pomalowanego drewna zajęte są już przez studentów od najwcześniejszych godzin popołudniowych.

Uniwersytet w Heidelbergu jest nieco młodszy od Jagiellońskiego. Ta najsłynniejsza uczelnia niemiecka powstała w 1386 roku na wzór Uniwersytetu Karola w Pradze. Miała stanowić przeciwwagę dla powszechnego w tamtych czasach kształcenia kościelnego.

Wieczór spędzamy u Hermanna. Mieszka z żoną i synem w dwupiętrowym domku. Z jednej strony wysypany drobnymi kamyczkami podjazd do garażu, z drugiej maleńki ogródek z rzadkimi gatunkami roślin. Duma pani domu. Idealnie wystrzyżony trawnik. Siedzimy pod parasolem i sączymy wino.

Obydwoje pochodzą ze Szwabii. Opowiadają nam o różnicach pomiędzy poszczególnymi krajami niemieckimi.

— *Czy zwróciliście uwagę na różnice w dialekcie, jakim mówi się w Bawarii i tutaj u nas?* — pyta Hermann.

— Tak. Tam było nam się łatwiej porozumieć.

— *Niemożliwe* — dziwi się. — *Różnice pomiędzy dialektami są poważne. Łatwiej nam jest porozumieć się ze Szwajcarem mówiącym okropnym Schwizaertütsch niż z Niemcem z okolic Hamburga. Tam mówią plattem i bez problemu dogadują się z Holendrami.*

Pani domu częstuje nas szwabską specjalnością. „Spetzle" — to kawałki makaronu wielkości paznokcia, nieregularnie pokrojone, zmieszane z pomidorami, papryką, kawałkami kiełbasy i szynki oraz ze startym, żółtym serem. Przyprawione na ostro. Do tego podaje się Weizen Bier. Na deser owoce, różne gatunki sera i białe wino.

Palatynat to jeden z głównych regionów uprawy winogron. Produkują tu Riesling, półsłodki Silvaner i słodki Traminen. A każdy z tych rodzajów może być wyprodukowany jako Eiswein. Bardzo drogie wino ze zmrożonych pierwszymi przymrozkami winogron. Jednym z takich miejsc słynącym z palatyńskiego wina jest miasteczko Bad-Dünkheim. Chcieliśmy się tam wybrać.

— *W tej chwili zobaczycie tylko jedną z dwóch atrakcji Bad-Dünkheim* — mówi Hermann.

— Słynną winiarnię w ogromnej beczce?

— *Tak to jest kolos. Milion siedemset tysięcy litrów wina mogłoby się w niej pomieścić. Ale nie skorzystacie z kolejki gondolowej.*

— Z kolejki gondolowej?

— *Tak. Wprost z winiarni wjeżdżało się na wierzchołek Teufelsbergu. To góra wznosząca się ponad miasteczkiem.*

— Kolejka w remoncie?

— *Nie. Jeden z rolników, nad którego winnicami przechodziły wagoniki, wniósł sprawę do sądu. Przeszkadzało mu to, że ludzie z gondolek zaglądają do jego winnic i domu. Uważał to za wścibstwo w jego prywatność.*

— I, co?

— *Proces wygrał. Dostał wysokie odszkodowanie, a firma dużym nakładem kosztów przenosi wyciąg na inny teren.*

Piątek był fatalnym dniem. Staliśmy już kilka godzin, gdy usłyszeliśmy za plecami:

— *Do you hitchhike?*

— Tak. Jeździmy autostopem.

— *Mogę was zabrać. Dokąd jedziecie?*

— Do Hamburga.

— *Ja trochę w bok. W kierunku Bielefeld — Dortmund. Chciecie to jedźcie ze mną.*

Tak zaczęło się jedno z najciekawszych naszych spotkań w RFN.

Wolfgang ma trzydzieści cztery lata. Przez pięć lat jeździł na ogromnej ciężarówce — TIR-owskim trucku. Teraz z szybkością dwustu kilometrów na godzinę prowadzi niebieskie Renault, pije piwo z puszki i opowiada o czasach truckingu.

— *To był narkotyk. Trucking to amok. Jak człowieka ogarnie, to nie można się z niego otrząsnąć. Jeździłem do Francji. Czasami do Hiszpanii, Włoch, Holandii. Ale najczęściej do Francji. Kocham ten kraj. I tych fantastycznych ludzi. Są szczerzy, otwarci. Jednak powoli zacząłem wariować. Dzień i noc na trucku. Nie schodziłem z ciężarówki. Tam był mój dom. Tam spałem, jadłem, kochałem się z dziewczynami. Straciłem swoich dawnych kolegów. Rozstałem się z dziewczyną i z przyjaciółmi. Został tylko trucking. Ciągle na drodze.*

— Ale poznałeś nowych ludzi.

— *To znajomości powierzchowne. Chociaż każdy mógł liczyć na pomoc drugiego. Na każdym trucku jest radio. Ostrzegaliśmy się przed policją, bo jeździliśmy najczęściej na złamanie karku.*

— Skończyłeś z tym?

— *Ba. Jak miałem to zrobić? To była moja wolność. Moje życie. Zacząłem tracić orientację. Dzień zmieszał się z nocą. I wtedy zacząłem się poważnie zastanawiać nad sobą.*

— Zerwałeś z truckingiem?

— *Tak. Na trzy miesiące, przez które śnił mi się po nocach. No i wróciłem. Aż wreszcie dowiedziałem się, że mój najlepszy przyjaciel spadł razem z ciężarówką do przepaści. I wtedy definitywnie z tym skończyłem.*

— A teraz?

— *Pracuję w firmie, która zajmuje się programowaniem komputerów.*

— I nie ciągnie cię już trucking?

— *Ciągnie.*

Chwilę milczymy.

— *Nie wiem, czy wiecie, że pod koniec XIX wieku osiedliło się tu dużo Polaków. Wrośli w miejscowe obyczaje. Ale ich polskość odcisnęła się na miejscowym dialekcie. To Polzak-Deutsch.*

— Czy dziś używa się tego dialektu?

— *Tak, używa go jeden z moich przyjaciół. Tu używa się go powszechnie.*

Wolfgang mieszka w Bad-Oenhausen. Zaprasza nas do siebie.

— *Możecie u mnie przenocować* — mówi.

Wśród książek, których u niego pełno, widzę książki Wilhelma Reicha.

— *To był nasz bóg* — wyjaśnia Wolfgang. — *Szaleliśmy za nim.*

— My — to znaczy kto?

— *Młodzież, niemiecka, francuska. To było w 1968 roku.*

— Słyszałem coś o tym.

— *Myśmy w Reicha i Sartre'a wierzyli.*

— Brałeś udział w rozruchach?

— *Tak. Byłem jednym z przywódców na Północy.*

— Masz z tego powodu kłopoty?

— *Teraz już nie. Ale przez kilka lat policja często mnie zatrzymywała. Wyciągali z samochodu, szukali broni. Podejrzewali mnie o udział w akcjach Czerwonych Brygad. Ale ja się brzydzę przemocą.*

— Należysz do jakiejś partii?

— *Do SPD.*

— A co sądzisz o innych?

— *FDP to chorągiewka na wietrze. CDU straciło u mnie przez Kohla, który nie umie poprawnie sformułować zdania. Szkoda, że Strauss trochę się odsunął. To mądry polityk, chociaż różnimy się poglądami.*

— No, a zieloni?

— *Wiesz są zieloni i zieloni. Generalnie to ich dążenia są słuszne. O ochronę środowiska trzeba koniecznie walczyć.*

Bad-Oenhausen jest kurortem wielkości Krynicy górskiej. Przyjeżdżają tutaj ludzie, aby leczyć choroby kobiece, układu krążenia, układu nerwowego i reumatyzm. Mnóstwo małych pensjonatów i sanatoriów. Dużo kwiatów. Na środku ulic ustawiono betonowe kwietniki w kształcie rombów, tak aby samochody nie rozwijały nadmiernej szybkości. W ten sposób piesi i zmotoryzowani poruszają się powoli. Nikt się nigdzie nie śpieszy.

Wolfgang zaprasza nas do klubu. Wszyscy go tu znają, i nas z Andrzejem, traktują jak przyjaciół.

— *Na dole jest bankiet chłopców, którzy idą do służby cywilnej zamiast do wojska* — ryczy mi w ucho jakiś chłopak. Stukamy się szklankami. On pije Guinesa. Ciemne angielskie piwo. W smaku przypomina mieszankę porteru z osłodzoną czarną kawą. Tutaj na północy, fascynacja kulturą angielską znajduje swój wyraz w urządzaniu barów, które do złudzenia przypominają londyńskie puby, w muzyce wzorowanej na angielskim rocku.

— Co to znaczy służba cywilna zamiast wojska?

— *U nas wojsko jest obowiązkowe* — wyjaśnia. — *Musisz odsłużyć swoje czternaście miesięcy w Bundeswehrze. Nie ma na to rady. Chyba, że ktoś z twoich krewnych walczył w SS albo Wehrmachcie i chcesz się odciąć od tych tradycji. Wtedy nie musisz służyć w regularnej armii. Można też, ale to już jest bardzo trudne, próbować przedstawić siebie jako pacyfistę i odmówić wzięcia broni do ręki. Wtedy idziesz do służby cywilnej.*

— Na czym to polega?

— *Nie masz munduru. Nie masz do czynienia z wojskiem. Pracujesz jako pielęgniarz w szpitalu na oddziałach dla obłożnie chorych, w domu starców, albo w domu dla dzieci umysłowo chorych, w kuchni w przytułkach dla ubogich, w szkołach życia.*

— Jak długo to trwa?

— *O pół roku dłużej niż normalna służba i liczy ci się jako praktyka przy przyjęciu na studia medyczne.*

Eino jeździ starym Fordem Capri z błotnikami poklajstrowanymi żywicą. Mimo to pędzi sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę aż do chwili gdy wjeżdżamy w potężny korek.

Dojeżdżamy do miejsca, od którego zaczął się korek. Żółte pulsujące światła na dachach policyjnych samochodów. Obydwa pasy jezdni zarzucone drobnymi kawałkami gumy. Aż czarno. A w rowie ogromna ciężarówka. Przy szybkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę pękły trzy opony.

Korek rozładowany i Eino znów wciska gaz do dechy.

— *Wiecie, że mam czterdzieści dwa lata, a dopiero teraz zapisałem się do zawodówki. Dostaję stypendium od rządu i będę technikiem* — mówi z dumą Eino — *Wreszcie mam trochę czasu na naukę. Mam kłopoty z matematyką* — przyznaje się ze skruchą uczniaka.

— A co do tej pory robiłeś?

— *Byłem marynarzem i pływałem na statkach handlowych. Widziałem wszystkie wielkie porty Ameryki Południowej, od Valparaiso po Patagonię i Caracas. Byłem w Hongkongu i w Kioto. Znam cały świat.*

— Mówiłeś, że niedawno wróciłeś do Niemiec na stałe?

— *Tak. Przez trzy lata pracowałem przy budowie rurociągów, hoteli i lotniska w Arabii Saudyjskiej. Żadnych kobiet, żadnego alkoholu. Wysokie pensje. Tylko Europejczycy tam budują. Arabowie są za leniwi i za bogaci. Bogactwo jest niewyobrażalne. Jedziesz kilometrami przez pustynię i nagle wyrasta miasto jak z bajki. Supernowoczesne. Fantastyczna architektura.*

— Ale chyba trudno wytrzymać tak długi okres czasu?

— *Po pierwsze, dużo zarabiasz. Zaoszczędziłem około dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Po drugie, co trzy miesiące płacą ci za bilet lotniczy do domu. Tak jest dla nich lepiej. Robotnicy są zrelaksowani, a poza tym odczepiają się od miejscowych kobiet. A z tym wiecie jak to jest u Arabów. Niewierną trzeba ściąć.*

Prababka Eino była Rosjanką. Dziadek Francuzem. Jego rodzice, on i rodzeństwo całe swoje życie spędzili w Hamburgu. Jest dumny ze swojego miasta i chce nam w jak najkrótszym czasie pokazać jak najwięcej. Ogromny port. Stary Fischmarkt. Hale, w których można kupić świeżutkie ryby. Stare ulice i słynna St. Pauli.

St. Pauli to rozczarowanie. To nie dzielnica, taka jak londyńskie Soho, gdzie obok sex-shopów, pubów, klubów i kin całe ulice chińskich osiedli. I to wszystko tętni życiem. Autentyczną rozrywką ludzi. Szukają jej i biorą w niej udział St. Pauli to jedna ulica. Kolorowe światła. Reklamy. Neony. Naganiacze stojący przed wejściami do kabaretów.

Zaglądamy do jednego z nich. Przyćmione światło. Zmysłowa muzyka. Atmosfera pełna podskórnego, skrywanego napięcia. Na scenie oświetlonej czerwonawym światłem leży kobieta. Nad nią lśniący potem rozebrany mężczyzna. Jednostajne ruchy. Puste twarze. Dobrze naoliwiona, równomiernie pracująca maszyna.

Wchodzimy w boczną uliczkę Nagle z jednego z barów wyskakuje tłusta Murzynka. Staje na środku jezdni. Podciąga króciutką koszulkę, błyska czarnym tyłkiem i wrzeszczy coś przeraźliwie. Za chwilę znika w barze po przeciwnej stronie.

W wąską uliczkę wtłacza się posapując luksusowy autobus turystyczny. Wysypują się z niego starsi panowie i panie. Turyści grupują się przed wejściem do eleganckiego kabaretu. Portier w liberii uprzejmie zgięty w geście zaproszenia. Fotosy za szklaną szybą obiecują najgorętszy latynoski show.

W niektórych barach tańczące pary. Łysiejący, korpulentni mężczyźni przytuleni do tłustych kobiet o wyniszczonych twarzach i pustych spojrzeniach. Muzyka jak w francuskich filmach z lat czterdziestych.

Na bocznych uliczkach robi się niebezpiecznie. Tu już nie ma turystów. Włóczą się jacyś faceci o zaczepnych spojrzeniach i zaciętych twarzach.

Wchodzimy do baru na drinka. W jednym kącie grupa angielskich marynarzy. Młodzi. Krótko ostrzyżeni. Głośno i żywo dyskutują wtrącając to trzecie słowo — fuck. Otoczenie dla nich nie istnieje, chyba, że ktoś próbuje naruszyć ich terytorium. W drugim kącie cisi, wolno sączący piwo Niemcy. Obok dwóch młodych Amerykanów. Budzą swoim charakterystycznym akcentem niechętne spojrzenia Anglików.

St. Paul urywa się gwałtownie. Nikną światła. Zaczyna się normalne miasto. Normalny ruch. Normalni przechodnie. Nagle w środku tego życia wyrastają ciemnymi wyrzutami ruiny zbombardowanego kościoła. Pozostawione po falowych atakach alianckiego lotnictwa. Prosto z ulicy wchodzimy przed obdarty z dachu ołtarz. Porośnięty zielskiem. Pajęczyna zaplotła się srebrzyście w ramie okna. Wybite szyby witraży ślepią czarnymi oczodołami. Cisza gwiżdże po kątach, gdzie kiedyś stały klęczniki dla wiernych. Wychodzimy pod bramą z połamanych ramion gotyckiego kościoła św. Katarzyny. Przekraczamy próg innej epoki i stajemy się współcześni.

Opodal powoli faluje stalowoszara woda śródmiejskiego jeziora. Emerytowani szyprowie wypluwają spomiędzy zębów i ustników fajek słowa zachęty do przejażdżki maleńkimi łódkami udekorowanymi żółtymi i czerwonymi lampkami. Wilki morskie stoją na przystani wspominając morza południowe. Nad ich głowami migają światła lampionów.

O czwartej nad ranem wracamy przez opustoszałe St. Pauli. Cisza... Tylko papierki szeleszczą pod stopami. Wygaszone światła. Środkiem ulicy wolno przesuwa się policyjny samochód. Smutne St. Pauli portowego Hamburga ułożyło się do snu.

W Hamburgu rozstajemy się. Andrzej wraca do Polski. Ja jadę do Norwegii.

(3)

„W imieniu Boga?" —tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Patriarchowie Wenecji tradycyjnie mieli do dyspozycji własny jacht. Luciani nie przywiązywał wagi do osobistego dobrobytu i nie wykazywał skłonności do takiego, zbędnego jak mu się wydawało, luksusu. Kiedy on sam i ojciec Mario chcieli się gdzieś udać, korzystali z normalnych, ogólnie dostępnych łodzi. Jeśli chodziło o jakiś pilny termin, Luciani telefonował do straży pożarnej, karabinierów lub policji finansowej i prosił o udostępnienie jednej z ich motorówek. Te trzy instytucje pracowały przez całą dobę, więc mogły stale służyć własnymi łodziami temu dziwnemu arcybiskupowi.

W szczytowym okresie kryzysu naftowego patriarcha podczas wizyt na pobliskim stałym lądzie przesiadał się na rower. Członkowie high society w Wenecji potrząsali z dezaprobatą głowami. Brakowało im ceremonialnego przepychu, którym w ich oczach musiał być otoczony urząd patriarchy. Patriarcha Wenecji był dla nich ważną figurą, która powinna występować publicznie z należną temu urzędowi godnością. (...)

Ponieważ magistrat Wenecji skąpił środków finansowych na wspieranie socjalnych placówek kościelnych, Luciani musiał na początku uciekać się do własnych środków diecezji i do funduszów Banca Cattolica Veneto, zwanego „bankiem księży". W kilka miesięcy po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego stwierdził ku własnemu zaskoczeniu, że ta instytucja finansowa nie była już żadnym „bankiem księży". Wśród codziennie zgłaszających się z prośbami o wsparcie osób w poczekalni jego gabinetu znaleźli się nagle również biskupi i księża. Do tej pory Banca Cattolica Veneto stale zapewniała duchownym bardzo korzystnie oprocentowane kredyty. Bank ten został przecież utworzony dla potrzeb diecezji oraz w celu umożliwienia sprawowania ważnej misji opiekuńczej nad owymi warstwami społecznymi, które Luciani opisał kiedyś następującymi słowami: „Nie mają one żadnego znaczenia politycznego. Nie przynoszą żadnych, pewnych głosów wyborczych. Ale właśnie dlatego wszyscy musimy w stosunku do tych upośledzonych udowodnić nasze poczucie godności jako ludzie i jako chrześcijanie".

W połowie 1972 r. skończyły się nagle korzystnie oprocentowane kredyty. Duchowni z diecezji weneckiej zostali poinformowani, że w przyszłości muszą płacić normalne odsetki, niezależnie od swych zasług. Księża poskarżyli się u swoich biskupów, ci zaś zaczęli dyskretnie rozpoznawać całą sprawę. Od 1946 r. większość akcji Banca Cattolica Veneto znajdowała się w rękach Instituto per le Opere Religiose (IOR), powszechnie zwanego „Bankiem Watykańskim". Diecezje weneckie były bardzo małymi akcjonariuszami „Banku księży"; ich udziały wynosiły łącznie niespełna pięć procent całego kapitału.

W normalnych warunkach diecezję ze swymi skromnymi udziałami byłyby pilnowały w rękach wielkiego akcjonariusza, ale w tym wypadku nie był to jednak normalny instytut finansowy. Istniało wyraźne porozumienie między Wenecją i Watykanem, zgodnie z którym ta większość udziałów IOR (w 1972 r. udziały IOR wynosiły 51 proc.) była gwarancją uniemożliwiającą ewentualne przejęcie Banca Cattolica przez kogoś trzeciego. Mimo bardzo korzystnych warunków oprocentowania kredytów, zapewnianych klerowi weneckiemu, był to jeden z najbogatszych banków w kraju. Bank, który robi interesy z duchownymi, przyciąga przecież także wiernych. (Znaczną część majątku Banca Cattolica stanowiły posiadłości ziemskie w północnych Włoszech). Ten korzystny układ nagle skończył się. Bank, co do którego byli przekonani, że należy do nich przynajmniej moralnie — zmienił właściciela za ich plecami, bez wiedzy patriarchy Wenecji lub kogokolwiek innego spośród zainteresowanych. Człowiekiem, który go sprzedał, był dyrektor Banku Watykańskiego, Paul Marcinkus. Nabywcą — Roberto Calvi, szef mediolańskiego Banco Ambrosiano.

Biskupi z całego regionu licznie przybywali w tej sprawie do rezydencji patriarchy, który spokojnie wysłuchiwał ich relacji na temat tego co zaszło. Informowali, że w przeszłości, gdy chcieli uzyskać fundusze na realizację jakichś projektów, brali kredyty w Banku Watykańskim, udzielając na nie w IOR gwarancji swoimi akcjami w Banca Cattolica Veneto. Teraz Bank Watykański z wysokim zyskiem sprzedał Calviemu te akcje wraz z dużym pakietem innych udziałów w Banca Cattolica Veneto (które bank ten zdobył gdzie indziej).

Wzburzeni biskupi wskazywali Lucianiemu, że gdyby uzyskali tylko taką możliwość, mogliby zabrać pieniądze niezbędne do spłacenia kredytów zaciągniętych w Banku Watykańskim, aby w ten sposób odkupić swoje złożone w formie gwarancji akcje w Banca Cattolica Veneto. W ich oczach niegodziwe było jednak jeszcze to, że Marcinkus naruszył zasady wierności i wiary w imieniu Watykanu, który rościł sobie prawo do tego, by być najwyższą instancją moralną na ziemi. Najłagodniej mówiąc, *Marcinkus wykazał całkowity brak moralnej rzetelności. Ich oburzenie pobudzał fakt, że cały zysk z przeprowadzonej transakcji przelał on do kas Banku Watykańskiego.*

Biskupi naciskali na Lucianiego, by osobiście udał się w tej sprawie do Rzymu. Życzyli sobie bezpośredniej interwencji papieża. Gdyby ta interwencja miała doprowadzić do zwolnienia Marcinkusa, to już wtedy było jasne, że niewielu w Kościele ubolewałoby z tego powodu, przynajmniej w Wenecji. Luciani przemyślał całą sprawę. Ten nie działający nigdy nierozważnie człowiek doszedł do wniosku, że musi zebrać jeszcze więcej faktów, zanim będzie mógł przedstawić cały problem papieżowi.

Luciani zaczął poufnie zbierać informacje. Dowiedział się wiele o Roberto Calvim, a także o człowieku nazwiskiem Michele Sindona. To, czego dowiedział się oburzyło go. Otworzyło mu także oczy i zaczął zastanawiać się nad wątpliwym sensem bezpośredniego przedstawienia skargi papieżowi. Z tego, co doń dotarło wynikało jasno, że Calvi i Sindona byli faworytami Kościoła i cieszyli się dużym uznaniem Pawła VI. Luciani zwrócił się do człowieka, z którym w ciągu pięciu minionych lat połączyła go ścisła przyjaźń: arcybiskupa Giovanni Benelli. Wprawdzie nominalnie Benelli był po kardynale Villot tylko numerem 2 w watykańskim Sekretariacie Stanu, ale praktycznie on kierował tym urzędem. Jako prawa ręka papieża Pawła VI nie tylko znał wszystkie osoby w Watykanie, ale za niektóre z nich ponosił także sporą część odpowiedzialności.

Benelli wysłuchał tego, co przekazał mu patriarcha Wenecji. Gdy ten skończył swą relację, Monsignore poczęstował świeżą kawą. Luciani dodał jeszcze: „Nie widziałem żadnych pisemnych dokumentów potwierdzających to, co powiedziałem".

„Ale ja widziałem", odparł Benelli. „Calvi jest teraz największym akcjonariuszem Banca Cattolica Veneto. Marcinkus sprzedał mu 30 marca 1972 r. 37,375 proc. udziałów".

Benellemu sprawiało wyraźną przyjemność cytowanie przed Lucianim precyzyjnych liczb i danych. Przysłuchującemu się z niedowierzaniem Lucianiemu powiedział, że Calvi wypłacił Marcinkusowi 27 mld lirów (co odpowiada około 45 milionom dolarów) i że cała ta transakcja była rezultatem planu opracowanego wspólnie przez Calviego, Sindonę i Marcinkusa. Opowiadał o firmie pod nazwą „Pacchetti", którą Calvi kupił od Sindony, kiedy kurs jej akcji został sztucznie zawyżony za pomocą kryminalnych metod. Opowiadał o tym, że Marcinkus dopomógł Calviemu w ukryciu tej i innych nielegalnych operacji przed instancjami nadzorującymi banki włoskie, stawiając mu do dyspozycji instytucje i nazwę Banku Watykańskiego.

Luciani poruszył uszami. „Co to wszystko ma oznaczać", zapytał.

„Oszustwo podatkowe, sprzeczne z prawem przekazanie udziałów. Jestem przekonany również o tym, że Marcinkus sprzedał udziały waszego Banca Cattolica Veneto po świadomie nisko ustalonej cenie i że Calvi wyrównał różnice 31-miliardową operacją z „Credito Varesino" Myślę, że ogólny dochód, jaki uzyskał Marcinkus, wynosi niespełna 47 mln dolarów".

Luciani wyszedł z siebie. „Co to wszystko ma wspólnego z kościołem ubogich? W imieniu Boga..."

Benelli skłonił go gestem do milczenia. „Nie, Albino, w imieniu zysku".

„Czy Ojciec Święty wie o tych sprawach?"

Benelli skinął głową.

„I co?"

„Nie zapominaj, kto zrobił Paula Marcinkusa kierownikiem naszego banku".

„Ojciec Święty".

„Tak jest. W dodatku, co muszę przyznać, przy mojej pełnej aprobacie. Żałowałem tego już wiele razy".

„Co mamy więc czynić? Co mam powiedzieć moim księżom i biskupom?"

„Musisz nakazać im cierpliwość. Musimy czekać. Marcinkus przeholuje. Jego piętą achillesową jest to, że jest bardzo łasy na papieskie pochwały".

„Co chce on jednak zrobić z tymi pieniędzmi?"

„Chce je korzystnie ulokować".

„W jakim celu?"

„By zysk ponownie korzystnie ulokować".

„Czy do tego czasu moi księża mają wędrować ze skarbonkami do Wenecji?"

„Do tego czasu musisz nakłaniać ich do cierpliwości. Wiem, że sam jesteś cierpliwy. Nauczaj cierpliwości twoich księży. Ja też muszę w tym ćwiczyć".

Albino Luciani powrócił do Wenecji i zwołał swoich biskupów. Przekazał im część tego, czego dowiedział się w Rzymie — wystarczająco dużo, by rozwiać wszelkie wątpliwości co do tego, że Banca Cattolica Veneto był dla diecezji bezpowrotnie stracony. Niektórzy biskupi dyskutowali potem na temat całej sprawy. Doszli do zgodnego wniosku, że za czasów kardynała Urbaniego do czegoś takiego nie mogłoby dojść. To, co się wydarzyło, było w ich oczach dowodem, że naturalna dobroć Lucianiego uczyniła go bezbronną piłką w rękach IOR. Większość z nich — łącznie z Lucianim, na znak protestu przeciw postępowaniu Watykanu sprzedała swoje pozostałe jeszcze udziały w Banca Cattolica. W Mediolanie Roberto Calvi zarejestrował z zadowoleniem, że jego maklerzy giełdowi zdobyli dla niego kolejną część „banku księży" z Wenecji.

Albino Luciani i wielu innych wenecjan zlikwidowało swoje konta w Banca Cattolica. Niezwykłym krokiem było uczynienie przez patriarchę Wenecji oficjalnym bankiem diecezji małego instytutu finansowego „Banco San Marco". Jednemu z kolegów powiedział w zaufaniu: „Pieniądze Calviego są splamione. Ten człowiek jest splamiony. Po tym wszystkim, czego dowiedziałem się o Roberto Calvim, nie będę utrzymywał w jego banku żadnego konta, nawet gdyby zapewnił on diecezji nieoprocentowane kredyty".

Luciani podjął następnie próbę nakłonienia dyrektorów Banca Cattolica do zmiany nazwy banku. Wytykał im, że atrybut „katolicki" w nazwie ich instytucji jest obrazą dla wszystkich wierzących katolików.

W Rzymie papież Paweł VI dobrze wiedział, ile niezadowolenia i jakie konkretne szkody wywołała w regionie weneckim sprzedaż Banca Cattolica. Giovanni Benelli nakłaniał Ojca Świętego do interwencji, ale w tym czasie transakcja została już dokonana. Kiedy Benelli zażądał zwolnienia Marcinkusa, papież zareagował zmęczonym, bezradnym wzruszeniem ramion. Na Pawle VI duże wrażenie wywarło jednak to, że Luciani nie podniósł żadnego głośnego protestu publicznie. Przy każdej nadarzającej się okazji chwalił teraz dobroć człowieka, którego uczynił patriarchą Wenecji. Podczas audiencji udzielonej weneckiemu księdzu, Mario Ferrarese powiedział przynajmniej trzykrotnie: „Powiedzcie księżom z Wenecji, że powinni kochać swego patriarchę, gdyż jest on dobrym, świętym, mądrym i oczytanym człowiekiem".

We wrześniu 1972 r., w drodze na Kongres Eucharystyczny w Udine papież Paweł VI zatrzymał się w weneckim pałacu patriarchy. Na oczach gęstych tłumów ludzkich na Placu św. Marka papież zdjął swój szal i owinął go wokół ramion zaczerwienionego z zakłopotania Lucianiego. Tłum wiwatował. Paweł VI nie był człowiekiem niezobowiązujących gestów teatralnych.

Kiedy obaj mężczyźni siedzieli w pałacu przy kawie, papież był jeszcze bardziej konkretny. Dał Lucianiemu do zrozumienia, że dotarły do jego uszu informacje o „małych problemach finansowych diecezji". Dowiedział się też, że Luciani zabiegał o zebranie pieniędzy na założenie w Marghera ośrodka dla ludzi upośledzonych. Zapewnił Lucianiego, jak bardzo ceni takie przedsięwzięcia i wyraził życzenie wniesienia osobistego wkładu. U Włochów, tego najbardziej gadatliwego ze wszystkich narodów, często wiele rzeczy nie zostaje powiedzianych, a mimo to jest zrozumianych.

Sześć miesięcy później, w marcu 1973 r. papież mianował Albino Lucianiego kardynałem. Bez względu na swoje wielkie oburzenie z powodu polityki finansowej IOR, Luciani uważał, że wobec papieża, swojego papieża, jest zobowiązany do całkowitej i bezwarunkowej lojalności. Jeżeli chodzi o stosunek do Watykanu, to biskupi włoscy znajdują się w bardzo szczególnej sytuacji. Ich postępowanie podlega ostrzejszej kontroli niż innych biskupów. Kary lub nagany za rzeczywiste lub przypuszczalne złe postępowanie nie każą długo na siebie czekać.

W chwili otrzymywania kapelusza kardynalskiego Luciani wiedział, że Ottaviani i inni konserwatywni ludzie z Kurii, dalecy od bezwarunkowej wierności zasadzie posłuszeństwa, byli w przewlekłym, zaciekłym konflikcie z papieżem. Tym, do czego zmierzali, było zniszczenie wszelkich postępowych rzeczy, zapoczątkowanych przez Drugi Sobór Watykański. Wezwany przez innych nowo mianowanych kardynałów i papieża (ale także oczywiście przez Ottavianiego i jego klikę) do wygłoszenia przemówienia, Albino Luciani powiedział m. in.: „Pierwszy Sobór Watykański ma wielu zwolenników, podobnie jak trzeci. Drugi ma ich za to zbyt mało".

Dwa miesiące później, w maju 1973 r. Luciani miał poufną wizytę w Rzymie: przybył Giovanni Benelli.

Benelli miał dwa powody do tego, by przyjechać do Wenecji. Po pierwsze, chciał zapewnić Lucianiego, że nie zapomniał spraw, które omawiali przed rokiem. Ponadto, i to był szczególny powód, chciał opowiedzieć zadziwiającą historię. Jest ona związana z mafią amerykańską, sfałszowanymi papierami wartościowymi na sumę prawie miliarda dolarów i biskupem Paulem Marcinkusem.

W swoim biurze w sekretariacie stanu Benelli przyjął 25 kwietnia 1973 r. niezwykłych gości: Williama Lyncha, kierownika wydziału ds. zwalczania zorganizowanej przestępczości i korupcji przy amerykańskim ministerstwie sprawiedliwości, oraz Williama Aronwalda, zastępcę kierownika specjalnej komisji policji nowojorskiej. Towarzyszyli im dwaj funkcjonariusze FBI.

„Kiedy powitałem tych panów ze Stanów Zjednoczonych", — opowiadał Benelli — „przeprosiłem ich i pozostawiłem z trzema moimi najzdolniejszymi współpracownikami. Poinformowali mnie oni oczywiście potem dokładnie, o co chodziło".

Tajny raport FBI, który dostałem do rąk w wiele miesięcy po mojej rozmowie z kardynałem Benelli, potwierdził prawdziwość jego opowieści. Historię, o której w niej chodziło, czytało się jak scenariusz filmu hollywoodzkiego.

Monsignorowie Edward Martinez, Carl Rauber i Justin Rigali **byli owymi trzema słuchaczami, których William Lynch poinformował szczegółowo o serii dochodzeń. Rozpoczęły się one od** mafijnego podziemia nowojorskiego i z nieubłaganą logiką doprowadziły do Watykanu. Poinformował duchownych o pakiecie sfałszowanych amerykańskich papierów wartościowych na sumę 14,5 mln dolarów; papiery te były bardzo dobrym jakościowo produktem mafii amerykańskiej. Cały pakiet został dostarczony w lipcu 1971 r. do Rzymu i przekonywające poszlaki wskazują na to, że ostatnim odbiorcą tych falsyfikatów był Bank Watykański.

Lynch dał wyraźnie do zrozumienia, że na podstawie punktów zaczepienia z różnych źródeł, z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że te sfałszowane papiery zamówił ktoś z Watykanu, mający uprawnienia do podejmowania ważnych decyzji w sprawach finansowych. Z innych poszlak wynika, jak mówił Lynch, że suma 14,5 mln dolarów stanowiła zaledwie pierwszą ratę i ogólna wartość sfałszowanych papierów opiewała na 950 mln dolarów.

Goście ze Stanów Zjednoczonych ujawnili nazwisko owego człowieka, „mającego prawo podejmowania ważnych decyzji w sprawach finansowych", który był inicjatorem nielegalnej transakcji: wszystkie punkty zaczepienia, jakimi dysponował Lynch, wskazywały na biskupa Paula Marcinkusa.

Trzej duchowni z godnym uwagi opanowaniem przysłuchiwali się wyjaśnieniom obu funkcjonariuszy amerykańskich, którzy prezentowali materiały obciążające Marcinkusa.

Część osób wplątanych w tę sprawę siedziała już w tym stadium dochodzenia za kratkami. Jeden z nich wypaplał tajemnicę: Mario Foligani, samozwańczy „hrabia San Francisco" i doktor honoris causa teologii. Temu wielkiemu oszustowi już wielokrotnie ledwie udało się wymigać od więzienia. Był on kiedyś podejrzany o próbę zainscenizowania rzekomego bankructwa jednej z kontrolowanych przez siebie firm i magistrat rzymski wystąpił do policji finansowej z nakazem aresztowania go. Kiedy policjanci otworzyli skarbiec Foligniego znaleźli w nim list z błogosławieństwem, podpisanym przez papieża Pawła VI. Przeprosili za swoją ingerencję i wycofali się.

Dobre stosunki Foligniego z Watykanem wywarły wrażenie również na innych. Otworzył on ważne drzwi w Watykanie Austriakowi, Leopoldowi Ledlowi. To Ledl był tym, który zaaranżował transakcję z Watykanem: sprzedaż Stolicy Apostolskiej sfałszowanych papierów wartościowych na sumę 950 mln dolarów za cenę 625 mln dolarów. Watykanowi zwrócono „prowizję" w wysokości 150 mln dolarów, tak że po załatwieniu transakcji mafii pozostałoby 475 mln dolarów, a Watykanowi papiery wartościowe o nominalnej wartości prawie miliarda dolarów.

Mafia amerykańska podchodziła do tej transakcji najpierw sceptycznie — do czasu, aż Ledl przedstawił pismo Watykanu, potwierdzenie na papierze firmowym Sacra Congregazione dei Religiosi, że Stolica Apostolska wyraża życzenie „zakupu całego pakietu do sumy 950 mln dolarów".

Foligni powiedział prowadzącym dochodzenie Amerykanom, że w charakterze zabezpieczenia Marcinkus zażądał złożenia w Banku Handlowym w Zurychu „próbki" papierów wartościowych na sumę półtora miliona dolarów. W ten sposób, jak powiedział Foligni, Marcinkus chciał zapewnić, by papiery te przeszły jako prawdziwe. Zgodnie z porozumieniem w lipcu 1971 r. Foligni zdeponował „próbkę". Pełnomocnictwa do dysponowania tym depozytem udzielił on watykańskiemu duchownemu, monsignore Mario Fornasariemu.

Druga „wypłata wstępna" w wysokości 2,5 mln dolarów, oczywiście również w postaci omawianych papierów wartościowych, została zdeponowana we wrześniu 1971 r. w Banco di Roma. Również i teraz, jak za pierwszym razem, papiery przeszły pomyślnie badania ekspertów bankowych, co było komplementem dla możliwości fałszerzy z mafii. Na nieszczęście spiskowców oba banki wysłały kilka egzemplarzy do zbadania w Nowym Jorku. Bankers Association w Nowym Jorku stwierdziło, że papiery były sfałszowane. Tak doszło do niezwykłej wizyty przedstawicieli amerykańskiego aparatu ścigania i funkcjonariuszy FBI (...).

Według wypowiedzi Foligniego, Watykan był zainteresowany zakupem sfałszowanych papierów wartościowych, gdyż Marcinkus i włoski bankier i przedsiębiorca, Michele Sindona potrzebowali kapitału na wykupienie wielkiego przedsiębiorstwa włoskiego, Bastogi, mającego znaczne udziały w górnictwie i chemii oraz poważne posiadłości ziemskie. Siedziba przedsiębiorstwa znajdowała się w Mediolanie, gdzie rezydował również Sindona. Tam poznał go ówczesny arcybiskup Mediolanu, Montini, późniejszy papież Paweł VI. Wraz z wyborem Montiniego na papieża nie tylko Watykan uzyskał następcę na tronie Piotrowym, lecz również Bank Watykański nowego, światowego doradcę finansowego: Michele Sindonę.

William Lynch, sam wierzący katolik, ujawnił dalsze szczegóły: Mario Foligni złożył podczas przesłuchania przez władze amerykańskie wiele zeznań poważnie obciążających biskupa Marcinkusa. Poza zarzutem, że Sindona i Marcinkus za sfałszowane papiery wartościowe chcieli wykupić przedsiębiorstwo Bastogi, Foligni twierdził, że z pomocą Sindony biskup założył sobie wiele prywatnych, tajnych kont na Wyspach Bahama.

Mario Foligni zeznał dalej do protokołu, że rozmawiał osobiście z biurem Benelliego, watykańskiego sekretarza stanu, i w następstwie tej wymiany informacji sekretarz stanu „zarządził najostrzejsze przedsięwzięcia wewnętrzne przeciw biskupowi Marcinkusowi, które znacznie ograniczyły jego niezwykłą do tej pory władzę wewnątrz Watykanu w sprawach finansowych". Foligni oświadczył z naciskiem, że poinformował watykański sekretariat stanu o „próbkach" zdeponowanych przez niego w Zurychu i Rzymie i że ludzie Benelliego wykorzystali tę informację przeciw Marcinkusowi (...).

Lynch zwrócił uwagę duchownych na to, że ustalona została do tej pory tylko mała część sfałszowanych papierów wartościowych, i kontynuował:

„Wszystkie poszlaki wskazują na to, że Bank Watykański był przewidziany jako odbiorca wszystkich falsyfikatów. Czy z uwagi na to, że zamówiono papiery wartościowe o łącznej wartości nominalnej 950 mln dolarów, mogę przekazać wam listę (sfałszowanych) rodzajów papierów?".

Martinez zignorował tę wyraźną aluzję. Lynch nie ustąpił. „W ten sposób na podstawie ksiąg „Instituto per le Opere Religiose" będzie można stwierdzić, czy część sfałszowanych papierów wartościowych nie została „przez pomyłkę" przyjęta do depozytu przez ten bank".

Defensywna taktyka monsignore Martineza była rzeczywiście niezwykle wyraźna: „Nie mam oczywiście pojęcia, czy w naszym banku wylądowały jakieś egzemplarze z tych sfałszowanych amerykańskich papierów wartościowych. Nie mogę jednak dla wyjaśnienia tej sprawy przyjąć od pana listy. Jest to zadanie biskupa Marcinkusa. On jest kompetentny w takich sprawach. Może mógłby pan, w przypadku trudności z nawiązaniem kontaktu z biskupem, wysłać taką listę razem z formalnym listem do legata papieskiego w Waszyngtonie".

Najwyraźniej nadszedł czas na przedstawienie poważniejszych argumentów.

Amerykanie wydobyli dokument, który znaleźli u Leopolda Ledla po aresztowaniu go. Pod pieczęcią Watykanu znajdował się na nim nagłówek firmowy „Sacra Congregazione dei Religiosi". Było to oryginalne pismo, w którym Watykan zamawiał sfałszowane papiery wartościowe o fikcyjnej wartości prawie miliarda dolarów. Dokument ten przekonał mafię amerykańską. Monsignorowie przestudiowali go dokładnie. Raz za razem pochylali się nad nim, trzymali go raz do światła, raz pod światło.

Martinez pocierał w zamyśleniu brodę. Amerykanie nachylili się w oczekiwaniu. Być może, uda im się przełamać teraz stoicką fasadę watykańskich aparatczyków. „Nagłówek firmowy wydaje się nam identyczny z nagłówkiem naszej Świętej Kongregacji, której siedziba znajduje się tu, w Watykanie".

Nastąpiła przerwa, dla Amerykanów wystarczająco długa, by delektować się wywartym wrażeniem. Potem Martinez kontynuował:

C.D.N.

(Fragmenty książki DAVIDA YALLOPA „In God's Name")

W kręgu fantastyki

MARIUSZ LEKLER

Wyspa marzeń

Tak jak co dzień, szła do przystanku autobusowego tą samą, dobrze znaną trasą, kiedy w pewnej chwili zdała sobie sprawę, że zmyliła drogę. Zamiast dotrzeć do głównej alei, niespodziewanie znalazła się w wąskiej, wyludnionej uliczce. Widocznie, pochłonięta myślami, skręciła w złym kierunku. Uśmiechnęła się rozbawiona własnym roztargnieniem. Chciała zawrócić, ale jej wzrok przyciągnęła barwna reklama, ostro kontrastująca z szarzyzną i brzydotą budynków stojących zwartymi szeregami po obu stronach jezdni.

Przeszła kilkanaście kroków i rozczarowana przystanęła przed witryną sklepu ze starzyzną. Zerknęła przez szybę wystawy. Para wydeptanych, dziecinnych sandałków, sweterek, wygniecione i porozdzierana sukienka w kolorowe kwiaty. Letnia, dziewczęca sukienka ubrudzona w paru miejscach rdzawymi plamami. Zmarszczyła brwi, usiłując coś sobie przypomnieć. W tym momencie zachwiało nią silne trącenie w ramię. Odwróciła się gwałtownie.

Młoda dziewczyna pochylona nad chodnikiem, drżącymi rękoma zbierała rozsypane pakunki.

— Bardzo proszę, niech pani mi wybaczy! — wygladała na mocno zmieszaną zajściem. — Szłam taka zamyślona. W ogóle pani nie zauważyłam.

Purpurowy rumieniec wolno schodził z okolonej jasnymi kędziorami twarzy. Niebieskie oczy patrzyły przepraszająco.

— Oczywiście, przecież nic się nie stało! — gniew zniknął równie szybko jak się pojawił.

— Och, dziękuję! Pani jest taka miła!

Blondynka szybko postąpiła krok do przodu i pocałowała ją lekko w policzek. Poczuła jakby dotknęło ją rozpalone żelazo. Krzyknęła, chwytając dłonią za piekące miejsce.

— Halo, proszę pani! Dobrze się pani czuje?

— Co? Co proszę?

Stojąca przed nią korpulentna staruszka przypatrywała się jej z życzliwością.

— Stała pani spokojnie jak wszyscy i nagle krzyknęła. Myślałam, że zrobiło się pani niedobrze.

Nie słuchała. Nieprzytomnie rozejrzała się dookoła. Śliczna dziewczyna i nie kończące się ściany z odpadającymi tynkami — zniknęły. Znajdowała się pośród kilku otaczających ją osób, na autobusowym przystanku.

Autobus nadjechał jak na zawołanie. Z ulgą uwolniła się od towarzystwa gadatliwej staruszki.

Przeraźliwy terkot budzika z wolna docierał do jej świadomości. Wczoraj, kładąc się, odruchowo nakręciła hałaśliwy mechanizm. Niepotrzebnie. Miała dziś wolny dzień i nigdzie nie musiała się spieszyć. Z przymkniętymi oczyma leżała jeszcze przez chwilę. Potem wstała, narzuciła szlafrok i wolno ruszyła do łazienki. Przechodząc przez hol, zawołała głośno w stronę uchylonych drzwi:

— Kasiu, wstawaj! Spóźnisz się do szkoły mały śpiochu!

Rozbudzona gorącą kąpielą i zimnym prysznicem, sprawnie przygotowała chleb z masłem i herbatę.

— Nareszcie! Siadaj i jedz szybciutko!

Łyżeczką nałożyła na kromkę odrobinę powideł. Jadła powoli, starannie żując odgryzane kęsy.

— Znowu pokłóciłaś się ze swoją przyjaciółką? Ostatnio wcale nas nie odwiedza... Powinnaś przeprosić się z nią. To taka miła i sympatyczna dziewczynka. Tyle razy pomagała ci w lekcjach... Hej! Już wychodzisz? Przecież prawie nic nie zjadłaś! Dobrze, dobrze! Zmykaj!... Tylko uważaj na siebie!

Westchnęła. Poznosiła talerzyki i szklanki do zlewu. Po zmyciu naczyń, wytarła ręce w suchą ściereczkę. Ustawiła na stole lusterko. Długo suszyła i rozczesywała pasma włosów uwolnionych spod zwiniętego w turban ręcznika. Uważnie przyglądając się swej twarzy umalowała rzęsy i przyciemniła brwi. Zaczynała żałować, że zgodziła się na dwutygodniowy urlop. Perspektywa spędzenia dwóch tygodni w domu nie była zbyt nęcąca.

Po dwóch godzinach czytania, nudnej filozofującej rozprawy, zaczęły kleić się jej oczy. Na dźwięk podniesionego, kobiecego głosu jaki rozdarł ciszę, oprzytomniała.

— Jesteś zwykłą winią! Myślisz, że będę prosiła cię na kolanach? Nie! Wybij to sobie z głowy! Wierzyłam zawsze w każde twoje słowo! Byłeś dla mnie wszystkim! O Boże, jaka ja byłam głupia! Teraz sam otworzyłeś mi oczy! Na szczęście doskonale poradzę sobie bez ciebie! Nie mam zamiaru ani chwili dłużej zabierać ci twego cennego czasu! Możesz iść! Z czego się śmiejesz? Wynoś się i nigdy nie wracaj! Słyszysz? Nigdy!

Bojąc się poruszyć, rozejrzała się z popłochem po pomieszczeniu. Oprócz niej, nikogo w pokoju nie było. Głos nie płynął z jakiegoś konkretnego źródła. Zawieszony w powietrzu przerażał swoją bezosobowością.

Poczuła nieprzeparte pragnienie wydostania się na wolną przestrzeń. Drżącymi rękoma wciągała na siebie ubranie. Wydawało się jej, że mijają godziny. W rzeczywistości minęła zaledwie minuta. Na ulicy odetchnęła, zupełnie nie czując zimnych porywów wiatru. Ten głos! Przecież to był jej własny głos!

Zwolniła i idąc miarowym krokiem starała się rytmicznie wciągać głęboko w płuca wilgotne, deszczowe powietrze. Dopiero po dłuższej chwili serce przestało opętańczo łomotać. Brnąc w potokach wody, doszła do parku. Wybrała najbardziej oddaloną od ulicy ławkę.

Nie potrafiła określić jak długo siedziała wpatrując się tępo w chropowaty cień pobliskiego drzewa. Dopiero dokuczliwy chłód zdołał wyrwać ją z letargu. Wiatr ustał całkowicie, a z ołowianego nieba siąpiła tylko drobna mżawka. Zapadał zmrok. Musiała wracać.

Kilka metrów za skrzyżowaniem, przy koślawej ławce stojącej obok budki telefonicznej ujrzała leżące na mokrym chodniku, częściowo zakryte gazetą, ciało dziewczynki. Nieliczni przechodnie rzucali ukradkowe spojrzenia na zwłoki i odwracając głowę, szybko przechodzili dalej.

Podeszła bliżej. Pomimo zapadających ciemności, wyraźnie widziała sandałki na szczupłych, rozrzuconych bezwładnie nogach i wysoko podwiniętą sukienkę w kolorowe kwiaty.

Straszliwy domysł ścisnął gardło bolesnym skurczem. Dopadła do ciała. Runęła na kolana i jednym szarpnięciem zerwała mokrą płachtę papieru.

Rozpaczliwy krzyk rozdarł grubą kurtynę mgły i wysokim, wibrującym dyszkantem trwał. Bez końca...

Długi, na biało pomalowany korytarz głośnym echem odbijał kroki idących.

— Czy ona z tego wyjdzie, doktorze?

— Naturalnie. O ile zorientowałem się na podstawie wstępnych badań, nie ma najmniejszych powodów do obaw. Jest całkowicie zdrowa. Przeszła tylko poważne załamanie psychiczne. Myślę, że za pięć, góra sześć dni dojdzie do siebie. O chorobie psychicznej, jak już wspomniałem, nie może być mowy, to pewne!

— Rozumiem, że ponad rok temu przeżyła ogromny szok. Zgwałcono i zamordowano jej dziewięcioletnią córkę. Oczywiście czytał pan o tym? We wszystkich gazetach zamieszczono choć małą wzmiankę o tej bulwersującej tragedii. Ale czy jest możliwe, żeby skutki tamtego wydarzenia mogły zostawić tak trwały ślad?

— Wy, policjanci, jesteście wszyscy tacy sami! Wiecznie podejrzliwi, każdą sprawę musicie poznać do samego końca. Tymczasem, drogi sierżancie, ludzka psychika to zjawisko tak odległe od logiki, że wszelkie próby wciśnięcia jej w jakiekolwiek ramy i schematy skazane są z góry na niepowodzenie. Można oczywiście pokusić się o scharakteryzowanie psychiki jednego człowieka, jednak będzie to tylko niewyraźny, zamazany szkic, daleki od precyzji i pewników. A tu mamy przypadek nieporównywalnie bardziej skomplikowany... A tak na marginesie, ujęliście już mordercę?

Policjant spurpurowiał.

— Nie. Do tej pory nie wpadliśmy nawet na najmniejszy trop. I według mnie, nigdy nań nie wpadniemy. Ale to jest, rzecz jasna, moje prywatne zdanie...

Przez pewien czas obaj milczeli.

— A więc, doktorze, twierdzi pan, że ona nie jest groźna dla otoczenia?

Człowiek w białym fartuchu zniecierpliwił się.

— Powtarzam jeszcze raz: za kilka dni powróci do całkowitej równowagi! Jest tak samo normalna jak pan i ja!

Sierżant pożegnał się i chciał odejść, ale lekarz przytrzymał go za rękaw.

— Czy mogę wiedzieć, czego od niej chce policja?

— Złożono skargę. Grozi jej mandat za zakłócenie ciszy nocnej w miejscu publicznym...

— Jak się pani czuje? Wszystko w porządku? — ordynator badawczo wpatrywał się w jej twarz.

— Tak. Myślę, że tak...

— Proszę odprężyć się i uspokoić. Wypisujemy panią do domu. Zupełnie niepotrzebny jest ten niepokój i napięcie. Jestem pani przyjacielem i mam jak najlepsze intencje. Proszę wygodnie usiąść w fotelu...

Usłuchała. Położyła głowę na miękkim oparciu. Patrzyła w wysokie okno poza plecami mężczyzny.

Zadowolony, sięgnął po paczkę papierosów.

— Zechce się pani poczęstować, proszę!

Z podsuniętej paczki delikatnie wyjęła papierosa. Zapalili.

— Proszę opowiedzieć mi coś o sobie.

— Nie mam nic ciekawego do opowiadania. Moje życie jest równie monotonne jak życie innych ludzi. Zamyka się między pracą a domem.

— A marzenia? Miewa pani jakieś marzenia?

— Kiedyś marzyłam, by choć raz w życiu zobaczyć jakiś odległy kraj, zostać podróżnikiem, przeżyć coś ciekawego. To były marzenia, tylko marzenia. Brak czasu, pieniędzy, wreszcie — chęci...

— Nie, nie! Miałem na myśli marzenia erotyczne, seks...

Nie spodobał się jej ton lubieżnej, źle ukrywanej ciekawości.

— To moja prywatna sprawa.

— Oczywiście, oczywiście. Przepraszam! Czy po opuszczeniu naszej kliniki będzie ktoś mógł zaopiekować się panią? Czy znajdzie się pani w otoczeniu ludzi kochanych? Mąż? Dzieci?

— Mam tylko córeczkę. Jej ojciec opuścił mnie, kiedy byłam w czwartym miesiącu ciąży. Potem bałam się ryzykować związku z kimś innym. Zresztą, obie z Kasią świetnie sobie radzimy same i jest nam razem dobrze. Nie chcemy tego zmieniać. Przynajmniej w najbliższej przyszłości.

— Doskonale! Więc mogę z czystym sumieniem wysłać panią do domu.

Pochylił się nad biurkiem i zaczął wypełniać dokumenty.

— Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć kto wczoraj tak strasznie hałasował w nocy?

Spojrzał na nią spod grubych, rogowych okularów. — To pani sąsiad z szesnastki. Wczoraj zaczęła się pełnia — wyjaśnił.

— Pełnia?

— Tak. Pewni ludzie o nadwrażliwej psychice ostro reagują na tę fazę księżyca. Są niespokojni, na coś oczekują, często stają się agresywni.

— Oczekują? Zabawne, wczoraj miałam sen o czekaniu.

Wbił w nią czujny wzrok.

— Pamięta pani ten sen?

— Niezbyt dobrze. Widziałam zdumiewająco zielone, niespokojne morze. Słyszałam też kogoś, kto wzywał mnie do siebie. Tego nie jestem jednak pewna — nie mogłam rozróżnić słów...

— Nic więcej? Nie widziała pani tej osoby?

— Nie, z pewnością nie...

Pokiwał uspokojony głową. Skończył pisać.

— Oto przepustka. Była pani jedną z naszych najlepszych pacjentek.

Uścisnęła wyciągniętą dłoń.

Po przyjeździe do domu zjadła porządny obiad. Potem długo leżała w wannie, starając się pozbyć przykrego, szpitalnego zapachu jakim nasiąkła jej skóra. Stare rzeczy wepchnęła już wcześniej do zsypu na śmieci. Teraz na gołe, jeszcze wilgotne ciało założyła wzorzystą, powiewną sukienkę, chowaną w głębi szafy na specjalne okazje. Okręcając się dookoła, z zadowoleniem obserwowała w lustrze odbicie swej zgrabnej figury.

W miarę upływu czasu coraz bardziej ogarniał ją nastrój niespokojnego oczekiwania. Była pewna, że najbliższa przyszłość przyniesie ze sobą wydarzenia, których bała się i jednocześnie pragnęła. Nie była w stanie sprecyzować jakie to będą wydarzenia i kiedy dokładnie nastąpią, czuła jednak, że zaważą na całym jej życiu. Podniecona krążyła po całym mieszkaniu nie mogąc znaleźć żadnego zajęcia. Na koniec położyła się na tapczanie. Po godzinie, znużona zapadła w niespokojny sen.

Uniosła szybko powieki zaraz po tym, gdy do jej świadomości dotarł głośny trzask. Usiadła, z niepokojem szukając przyczyny hałasu. Odetchnęła. Powiew wiatru otworzył nie domknięte okno. Wstała i zamknęła je dokładnie. Wyludnioną ulicę rozjaśniała srebrnosina, księżycowa poświata. Pośpiesznie zerknęła na fosforyzujące wskazówki zegarka. Do dwunastej pozostało tylko osiem minut.

Na ulicy przyspieszyła kroku. Biegła, słysząc jak jej bose stopy plaskają o płyty chodnika. Skręciła w aleję. Niemal nie dotykając już ziemi, pędziła w otchłań nocy.

Jaskrawy blask nagle wwiercił się w jej oczy. Gwałtownie zatrzymała się przesłaniając twarz. Chwilę czekała aż wzrok przywyknie do światła. Ostrożnie opuściła ręce.

Zachłysnęła się widokiem rozległej, złotopiaszczystej plaży nad niespokojnym, intensywnie szmaragdowym morzem. Ciepłe fale omywające łydki, pozostawiały na nich białe obwódki piany. Odwróciła się w stronę lądu.

Łapczywie wchłaniała tysiące tajemniczych woni docierających z wiatrem. Potem rozpostarła ramiona i zatańczyła śmiejąc się głośno. Po paru minutach, zmęczona, przestała wirować. Wykopując w górę fontanny piasku, wolno ruszyła w stronę lasu. Oprócz palm, drzewiastych paproci i setek ukrytych w gałęziach storczyków nie potrafiła nazwać innych roślin. Na moment jej wzrok przyciągnęła chmara lśniących, bajecznie kolorowych kolibrów.

Biegła od rośliny do rośliny dotykając i wąchając kwiaty o przedziwnych kształtach, barwach i zapachach. Dopiero, gdy wielka, czerwona kula słońca zaczęła szybko znikać w falach oceanu, podniosła zdziwione oczy. Minął cały dzień, a ona nie czuła w ogóle głodu i pragnienia. Było jej lekko, wesoło, jak po wypiciu szampana.

Na niebie rozbłysły gwiazdy. Wzeszedł księżyc. Z wolna, poważniejąc, przypatrywała się jego niespodziewanie obcej, fioletoworóżowej tarczy. Potem bezradnie spojrzała wokół siebie. W ścianie drzew i krzewów, przed chwilą niedostępnej, znalazła szerokie przejście. Bez wahania ruszyła w głąd dżungli. Po trzynastu metrach stanęła przed kamiennym murem. Ostrożnie obmacywała zimną płaszczyznę. Ścianę szczelnie pokrywały płaskorzeźby, przedstawiające fantastyczne stwory. Centralny fragment ściany nagle rgnął i rozsunął się na boki. Niepewnie przekroczyła próg. Ciężkie wrota z hukiem zatrzasnęły się za jej plecami. Z trudem opanował chęć rzucenia się do panicznej ucieczki. Wiedziała, że stąd nie ma powrotnej drogi.

Z nieszczelnie zasłoniętego otworu w suficie do wnętrza pomieszczenia docierał nikły odblask księżyca. To wystarczyło, by zobaczyła, że prócz materaca leżącego na samym środku kamiennej, owalnej celi, nie ma żadnych innych sprzętów. Z ociąganiem, uważnie rozglądając się na boki, zdjęła sukienkę i nieśmiało położyła się na twardym legowisku.

Nie spostrzegła, kiedy wszedł. W pewnym momencie w mrocznej ciszy usłyszała drapieżny, świszczący oddech. Uniosła się na łokciach, ale nic nie dostrzegłszy znów opadła na plecy. Nigdy nie odważyłaby się spojrzeć prosto w jego oczy. Nie w takiej chwili...

Wolno przewróciła się na brzuch. Przyklękła, opierając głowę na przedramieniu. Przymknęła powieki i wypchnęła pośladki w ciemność. Pokryte krótką sierścią, sześciopalczaste dłonie mocno chwyciły ją za biodra. Wkrótce dzikim, zwierzęcym wyciem zaczęła oznajmiać światu swą rozkosz.

Obudziła się rześka i wypoczęta. Słońce, stojące już wysoko na niebie, przenikało przez okno migotliwymi kaskadami. Zerwała się raźno z posłania i otworzyła je na oścież. Owiało ją chłodne powietrze. Pomyślała, że to jeden z ostatnich, słonecznych dni tej jesieni. Wychyliła się za parapet. Na ulicy panował zwykły ruch.

Przeciągłe burczenie w brzuchu uprzytomniło jej jak bard jest głodna. Weszła do kuchni. Przypomniała sobie, że musi zażyć przepisane w szpitalu lekarstwo. Wrzucona do wody tabletka zaczęła barwić ją na czerwono. Z zainteresowaniem obserwowała przeplatające i łączące się ze sobą barwne smugi. Wtem nachyliła gwałtownie głowę. W głębi naczynia pojawiła się trójwymiarowa twarz mężczyzny. Twarz, którą pragnęła zobaczyć za wszelką cenę. Zjawisko trwało tylko sekundę. W następnej, kieliszek rozsypał się na setki drobnych okruchów. Na śnieżnobiałym obrusie pozostała nieregularna, szkarłatna plama.

Krążąc po mieszkaniu i nerwowo przygryzając palce, zastanawiała się gorączkowo. W końcu zarzuciła na ramiona płaszcz i wybiegła do pobliskiego sklepiku z kosmetykami i przyborami toaletowymi. Nie przejmując się pełnym zdumienia wzrokiem znajomego sprzedawcy, poprosiła o mały, podłużny przedmiot.

Późnym wieczorem, ponownie wyszła na ulicę. Po długiej wędrówce na przedmieścia stanęła przed wysokim ogrodzeniem. W świetle księżyca bez trudu odnalazła masywną furtkę. Po chwili znalazła się przy wejściu do eleganckiego, utrzymanego w wiktoriańskim stylu domu. Nacisnęła mosiężną klamkę i wkroczyła do mrocznego holu. Wstrzymując oddech, na palcach podeszła do drzwi, spod których waskim, żółtym paskiem dobywało się światło. Uchyliła je nie czyniąc najmniejszego hałasu.

Mężczyzna siedzący przy kominku pochłonięty był czytaniem książki. Dopiero gdy stanęła tuż przed nim, gwałtownie podniósł głowę. Chciał poderwać się z miejsca, ale nie mógł uczynić najmniejszego ruchu.

— Kto ty jesteś?! — wybełkotał.

— Nie poznajesz mnie? Naprawdę? To przecież ja — twoje przeznaczenie...

— Teraz sobie przypomniałem! Ależ ty jesteś...

Uciszyła go stanowczym gestem dłoni. Z kieszeni luźnego płaszcza wyjęła brzytwę i niespiesznie ją rozłożyła.

— Na Boga! Co chcesz zrobić?!

Oczy wyszły mu z orbit. Na czole pojawiły się grube krople potu. Całą siłą woli próbował poruszyć swoje bezwładne ciało, choćby o milimetr przesunąć leżące na kolanach dłonie. Bezskutecznie.

— To, że zostawiłeś mnie samą, wybaczyłam ci już dawno, ale tego, że pozbawiłeś mnie sensu mojego życia nie wybaczę ci nigdy! Tym bardziej, że Kasia będąc twoją ofiarą, była również twoją córką...

Nachyliła się nad nim i miękkim, prawie pieszczotliwym ruchem poderżnęła mu gardło.

W tak doskonałym nastroju nie była od prawie półtora roku. Wesoło nucąc usłyszany rano w radiu przebój, szła do przystanku autobusowego tą samą, dobrze znaną trasą, kiedy w pewnej chwili zdała sobie sprawę, że zmyliła drogę. Zamiast dotrzeć do głównej alei, niespodziewanie znalazła się w wąskiej, wyludnionej uliczce. Widocznie, pochłonięta myślami, skręciła w złym kierunku. Uśmiechnęła się, rozbawiona własnym roztargnieniem. Chciała zawrócić, ale jej wzrok przyciągnęła barwna reklama, ostro kontrastująca z szarzyzną i brzydotą budynków stojących zwartymi szeregami po obu stronach jezdni.

Pod dużym szyldem, na którym kolorowe litery wołały: „Tu kupisz-sprzedasz wszystko", stała ciemnowłosa kobieta, wpatrująca się zrozpaczonymi oczyma w zakurzoną szybę wystawy.

Zaczęła intensywnie zastanawiać się w jaki sposób do niej podejść, by móc pocałować mokry od łez policzek.

1 Nagłe zastępstwo

Niewinni chodzą boso

„Polityka" zapowiada erę video. Mało tego. Anna Matałowska stwierdza, że era już nadeszła: już mamy biznes video, przemyt video, firmy video... Ciekawe, że nowa era zaczyna się jakby od kuchni, czy raczej od piwnicy. Od podziemia...

Może i „Polityka" ma rację. Ja sądzę natomiast, że jeszcze nie osiągnęliśmy rozkwitu ery koloru. Niewystarczająca jeszcze produkcja telewizorów kolorowych i bariera cenowa powodują, że nadal mamy więcej czerni, bieli i szarości niż koloru. W życiu jak w telewizji (lub jak kto woli, na odwrót). Ale społeczny nacisk na „kolor" jest ogromny i w końcu przełamie on bariery. Cenowa również. Co do mnie, to nie popieram. Nadal uważam, że różnica między posiadaniem telewizora czarno-białego i kolorowego jest minimalna w porównaniu z różnicą, jaka istnieje między posiadaniem telewizora w ogóle a nieposiadaniem go wcale (z reguły jest to różnica na korzyść nieposiadania...).

Pomyślmy chwilę trzeźwo i bez emocji. *Czy rozpiętość* w cenie odbiorników „Jowisz" i dajmy na to „Fregata" jest wartością, którą chętnie oddamy za obejrzenie rumieńców na twarzy redaktora Barańskiego? Czy gotowiśmy zapłacić aż tyle, żeby przekonać się, że redaktor Królikowski wcale nie jest płowym blondynem, a po prostu posiwiał? Lub poznać kolor swetra Barbary Grad?

Zwolennicy koloru powołują się często *na* nieporównywalną różnicę *między transmisjami* sportowymi. *Jest to* argument częściowo tylko *słuszny*. Znów ulegamy tu niebezpiecznemu *formalizmowi*, oddając bałwochwalczą cześć środkowi przekazu a lekceważąc przekaz. Czy komukolwiek z kibiców zieleń na stadionie i jaskrawe koszulki piłkarzy osłodzą klęskę, jaka wisi nieuchronnie nad naszą reprezentacją, która po meczu z Albanią będzie musiała wreszcie postawić sobie pytanie dramatyczne: w co my gramy?

Bo w piłce nożnej, jeśli mnie pamięć nie myli, chodzi o ulokowanie piłki w tej siatce za obramowaniem. Jeśli jest inaczej, to niech mnie, profana, oświeci Bogda Madej.

Pytanie: w co my właściwie gramy, panowie? jest zresztą pytaniem na czasie jak najbardziej i dotyczy wielu innych dziedzin. Z handlem na przykład gramy w reklamacje...

Uszami wyobraźni słyszę okrzyki czytelników: znamy, znamy! Teraz będzie opowiastka o tym, jak trzy razy reperowali Andrzejowi Karolowi lodówkę albo pralkę! Prosimy o coś zabawniejszego!

A właśnie że nie lodówkę ani pralkę. Nawet jeśli już, to chłodziarkę i pralnicę, proszę państwa.

Reperowali mi mianowicie buty. W dwa tygodnie po nabyciu gustownego obuwia zwanego niesłusznie „adidasy" w firmowym sklepie „Chełmka" zmuszony byłem reklamować odklejoną podeszwę. Minęło zaledwie dziesięć dni, odebrałem zreperowane buty i cześć. Kiedy, już po dwóch miesiącach użytkowania odkleiła się druga podeszwa okazało się, że muszę wypełnić ogromny arkusz papieru potem zaczekać dwa tygodnie żeby w końcu dowiedzieć się, że reperacji nie będzie, bo „szkoda powstała z winy użytkownika". Pal sześć, skleili mi but gdzie indziej. Ale nie rozwiązali moich wątpliwości, których naliczyłem dwie.

Pierwsza jest taka: Dlaczego to, uznając, że moja reklamacja jest bezzasadna, nie skleili mi tego buta na mój koszt? Za proste byłoby? W głowie by się klientom poprzewracało?

Druga wątpliwość jest następująca: rozumiem, że gwarancja na buty nie może być dwuletnia jak na telewizor i odklejenie podeszwy po dwóch miesiącach uznaje się za normalny objaw zużycia i reklamacji się nie uwzględnia. Słuszne jest bowiem, żebym sobie kupił w Chełmku na następny sezon nowe, modne obuwie, a nie chodził w starych i połatanych kapciach. Chełmek to nie jest żadne towarzystwo filantropijne dzięki któremu mam mieć zapewnione chodzenie w jednej wciąż reperowanej parze obuwia, do późnej starości. Rozumiem.

Ale dlaczego piszą: „z winy użytkownika"? Czy tajny agent Chełmka podpatrzył, jak scyzorykiem odrywałem podeszwę? A może widziano mnie w składzie podwórkowej drużyny futbolowej jak brawurowo faulowałem napastnika przeciwnej drużyny? Albo kopałem latarnię uliczną? Jeśli nie, to czy zwyczajne chodzenie w butach godzi się nazwać winą? Niewinni chodzą boso...

Na zakończenie znów składam reklamację. Na ręce służby drogowej MO ją składam. Nowy kodeks drogowy, podobnie zresztą jak stary, zawiera pewne wymogi dotyczące zewnętrznego wyglądu pojazdów. Wiedzą o tym samochodziarze, którym rąbnięto mandaty za brudne wozy. Tymczasem, na skutek importowej inwencji rodaków coraz więcej na naszych drogach różnych zagranicznych półciężarówek, użytkowanych przez rzemieślników dostawców itp. W ciągu jednego tylko ubiegłego tygodnia widziałem dwie takie półciężarówki. Jedna reklamowała w języku Heinego i Manna gorące parówki oferowane przez firmę Rudi Mueller w Dortmundzie, druga wytworną bieliznę damską w jakimś Waenhausie Hamburga. Może *to kogoś zdziwi, ale w najbliższym czasie nie wybieram* się ani do Dortmundu, ani do Hamburga. Ani parówek nie skosztuję, ani tym bardziej nie kupię batystowych majtek.

Panowie z MO! Każcie im to zamalować, bo mnie drażnią. Jak muszą, to niech reklamują Polkolor i Chełmka...

ANDRZEJ KAROL

2 Spojrzenie znad szachownicy

Nie wierzcie horo— skopom!

1.

Od czasu do czasu poważni ludzie w poważnych organach prasowych występują przeciwko horoskopom, że to niby bzdura i zawracanie głowy. No, powiedzmy. Nie da się wprawdzie logicznie udowodnić, że układ planet w dniu narodzin ma jakikolwiek wpływ na losy i charakter człowieka, ale nie da się również udowodnić, że nie ma.

Zresztą po co cokolwiek udowadniać — wiara w horoskopy ma charakter irracjonalny i racjonalne argumenty tu nic, bo to tak jakby młotkiem chcieć wbijać gwoździe w stojącą wodę zabobonu. Możemy natomiast — oczywiście jeżeli wysiłek ten zostanie doceniony przez kogo należy — rozprawić się z horoskopami całkiem po chamsku, stosując tak zwany chłopski rozum.

2.

Czy dostaliście kiedykolwiek w mordę? Czy ktokolwiek wyciągnął wam portfel z kieszeni, albo też ekspedientka potraktowała was niegrzecznie w sklepie? Bądź może — iżby przejść w sfery bardziej intymne — zdradziła was kiedykolwiek ukochana żona, albo też wyście ją zdradzili, ukradkiem i przypadkiem?

Otóż — iżby już pozostać przy tonie — oświadczam, że to się w żadnym przypadku nie mogło przydarzyć. Zajrzyjcie do żoninego horoskopu wszystko jedno przez jakiego spożądzonego maga. Wyczytacie tam, że to kobieta subtelna i uduchowiona, lubi kwiatki i pomadki, szczęśliwy kamień — rubin, za mąż powinna wyjść za Byka. O zdradzaniu nie będzie ani słowa, ba, ani słowa nie będzie o kładzeniu się do łóżka.

Podobnie, wedle horoskopów nie urodzili się — a przynajmniej nie powinni się byli kiedykolwiek urodzić — ci, którzy biją słabszych, ci, którzy wydają idiotyczne zarządzenia oraz ci, którzy przemiennie chlają, bądź leżą gdziekolwiek spici jak bure świnie. Tych ludzi wedle horoskopów, jak powiadam, nie ma. Świat astrologów malowany jest bowiem pogodnymi barwami, a każdy — za przeproszeniem — bydlak, ma niemal same zalety. No i jakąś drobną wadę, żeby nie było całkiem śmiesznie.

3.

Miażdżący ten wywód — który na życzenie mogę dowolnie rozwinąć — stanowi moje wyznanie wiary w horoskopowej materii, przypadek jednak sprawił, że na moment zostało ono zachwiane. Oto w „Przekroju" z datą 11 listopada trafiłem któryś już raz na śliczną rubrykę **„Tęcza 36 barw czyli horoskop, a właściwie apokryf astrologiczny napisany około roku 1871 przez sławnego później astronoma francuskiego Camille'a Flammariona"**. Jest w nim m. in. charakterystyka BURGUNDA (8—17 listopada), którą zacytuję we fragmentach.

„BURGUNDY są zwykle umysłowo bystre i ruchliwe — lecz na drodze do prawdziwego sukcesu w jakimś zawodzie staje im nieraz pewne rozproszenie ducha i niewielka pracowitość. (...) Dobrze, jeśli uda im się wybrać zawód, gdzie inwencja i oryginalność myśli ma większe znaczenie niż pracowitość i systematyczność. Wtedy mogą nawet osiągnąć wiele — bez szczególnego wysiłku. Ludzi urodzonych w tej dekadzie spotyka się często wśród przedstawicieli wolnych zawodów, z którymi to profesjami zwykle radzą sobie lepiej niż z czym innym".

Kochani, urodziłem się 13 listopada, to o mnie i wszystko się prawie zgadza! Oczywiście jest trochę nieskromnie przypisywać sobie „oryginalność myśli", ale zacytuję inny kawałek.

„Mają zwykle wielu przyjaciół czy bodaj zwykłych znajomych, z którymi podtrzymują kontakty serdeczne, choć czasem zaburzone przez pewien brak słowności. BURGUNDY lubią w życiu swych przyjaciół pojawiać się, a potem znikać, zachowując jednak dawną serdeczność i przyjaźń."

No tak, to już z pewnością o mnie całe „Odgłosy" mogą poświadczyć, że pojawiam się, znikam, zapowiadam burzliwą wizytę, a potem nie przychodzę ani trochę. Miał łeb ten Flammarion, daję słowo, choć i on się potknął.

4.

Jeszcze mały kawałeczek o BURGUNDACH:

„Żyją długo, przez większą część swego życia — jak ludzie młodzi. (...) Niekoniecznie urodziwi, mają nieraz w swym wyglądzie coś sympatycznego i pociągającego, dlatego też nawet w późniejszym wieku budzą zainteresowanie płci przeciwnej."

„Niekoniecznie urodziwi" — prawda. O tym, czy mam coś sympatycznego w wyglądzie — nie mnie sądzić, ale wiedziałbym chyba, do cholery, o zainteresowaniu płci przeciwnej!

5.

Nie daję tu ogłoszenia matrymonialnego ani jakiegokolwiek innego w wiadomej materii. Żyję, jak mniemam, w cnocie, a jeżeli nawet nie z przekonania, lecz z musu, to i tak nic komu do tego.

Na własnym wszelako przykładzie chciałem unaocznić czytelnikom, że wiara w horoskopy jest ciemnotą, wciskaniem kitu, a nawet czymś w rodzaju duchowego onanizmu. Jako BURGUND, że tak powiem, w podeszłym wieku, mam pełne podstawy, aby twierdzić tak właśnie.

JERZY P.

3 Lewym okiem

Oczyścić przedpole!

Nie trzeba nikogo przekonywać o tym, o ile znośniejszym byłoby życie, gdybyśmy go sobie wzajemnie bez żadnego powodu i całkowicie bezinteresownie nie utrudniali. To się dzieje na każdym kroku ale zatrzymajmy się na chwilę przy stosunkach sąsiedzkich. Przy stosunkach „dobrosąsiedzkich", to znaczy tych, kiedy się nie kłócimy, nie odwracamy twarzy na schodach, nie życzymy sobie wzajemnie wszystkich plag egipskich; nawet się lubimy, odwiedzamy, gawędzimy. A mimo to, przez prostą nieuwagę, możemy tym dobrym sąsiadom solidnie dokuczyć i zupełnie te nasze miłe stosunki obmierzić.

W różnych miejscach publicznych rzucają nam się w oczy artystyczne (przeważnie) plakaty o najróżniejszej treści: „Myjcie owoce", „Witajcie się bez całowania rąk", „Motylem byłem, ale utyłem" i „Dziecko plus zapałki równa się pożar". Może więc w klatkach schodowych porozwieszać jeszcze i takie plakaty, które zwróciłyby uwagę na higienę stosunków sąsiedzkich, na profilaktykę antykłótniową i antystresową, na najprostsze zasady dobrego społecznego wychowania? Może wielkim, tłustym drukiem, wspomożonym dowcipnymi obrazkami, wbić w głowy wszystkim mieszkańcom każdego bloku takie na przykład przykazania:

1. Droga sąsiadko z góry! Daję słowo, że zdrowiej będzie dla ciebie i dla twych dzieci, jeśli będziecie biegać po domu w miękkich pantoflach zamiast grzechotać mi nad głową szpileczkami i trepkami na drewnianych podeszwach.

2. Obywatele i obywatelki! Ja wiem, że dzień bez kłótni w małżeństwie to zmarnowany dzień. Ale przynajmniej niektóre rozdźwięki załatwiajmy bez maksymalnego nagłośnienia! Niech najwyżej co dziesiąta wymiana zdań dobiega do nas z boków, z dołu, z góry w pełnym brzmieniu, z całym bogactwem wyrażeń, całą gamą szlochów, jąkań i warczeń.

3. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi zwierząt. Właśnie dlatego nie zostawiajcie swych psów samotnie w mieszkaniach bo swym wielogodzinnym skomleniem, wyciem i szczekaniem uczynią z nas śmiertelnych wrogów całego psiego rodu!

4. Wiem też, że czasem słucha się radia lub telewizora z uczciwym przekonaniem, że głos wcale nie jest zbyt donośny, a u sąsiadów każde słowo i każdy takt koncertu życzeń słychać w najbardziej niechcianej chwili. Po nastawieniu zatem aparatu na dogodną dla nas fonię ściszamy go następnie o ćwierć obrotu odnośnej gałki — to co zostanie będzie naprawdę w sam raz!

5. Nie trzepmy na balkonach poduszek, koców, ubrań, dywanów, ścierek ani żadnych obiektów bogactwa domowego, bo sąsiadom mieszkającym niżej słoma, pierze i inne farfocle osiadają na ich balkonach, a sąsiadom bocznym i wyższym kurz wali tumanem do okien.

6. Przed zadzwonieniem do własnego mieszkania, zwłaszcza późną lub bardzo wczesną porą, sprawdźmy błyskawicznie, czy to na pewno własne mieszkanie. Pomylić się może każdy, to prawda, ale nawet bardzo uprzejme „przepraszam" nie zawsze zrównoważy przerwany sen lub zakłócenie jakiejś innej ważnej, osobistej czynności.

7. Odsunięcie śmieci spod własnych drzwi pod drzwi sąsiada to naprawdę taki sam wysiłek, jak zebranie tychże śmieci na łopatkę. Słusznie więc owo odsunięcie uznane zostanie za złośliwość — i lawina się zacznie. Po co wam to?

8. Aż mi wstyd, ale przypomnę jeszcze i taką oczywistość: zakręcajcie wszystkie krany wychodząc z domu! Zakręcajcie, na litość boską!

I to by było na tyle. Przestrzeganie tych kilku łatwiutkich zaleceń oczyści przedpole pod uprawę prawdziwej życzliwości ludzi do ludzi, a to przecież tak dużo!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4 Sport

Jeszcze słychać gwar stadionów

Dobiegła końca jesienna runda piłkarskich rozgrywek i bardzo dobrze. Nie była to runda najciekawsza. Swoistą sensacją jest mistrzostwo jesieni warszawskiej Legii. Piłkarze tej drużyny długo błądzili po całej tabeli, aż wreszcie doczekali się awansu. Ale, jak powiedział to ktoś złośliwy, mistrzowie jesieni nie zostają na ogół mistrzami Polski. Legia ma ponoć zamiar przełamać tę „prawidłowość".

Widzew spoczął na 4 miejscu. Walczy nadal w europejskich pucharach. Teraz ma nadzieję wyeliminować Dynamo Mińsk, ale to orzech trudny do zgryzienia. Widzew gra nierówno. Czy tym razem się uda?

O ŁKS nie ma co pisać. Niech się martwią, czy nie spadną do drugiej ligi. Nie pierwszy raz pytanie to staje przed działaczami i piłkarzami ŁKS.

Coś się jednak w tym sezonie działo. Jeśli nie na boiskach, to przynajmniej wśród piłkarzy. Oto Mirosław Pękala, z wrocławskiego Śląska, po pijanemu, potrąca kobietę samochodem. Jak to zwykle się dzieje, sprawa staje się głośna w całym kraju, a we Wrocławiu o niej głucho. Prasa nic na ten temat nie pisze. A jest o czym pisać. Mirosław Pękala — a stało się to już jawne — nie pierwszy raz jeździł po mieście „po pijanemu". Lubił sobie wypić, co dla sportowca nie jest — a przynajmniej nie powinno być — naturalne. I żeby już było całkowicie surrealistycznie, Mirosław Pękala miał wszyty esperal. Nieuświadomionym wyjaśniam, że jest to środek uniemożliwiający picie alkoholu. Jak się okazuje Mirosławowi Pękali to nie przeszkadzało. A poza tym Śląsk jest klubem wojskowym i Mirosław Pękala pełni służbę. Widać, że fatalnie to robi. Czyżby miał mało wymagających przełożonych?

Inną siurpryzę wywinął piłkarz Lecha — Józef Adamiec. W 53 minucie meczu z ŁKS Józef Adamiec popełnił błąd, robiąc tym prezent piłkarzom ŁKS. Ci z tego skorzystali i zdobyli wyrównanie, a później cały mecz wygrali. Wiceprezes Lecha — Hilary Nowak powiedział, że gdyby nie miał zaufania do piłkarzy, to by pomyślał, że ten mecz... sprzedano. Widać Mirosław Okoński nie miał takiego zaufania, bo pokłócił się z Józefem Adamcem, a „Kurier Polski" o tymże Adamcu pisał per „oskarżony". Siurpryza była pełna, bowiem następnego dnia po meczu z ŁKS Józef Adamiec zjawił się w Lechu i złożył pobrany uprzednio sprzęt oświadczając: „gra w Lechu już mnie nie interesuje". Klub zakazał Adamcowi wyjazdów zagranicznych przez rok i obniżył mu stypendium. Ale zdaje się Józef Adamiec ma inne plany i takie zakazy nie wywarły na nim większego wrażenia.

Z Lecha odchodzi trener Wojciech Łazarek. Może to i niespodzianka. Ale nie dla mnie. Wojciech Łazarek prowadzi drużynę Lecha już dość długo. Doszedł do wniosku, że niczego już tej drużyny nie nauczy, że potrzebna jest jej inna ręka i głowa. Czy jest w tym coś złego? Przecież i piłkarze, i trener mogą być sobą zmęczeni. Lepiej — według mnie — gdy trener rezygnuje, niż rezygnują z trenera. Wojciech Łazarek pokazał, jak powinien odchodzić trener, który uważa, że już zrobił wszystko. Podobnie zresztą postąpił Jan Tomaszewski, który zrezygnował z prowadzenia drużyny Orła — WAM Łódź. Drużyna ta nie mogła pochwalić się wielkimi sukcesami w III lidze. Różnica między odejściem Wojciecha Łazarka a odejściem Jana Tomaszewskiego jest taka, że Lech był mistrzem, a Orzeł — WAM... Lepiej nie szukać porównań w ornitologii. W każdym razie pierwsza samodzielna trenerska praca Jana Tomaszewskiego zakończyła się nie najlepiej.

I na koniec mogę tylko wyrazić zadowolenie z decyzji PZKol., który na trenera reprezentacji powołał Ryszarda Szurkowskiego. Mieczysław Nowicki, wypowiadając się niegdyś w „Odgłosach", proponował tę kandydaturę. Weterani szos byli zaniepokojeni stanem polskiego kolarstwa. Ich zdaniem sytuację mógł uratować tylko ktoś taki jak Ryszard Szurkowski.

Nowy trener nie tylko cieszy się wielką sławą, nie tylko był mistrzem i wygrywał liczne pojedynki na szosie, ale i dziś nie boi się roweru. Jeszcze i teraz niejeden młody kolarz ma z nim na szosie kłopoty. Taki trener będzie cieszył się nie tylko autorytetem minionej sławy, ale i dziś na rowerze pokazać może młodym, jak się jeździć powinno.

Ryszard Szurkowski w książce wspólnie napisanej z Krzysztofem Wyrzykowskim „Być liderem" wspomina znakomitego trenera Henryka Łasaka. Dla Łasaka nie było pupili w kadrze. Wszyscy byli równi, od wszystkich jednako wymagał. Jeśli Ryszard Szurkowski weźmie przykład z Henryka Łasaka, to może spełnić to, czego od niego oczekują i kolarze, i kibice.

Nie stanie się to już jutro. Nie stanie się pewnie i w najbliższym Wyścigu Pokoju, choć kibice łakną bardzo sukcesu w tym wyścigu. Może i kolejne mistrzostwa świata jeszcze odpuścimy. Ale wszyscy oczekujemy, że powoli Ryszard Szurkowski zbuduje polską, silną i sprawną reprezentację kolarską. Mam nadzieję, że się na nim nie zawiedziemy.

BOGDA MADEJ

RAPIER NAPOLEONA (5)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Obudził ją terkot telefonu. Przeciągnęła się, ziewnęła i dopiero wtedy podniosła słuchawkę. Przycisnęła ją barkiem do ucha i obserwowała z zainteresowaniem swój nieskazitelny manicure. Milczała. Wielkie damy działają bez pośpiechu.

— Jesteś tam? — odezwał się głos z drugiej strony.
— Matthew?
— Tak.
— Jestem.
— Umówiłem cię z szefem w moim pokoju.
— Kiedy?
— Dziś wieczorem.
— O której?
— O ósmej.
— A która jest teraz?
— Siódma.
— Dziękuję ci, Matthew — powiedziała absolwentka Sorbony. — Będę o tobie pamiętać.
— Nie wątpię — burknął sekretarz.
— Cześć.
— Cześć.

Weszła do łazienki i wzięła piąty tego dnia prysznic, odcinając stopniowo dopływ ciepłej wody i kończąc zdecydowanie zimnym tuszem. Drżała z chłodu, ale kiedy natarła się szorstkim ręcznikiem było jej dobrze. Zwilżyła kremem obolałe miejsca rozczesała włosy, po czym wróciła do pokoju, ubrała się i przygotowała sobie drinka. Pluszowy fotel był wygodny, akurat tak wysoki, aby położyć głowę na wierzchołku oparcia i marzyć.

Popijała whisky drobnymi łyczkami wsłuchując się w syk aircondition. Czas płynął musiało być dobrze po ósmej. Zapaliła papierosa i podeszła do okna. Na hotelowym podjeździe zamajaczył kremowy mercedes. Ciemnowłosy szofer wysiadł, aby otworzyć tylne drzwi i wypuścić szefa. Był to rutynowy chwyt pod publiczkę, która obserwowała natrętnie od rana do nocy hotelowe wejście, pstrykając zdjęcia i napraszając się o autografy.

Zdusiła papierosa o brzeg popielniczki. Ktoś zapukał. — Biegł chyba do mnie po schodach — pomyślała. — I szepnęła cichutko: — chodź, ty mój trzeci!

Reżyser wyglądał nieco młodziej niż na zdjęciach w ostatnim Paris Match. Cisnął z chłodną nonszalancją na łóżko marynarkę, poluzował krawat i zapytał:

— Co jest?
— Nic.
— Jak to: nic?
— Po prostu... nic.
— To po co mnie, do cholery, wezwałaś?!

Patrzyła na niego bez słowa i zastanawiała się, czy naprawdę chodziło jej w życiu o takiego mężczyznę. Paleczka perkusyjna była mimo wszystko trochę subtelniejsza i nieco szlachetniejsza w kształcie. Ano, tacy oni wszyscy są, ci ze wschodu. Kobietę traktują jak spluwaczkę. Bury niedźwiedź. Cham. Z tym, że jego francuszczyzna była poprawna niemal bezbłędna. Wlał do brudnej szklanki resztkę Ballantines i wytrząsnął ją sobie do ust jak lekarstwo. Niebawem też zaczął tokować, co myśli o tym całym pieprzonym festiwalu, o tym całym pieprzonym jury, o tych wszystkich pieprzonych dziennikarzach, reżyserach i aktorach. Filmy też są pieprzone. Co do joty za wyjątkiem oczywiście tego, który zrobił on sam. Teraz zrobi kolejny film i powali świat na kolana. Będzie to arcydzieło większe niż to całe jego pieprzone truwanie nad ptasim gniazdem.

Wymierzył do niej ze swych szarych, słowiańskich oczu i wyprodukował uśmiech, jakby dopiero teraz dotarła do niego uroda dziewczyny.

Oświadczył krótko:

— Zagraszl
— Naprawdę?
— Tak.
— Och, jesteś cudowny.

Chwycił ironię, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Podszedł i wygarnął dziewczynę z odmętów pluszu. Podniósł ją do góry, zarzucił sobie na ramię i uwolnił od majtek jednym krótkim szarpnięciem. Klepnął w goły tyłek jakby miał do czynienia ze swą ośmioletnią faworytną córeczką.

Chciała powiedzieć: — Nie, puść mnie. Nie mam na to ochoty. — Ale zamknął jej usta pocałunkiem i rozkrzyżował ją na łóżku. Lubił demonstrować swoją samczą krzepę; był przekonany że kobiety za tym szaleją. Żadnych pieszczot, żadnego czekania. Na widok tak wspaniałego mężczyzny każda kobieta powinna być momentalnie wilgotna.

Dama jednak zamknęła się w sobie. Pomyślała: Boże, co ja najlepszego zrobiłam. Przecież on mnie gwałci! — W kącikach oczu pokazały się łzy. Użądlił ją z taką siłą, że zajęczała z bólu, co najwyraźniej przypadło brutalowi do gustu.

— Dobrze ci?
— Nadzwyczaj.
— Ano widzisz. Trzeba wiedzieć z kim się idzie do łóżka.

Teraz już płakała otwarcie. Cham interpretował to rzecz jasna na swoją korzyść. Zakochała się, idiotka. Nic dziwnego. Po tych wszystkich cholernych, pieprzonych wymoczkach prawdziwy chłop wywarł na niej wstrząsające wrażenie. Przytrzymał ją, kiedy chciała iść do łazienki. Sam też nie poszedł. Bez przesady. Zapach potu i miłosnego znoju sprawiał mu przyjemność.

— Zagrasz! — powtórzył, jakby po raz drugi ciskał prostytutce dwieście franków. Kiedyś w Paryżu można było wziąć taką za sto, ale ceny wzrosły.

Zrzucił z siebie koszulę i spodnie, skopał na dywan marynarkę, która paliętała się między nogami dziewczyny. Ją też rozebrał. Nie protestowała. Była na to za mądra. Zacisnęła powieki i przyjęła go pokornie. Nie unikała współpracy wiedząc, że tylko w ten sposób może skrócić swoją męczarnię. Podciągnęła kolana do brody i wykonała szlagierowy numer, za którym szalał jeszcze niedawno perkusista. Zwinne i wygimnastykowane paluszki jej stóp łaskotały lekko kręgosłup brutala.

Docenił to. Zdobył się nawet na komplement.

— Uwielbiam cię posuwać — stwierdził.
— Puścisz mnie teraz do łazienki?
— Idź. Jak masz na imię?
— Korsyka.
— Coś podobnego! Przecież to jest nazwa wyspy.
— Zgadza się — powiedziała. — To jest właśnie nazwa wyspy.

Pokasłując zamknęła od środka drzwi, a potem osunęła się na posadzkę, objęła rękami nóżkę umywalki, przytuliła do niej policzek i płakała cichutko. Czuła na lędźwiach stygnące lepkie nasienie. W mózgu błysnęła obawa, że może zajść w ciążę. Trzech. Gdyby którykolwiek z nich miał być ojcem jej dziecka, wybrałaby kierowcę.

Weszła pod ostry, kłujący prysznic i siedziała tam tak długo, aż rozbolała ją skóra. Cham nie ponaglał; nie krzyczał, nie tarmosił klamki i nie pukał. Zawinęła się w ręcznik kąpielowy i wróciła do pokoju. Był pusty, ale dzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę. Tym razem odezwała się pierwsza.

— Słucham.
— Recepcja — powiedział drwiący, męski głos. — Pani będzie łaskawa natychmiast opuścić nasz hotel.
— Chwileczkę — zaprotestowała. — Znajduję się w apartamencie mojego przyjaciela, pana Matthew...
— Nie, proszę pani. Nie mieszka u nas żaden pan Matthew. Znajduje się pani w apartamencie pana Julesa Torino, ale pan Jules Torino zwolnił właśnie pokój, zapłacił rachunek i wyjechał.

Poczuła jednocześnie ulgę i wściekłość. — Jules Torino! — parsknęła. — Pewnie jakiś drobny aferzysta z Bordeaux.

* * *

— Musisz mi pomóc — powiedział Robert Walden do swojego paryskiego przyjaciela.

Facet rzucił mu znad stolika krótkie, badawcze spojrzenie:

— Jak?
— Wieczorem w Carltonie jest konferencja prasowa z Napoleonem. Chcę tam wjechać.
— W tej koszulce?

Robert Walden zerknął na swoją wólczankę i porównał ją z luźną, francuską kolczugą przyjaciela.

— Jest dobrze — powiedział.
— Tak sądzisz?
— Tak.
— Cieszy mnie twoje zdrowe samopoczucie, ale... gdzie ty właściwie zamierzasz spędzić noc?
— Tam, gdzie ty — powiedział Robert Walden. — Chyba że zdobędziesz się na gest i odwieziesz mnie na statek do Marsylii.
— Ehe. Na pewno — rzekł przyjaciel. — Zaraz pojedziemy. Odstawię cię na dworzec albo na drogę wylotową za rogatkami. Jak będziesz miał trochę szczęścia, złapiesz autostop.
— O tej porze?
— Nie. Rano.
— A do rana przekoczuję na stacji?
— Tego nie powiedziałem. Pogadam z patronką pensjonatu. Myślę, że rozstawi ci za niewielką opłatą jakieś turystyczne łóżko w moim pokoju.
— Gracias, amigo.
— Nada.
— Powiedz mi tylko jeszcze, co to za pensjonat.
— Ten sam, w którym mieszkała Korsyka.
— O! To już jest coś! — ucieszył się Robert Walden. — Poproś patronkę, żeby rozstawiła łóżko podwójne.
— Nie jesteś w jej typie.
— O patronce myślisz?
— O Korsyce. Masz smutny, słowiański pysk, czterdzieści lat i zionące pustką kieszenie.
— Ale moje serce jest szczerozłote.
— Nie wygłupiaj się! — Zostawił na stoliku pieniądze za martini wraz z piętnastoprocentowym napiwkiem. — Chodź. Poszukamy jakiejś marynarki.
— W sklepie?
— Nie. W pensjonacie.
— Sweter nie wystarczy?
— Do tej roli, w której masz wystąpić — nie!

W dwie godziny później, o zmierzchu, stali przed hotelowym frontonem. Carlton był rzęsiście oświetlony. Nad ogromnym, zatłoczonym tarasem, szumiącym jak wypełniony szerszeniami ul, zwisał iluminowany plakat, przedstawiający ciemnooką, bardzo młodą, dziewczynę o rozwianych włosach i krwiście czerwonych wargach.

Krwią okapywał także wypisany wielkimi, czarnymi literami tytuł filmu, będący jednocześnie imieniem głównej bohaterki. Wszystko razem ziało erotyzmem i grozą.

Walden wzdrygnął się. Był w szarej, zdecydowanie luźnej i zdecydowanie długiej marynarce sięgającej bez mała kolan. Miał poważne wątpliwości, czy zdoła sforsować główne drzwi hotelu, a później wejście do sali bankietowej, lecz jego przyjaciel odgiął po drodze kilkakrotnie klapę, szepnął coś na ucho portierom, zerknął raz i drugi na Waldena mówiąc:
— To samo — i weszli do obszernego, przegrzanego pomieszczenia, pełnego dziennikarzy, fotoreporterów i brodatych stworów z kamerami wycelowanymi jednoznacznie w stolik, przy którym siedział w towarzystwie swej pięknej i młodej aktorki Napoleon.

Szef konferencji niezupełnie panował nad sytuacją. Jedni dziennikarze zadawali pytania przez mikrofon, który podstawiała im usłużna hostessa, inni darli się na całe gardło poza kolejnością.

Początkowo Walden odniósł wrażenie, iż prasa sprzyja Napoleonowi, bowiem większość amerykańskich reporterów zwracała się do niego po imieniu, z przyjacielskim i wesołym uśmiechem, wkrótce jednak zrozumiał, że był w błędzie.

Zgraja atakowała. Nikt nie pytał o niedokończony jeszcze film, dla reklamy którego na usilne prośby zaniepokojonych producentów Napoleon zdecydował się w ogóle wystąpić przed prasą. Wszyscy natomiast tłukli zapamiętale w najczulszy punkt reżysera.

— Dlaczego zwiałeś z Ameryki?
— Dlaczego bałeś się stanąć przed sądem?
— Dlaczego sam sobie zakładasz pętlę na szyję wiedząc doskonale że poza Stanami Zjednoczonymi w żadnym innym kraju nie będziesz mógł zrealizować swoich artystycznych ambicji?
— Dlaczego w tak idiotyczny sposób przekreślasz swoją życiową szansę, tracąc przy okazji sympatie ostatnich, życzliwych sobie Amerykanów?
— Dlaczego nie rozwiązujesz jak inteligentny człowiek swoich kalifornijskich problemów prawniczych?

Napoleon poczerwieniał. Zamamrotał coś. Wyczulone ucho Waldena złowiło kilka znajomych słów. Reżyser klął dziennikarzy pod nosem w najszczerszej polszczyźnie.

— Co mówisz?
— Gówno!
— Nie rozumiemy!
— I dobrze wam tak! Nie mam żadnych prawniczych problemów i nie będzie żadnego sądu. Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać o tym, co dawno minęło i co sami żeście rozdmuchali do niebywałych rozmiarów, lecz żeby opowiedzieć wam o mojm filmie. Są pytania?
— Są!
— Dawać!

Zaczęli walić w film, w który grono europejskich producentów zainwestowało kilkanaście milionów dolarów, a mimo to przedsięwzięcie, bezapelacyjnie najdroższe w dziejach francuskiego kina, groziło wielką plajtą, krachem finansowym na niespotykaną skalę. Przez kogo? Przez Napoleona! Przez jego nienasyconą ambicję. Przez jego iście szatańską pychę. Z kameralnego w sumie scenariusza postanowił zrobić wiekopomne dzieło, w którym każdy gest, każde słowo, każda najdrobniejsza nawet scena nosiłaby wszelkie symptomy geniuszu. Ekipa czekała tygodniami na odpowiedni wiatr, odpowiednią chmurkę, odpowiednie światło i odpowiednią barwę trawy. Angielski akcent aktorki, tej, która właśnie siedzi obok niego i która, jak wiadomo, jest jego kolejną, młodszą o dwadzieścia parę lat kochanką, pozostawiał sporo do życzenia. Napoleon wyekspediował ją zatem na kilkumiesięczne korepetycje do Londynu. Tymczasem, jak wszędzie tam, gdzie pojawia się owo żywe wcielenie polskiego diabła, ekipę filmową przerzedziła śmierć. Były pogrzeby. Rodziny zmarłych płaczą i złorzeczą. Kamerzyści, aktorzy i pracownicy techniczni codziennie odmawiają długi, pobożny paciorek i co niedziela chodzą na poranną mszę do kościółka, aby tylko przebłagać Jezusa Chrystusa i Przenajświętszą Marię Pannę za to, że zadali się z tym lucyperem.

Dość!

— Po co w ogóle robisz ten film?! — wrzasnął jakiś rozsierdzony, amerykański żurnalista.

— Po to, po co ty w ogóle piszesz. Pewnie zresztą kiepsko i nieudolnie, bo na Hemingwaya, to mi nie wyglądasz — odwrzasnął Polak.

Niezrażony Amerykanin ciągnął:

— Znowu autobiografia! Poprzez ekran próbujesz rozliczyć się ze swoich grzechów, ze swej robaczywej przeszłości. Twoja nieletnia bohaterka, uwiedziona przez starego satyra, zabija go. Nie boisz się, że sam w końcu dostaniesz w łeb?

W odpowiedzi Napoleon uśmiechnął się szyderczo, przyciągnął do siebie aktorkę i wycisnął na jej ustach pocałunek Almanzora.

Jedni bili brawo, drudzy gwizdali. Strzelały flesze, terkotały kamery, tumult rozsadzał dosłownie ściany sali bankietowej. A jednak czyjś grzmiący, ochrypły, wytrenowany na meczach baseballowych głos przedarł się przez ogólny harmider:

— Okay, boy! Widzę że wciąż lubisz młode dziewczyny.

— Masz rację przyjacielu! — odparł Napoleon, — z tą poprawką, że kiedyś lubiłem młode, a teraz lubię jeszcze młodsze!

C.D.N.

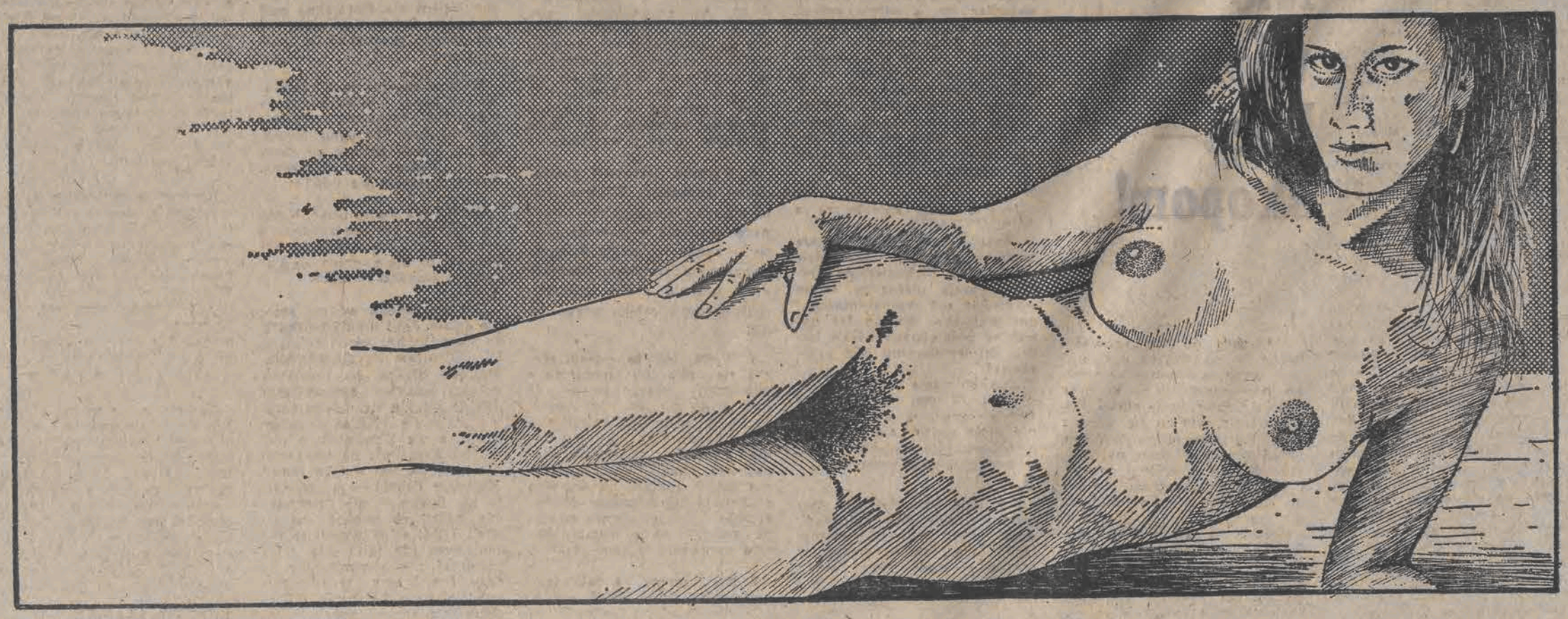

Rys. Janusz Szymański-Glanc